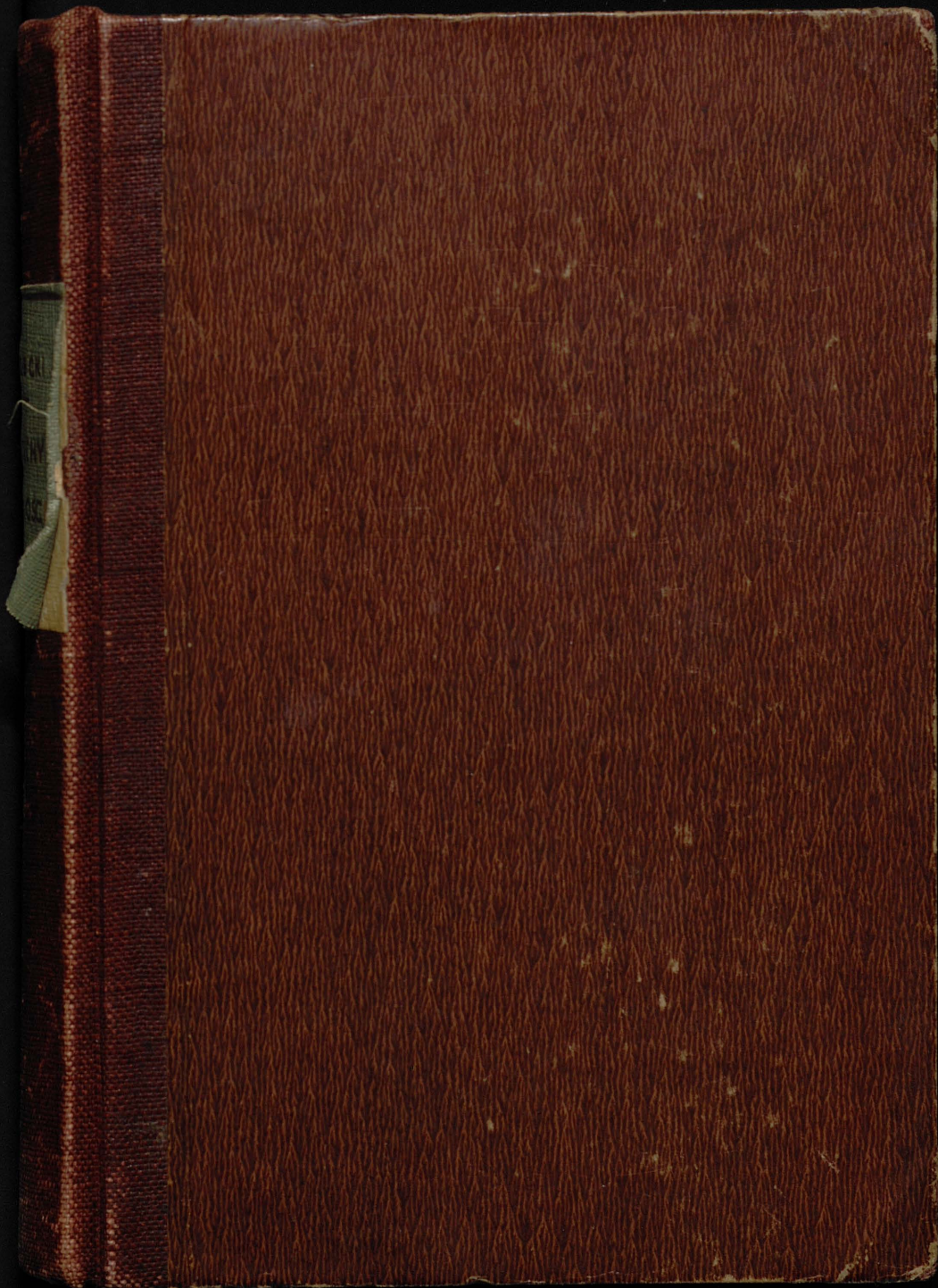




GRZECZY MŁODOŚCI

ZDZISŁAW DĘBICKI

GRZECHY MŁODOŚCI

»Nie będzie historii, póki nie będzie
pamiętników domowych«.

J. Bartoszewicz



WARSZAWA

NAKŁADEM TRZASKI, EVERTA I MICHAŁSKIEGO S. A.
KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 13, GMACH HOTELU EUROPEJSKIEGO



CZYTELNIĄ KSIĄZEK

94(438). 041: 314. 151. 1 (=162. 1): 313(47+57)
323- 05-11(438) "18"

Synom moim

TADEUSZOWI I MIECZYŚLAWOWI

na pamiątkę

17 KWIETNIA 1894 ROKU

Rok 1894 był burzliwym rokiem w Uniwersytecie warszawskim. Po całym szeregu spraw, które świadczyły o wzmagającym się wśród studentów ruchu politycznym, po zatargu z rektorem, Szczelkowem, z powodu infamisa, Silbersteina, którego sąd akademicki skazał na wydalenie, a władze uniwersyteckie, wbrew temu wyrokowi, wzięły w obronę, po uroczystem nabożeństwie, urządzo-
nem dnia 4 kwietnia w setną rocznicę bitwy racławickiej w kościele Św. Krzyża, gdzie zgromadziły się tłumy studentów, przyszedł dzień 17 kwietnia, który miał wstrząsnąć do głębi życiem ówczesnej młodzieży.

W dniu tym przypadała setna rocznica powstania Kilińskiego w Warszawie.

Liga narodowa, która za pośrednictwem Związku młodzieży, organizacji, stworzonej przez siebie, wywierała duży wpływ na Uniwersytet, postanowiła uczcić tę rocznicę demonstracyjnem nabożeństwem w katedrze Św. Jana i pochodem ulicznym przed dom, w którym mieszkał niegdyś Kiliński.

Po manifestacji 3 maja 1891 roku miał to być drugi jawny, publiczny protest Warszawy, stolicy kraju, przeciw niewoli.

Związek młodzieży, jako organizacja niższego stopnia, nie wiedział wówczas nic jeszcze o istnieniu Ligi. Domyślał się tylko, że istnieje jakaś wyższa organizacja konspiracyjna, z której ramienia kierują Związkiem ludzie z poza Uniwersytetu. Tę rolę kierowniczą w stosunku do Związku odgrywał przede wszystkim ówczesny sztab redakcji »Głosu«, z Marjanem Bohuszem (Józefem Potockim), Janem Ludwikiem Popławskim i Władysławem Jabłonowskim na czele. Łącznikiem pomiędzy nimi a Związkiem był student V kursu medycyny, Julian Grabowski, rodem z Suwałk, zwany popularnie Żulem (»Jules«).

Przez nich to opracowany został, niedość zresztą przewidująco, projekt i plan manifestacji, zakomunikowany następnie Związkowi, który uchwalił manifestację poprzeć i wciągnąć do niej inne organizacje studenckie, z Bratnią pomocą na czele.

Na krótko przed dniem wyznaczonym Kasper Wojnar, słuchacz filozofii uniwersytetu krakowskiego (dzisiaj właściciel księgarni w Warszawie, przy ul. Marszałkowskiej 83), przywiózł »na siebie« z Krakowa transport proklamacji, wydrukowanych na Śląsku. Proklamacje te w krótkich słowach przypominały rocznicę i wzywały ludność Warszawy do uczczenia pamięci Kilińskiego.

Uruchomione przez zarząd Związku, na którego czele stał student V kursu medycyny, Szymon Kosobudzki (dzisiaj lekarz, profesor Uniwersytetu w Ku-

rytybie, stolicy stanu Parana w Brazylii), kadry młodzieży akademickiej w dniach 15 i 16 kwietnia rozruciły proklamacje po mieście, przyczem szczególną uwagę zwrócono na mieszkania rzemieślników, jako przedstawicieli tego patriotycznego drobnomieszczaństwa, które najgorliwiej poparło przed stu laty Kilińskiego.

W katedrze zamówione zostało nabożeństwo przed wielkim ołtarzem na intencję uratowania chorego dziecka. Oczywiście w tej postaci kancelarja kościelna przyjęła zapis, nie podejrzewając nawet, że jest wprowadzona w błąd.

Dzień 17 kwietnia był dniem prawdziwej wiosny. Niebo było jasne. Słońce zalewało potokami ulice Warszawy, które od rana zaroily się mnóstwem mundurów studenckich. Na Świętojańskiej już przed godziną 10 zrana było niebiesko od kołnierzy i czapek uniwersyteckich. Nie brakło też i ludności cywilnej. Świątynia wypełniła się po brzegi.

Po nabożeństwie młodzież wyszła na ulicę, dając hasło do pochodu, w przekonaniu, że tłum da się pociągnąć. Ostrożna jednak i trwożliwa publiczność w przeważnej swojej części zaczęła się rozchodzić w kierunku placu Zamkowego. Pochód tymczasem, na którego czele uformowali się studenci, ruszył w przeciwną stronę, ku Rynkowi Starego miasta, a stamtąd Wąskim Dunajem na placyk na Dunaju Szerokim przed dom Kilińskiego.

W ciasnej ulicy, w otoczeniu starych murów, wy-

głądało to imponująco. W rzeczywistości nie więcej niż 400 osób uczestniczyło w pochodzie, w tym około 200 studentów, drugie tyle cywilnych, kobiet i mężczyzn. Dzięki mundurom, manifestacja miała jednak charakter wybitnie uniwersytecki i, jako taka przeszła do historii.

Policja początkowo nie stawiała manifestantom żadnych przeszkód. Nie było jej widać, mniemano więc, że bezpieczeństwo jest zupełne. Wówczas rzuciono hasło pójścia przed pałac Igelströma. Pochód skierował się ku ulicy Podwale. Czy leżało to w planie organizatorów — tego nikt z nas, uczestników tej manifestacji, dotychczas nie wie. Pozostał nam jednak żywo w pamięci fakt, że skoro tylko wyszliśmy na Podwale, ujrzelśmy przed sobą ulicę zamkniętą przez kordon policji, natomiast stała przed nami otworem brama domu pod Nr. 15 (dzisiaj Muzeum Narodowe). Była to brama cyrkułu Zamkowego. Dzwon alarmowy bił w podwórzu »na trwogę«, a komisarz, zastąpiwszy nam drogę, oświadczył dość uprzejmie, że jesteśmy aresztowani i powinniśmy wejść na podwórzec cyrkułowy bez oporu. Inaczej będzie musiał użyć siły, którą rozporządza.

W ten sposób czoło pochodu znalazło się w potrzasku. Zaledwo ci, którzy znajdowali się na tyłach, mogli byli się cofnąć. Skorzystała z tego skwapliwie publiczność cywilna (między innymi Jan Ludwik Popławski), zajmując pośpiesznie miejsca w kilku

zatrzymanych przez pochód tramwajach, gdzie, zorientowani w sytuacji, konduktorzy zgrabnie i szybko zaopatrzyli ją w bilety, stanowiące niejako gwarancję nietykalności.

Mundury studenckie nie pozwalały na taką dezercję, nie pozostawało więc nic innego, jak poddać się.

Jakoż za chwilę podwórzec cyrkułowy zappełnił się aresztowanymi. Znalazło się tam około 180 studentów i kilkadziesiąt osób cywilnych. Brama zawarła się szczelnie i wówczas zrozumieliśmy, że sprawa jest przegrana.

O dokonany fakt zatelefono natychmiast do ratusza. Po upływie kwadransa przybył i zjawił się wśród nas na podwórzu cyrkułowym ówczesny oberpolicmajster m. Warszawy, jen. Kleigels, i zakomunikował nam, że będziemy zatrzymani, dopóki nazwisk naszych nie ustali i nie zapisze policja.

W tym celu sprowadzono niezwłocznie pedlów wydziałowych i kursowych z uniwersytetu i przy ich współudziale (pedlowie znali doskonale wszystkich studentów) rozpoczęło się odbieranie matrykuł i stwierdzanie tożsamości osób. Trwało to do zmroku. Po załatwieniu tych formalności, wyprowadzano nas partjami, po kilkunastu, na miasto. Podwieczór wszyscy już byliśmy wolni.

Wygodzona młodzież tłumnie wypełniła popularne wówczas restauracje, zwłaszcza Wodewil, gdzie

do późnej nocy zastanawiano się nad tem, co może być dalej?

Górowała nuta optymizmu i przeświadczenie, że cała sprawa zakończy się jakimś kilkutygodniowym aresztem, podobnie jak w roku 1891 po manifestacji majowej.

Stało się jednak inaczej. W nocy z dnia 19 na 20 kwietnia wszystkich nas aresztowano ponownie.

»CZEMU TĘSKNISZ ZA KRATĄ?«

Dnia 19 kwietnia wróciłem dość późno do mojego studenckiego mieszkania, które zajmowałem wraz z kolegą Bronisławem Bobińskim. Położyliśmy się spać, nie przeczuwając nic złego. Aliści około godziny 3 nad ranem obudziło nas głośnie szarpanie dzwonka, a później łomotanie do drzwi. Wstałem i, narzuciwszy na ramiona szynel, poszedłem otworzyć.

— Kto tam?

— Telegram.

Wiedziałem już o co idzie. Był to wówczas stale używany przez żandarmów i policję, przychodzącą na nocne rewizje, sposób »pokojowego« pertraktowania z właścicielami mieszkań, podejrzanych politycznie.

Nie było powodu do dalszego trzymania gości za drzwiami. Mieszkanie było »czyste«. Natychmiast po manifestacji 17 kwietnia uprzątnęliśmy wszystko, co było do uprzątnięcia. Przejrzeliśmy starannie nasze papiery i książki, uważając, czy nie zabłąkała się tam jaka odezwa lub nielegalna broszura, a zapakowawszy mogące nas skompromitować rzeczy, odnieśliśmy je »na przechowanie« do znajomych domów, gdzie pod opieką kobiet były bezpieczne.

Z całym tedy spokojem podniosłem zatrask i szeroko otworzyłem drzwi.

Na schodach zobaczyłem komisarza cyrkułu, kilku policjantów i stróża domu, Macieja, który przyświecał im kopczą naftową lampką.

Pocziwy Maciej spojrzał na mnie zaleknionemi oczyma, poczem cofnął się dyskretnie w kąt sieni.

Policja tymczasem wwałała się do korytarza.

— Gdzie pański pokój?

Wskazałem na uchylone drzwi, przez które szeroką smugą przedzierał się ostry snop światła, Bobiński bowiem zdążył być już zapalić lampę.

Weszli. Komisarz podał nam do podpisu papier prokuratora i rozpoczęła się rzecz zwykła: rewizja. Przewracanie książek, zagłądanie do szuflad i szaf, za obrazy, pod wyścielane krzesła, gdzie szukano wśród włosia i sprężyn, ostukiwanie ścian i t. p.

Czynności te jednak wykonywano dość powierzchownie, z widocznym pośpiechem. A kiedy je ukończono, komisarz poprosił nas grzecznie, abyśmy uzupełnili toaletę, albowiem jesteśmy aresztowani i pojedziemy razem.

— Dokąd?

— O tem przekonają się panowie na miejscu.

— A czy możemy zabrać z sobą jakie rzeczy?

— Nie. Pojadą panowie w zwykłych ubraniach, a jeżeli zajdzie potrzeba, to już potem dostarczy wam, co należy, rodzina.

Po upływie 10 minut byliśmy gotowi.

Wyprowadzono nas z honorami (przodem szedł komisarz, za nim »rewirowy« i dwóch stójkowych).

Na schodach znów Maciej ze swoją kopczą lampką. Obok niego dwóch drabów o obliczach złoczyńców. Byli to przedstawiciele tajnej policji, t. zw. »łapacze«. Kazano im przeszukać nasze kieszenie, czy aby przypadkiem który z nas nie posiada broni.

Dopełniła się rzecz wstrętna, rzecz, budząca obrzydzenie: obmacywanie całego ciała przez ubranie. Trwało to chwilę, ale chwila ta została na zawsze w mojej pamięci, jako akt gwałtu, budzący odrazę moralną i fizyczną. Bo proszę sobie wyobrazić ogromne łapy tych drabów, zapuszczające się w kieszeń jedną i drugą, szukające czegoś na piersiach, na całym tułowi, na nogach, nawet w trzewikach!

Oczywiście, nic nie znaleziono i poprowadzono nas dalej.

Maciej zgrzytliwym kluczem otworzył bramę i pożegnał nas żalosnem spojrzeniem. Był to stróż »porządny«, jeden z tych, którzy nie donosili policji o odbywających się u nas zebraniach, na którym więc można było polegać.

Stróże domów byli wówczas oficjalnie uważani za »niższych urzędników policji« i mieli obowiązek współdziałania z nią w nadzorze osób podejrzanych, a w szczególności studentów. Zdarzały się jednak przypadki sympatyzowania tych »urzędników policji« z młodzieżą akademicką. Sympatja

taka była widocznie na dnie mazurskiej duszy Macieja, bo, jak dowiedziałem się potem, płakał przed innymi lokatorami z powodu naszego aresztowania.

Brama zamknęła się za nami i znaleźliśmy się na ulicy. Przed domem oczekiwały dwie z podniesionymi budami dorożki. Do jednej z nich zaproszono Bronka Bobińskiego, do drugiej mnie. Na przedniej ławeczce zasiadło po 2 stójkowych. Pojechaliśmy, w przekonaniu, że jedziemy do cytadeli. Po drodze jednak, w chwili, kiedy dorożki zamiast skręcić w ulicę Przejazd, skręciły w Leszno, a potem w Karmelicką, zorjentowałem się, że to droga na »Pawiak«.

Istotnie, po chwili dorożki nasze zatrzymały się przed bramą tego największego w Warszawie więzienia śledczego.

Wysiedliśmy i oczom naszym przedstawił się widok imponujący. Ulica Dzielna wypełniona była szczelnie dorożkami. Było tych wehikułów stłoczonych przed więzieniem z górą sto.

— Ależ to zjazd, jak na bal — zauważył Bronek.

— Zdaje się, że będziemy tu wszyscy — odpowiedziałem.

Esportujący nas policjanci zadzwonili do bramy. Na głos dzwonka ukazała się w »judaszu« para oczu, poczem otworzyły się ciężkie wrzeczadze i weszliśmy do środka.

Było już szaro. Na podwórzu powitał nas głośny okrzyk kilkudziesięciu kolegów. Panował tam na-

strój wesoły. Nic dziwnego, w gromadzie każdy czuł się dobrze. Zresztą, nie spodziewaliśmy się wówczas jeszcze złych następstw. Ot, przeprowadzą śledztwo, potrzymają kilka tygodni i wypuszczą.

Pewne refleksje przysły mi do głowy dopiero po upływie godziny, kiedy wprowadzono mnie pod strażą dwóch żołnierzy z bagnetami do kancelarii więziennej i znów poddano rewizji. Musiałem oddać wszystko, co miałem przy sobie: pieniądze, zegarek, notatnik z ołówkiem, tom Loti'ego, który wziąłem z sobą na wszelki przypadek, scyzoryk, słowem wszystkie drobiazgi. Zapisano to starannie do książki, poczem znów pod strażą poprowadzono mnie na górę.

Na pierwszym piętrze oczekiwał już przy kracie żelaznej, oddzielającej korytarz od schodów, brodaty strażnik. Z uśmiechem otworzył furtę i, zostawiając poza nią uzbrojonych żołnierzy, poprowadził mnie w głąb korytarza. Tam otworzył na sztabę zamknięte drzwi przedostatniej po lewej stronie celi i, wpuściwszy mnie, drzwi zamknął.

Pamiętam dzisiaj jeszcze ten stuk zapadającej sztaby, następnie chrzęst klucza w zamku, oddalające się kroki strażnika i ciszę, która mnie ogarnęła.

Poczułem wówczas, pierwszy raz w życiu, że utraciłem wolność i również pierwszy raz w życiu zrozumiałem, czym jest ta wolność dla człowieka.

Cela była niewielka. Mierzyła 5 kroków wzdłuż, 3 kroki wszerz. W poprzecznej ścianie miała u góry,



na wysokości dwóch metrów od podłogi, a więc dużo powyżej średniego wzrostu człowieka, wąskie, zakratowane okno, opatrzone odzewnątrz t. zw. kagańcem czyli blaszanym abatjourem, wpuszczającym nieco światła, ale całkowicie zasłaniającym widok.

Przy lewej ścianie był wmurowany imitujący stół małeńki blat drewniany z ławeczką obok. Nieco dalej, tuż przy ziemi, była podłużna rama drewniana, z naciągniętem na nią szarem, brudnym płótnem, t. zw. legimata, przeznaczona do spania.

Wszystko to objąłem okiem w ciągu kilku sekund. W celi bowiem było już światło dzienne. Dochodziła mniej więcej godzina 5.

Nie zdążyłem jeszcze rozgościć się w nowej swojej siedzibie, kiedy na korytarzu znów odezwały się kroki, drzwi otworzyły się i do celi wszedł kolega Witold Eichler, student I kursu medycyny.

Nie znaliśmy się jeszcze wówczas, ale, połączeni przez przypadek, uściskaliśmy się serdecznie, radzi, iż będziemy we dwóch.

Okazało się później, że było to konieczne z uwagi na przepełnienie więzienia. Właściwie, przynajmniej do czasu śledztwa, powinniśmy byli siedzieć samotnie, bez możliwości porozumiewania się, ale »przeludnienie« Pawiaka sprawiło, iż musiano nas łączyć w dwójki. Bądź co bądź, była to wielka ulga dla nowicjuszków, nie mających jeszcze żadnej tradycji więziennej. A obaj należeliśmy do takich.

Eichler był chłopcem inteligentnym, poważnym,

o miłym i łatwym charakterze. Po kilku dniach zaprzyjaźniliśmy się też bardzo i przyjaźń ta, niezmieniona, poszła za nami w dalsze życie.

Dzisiaj Witold jest lekarzem w Pabjanicach i każde z nim spotkanie cieszy mnie tak, jak ucieszyło wówczas to połączenie naszej doli na Pawiaku.

Pierwsze dni pobytu w więzieniu upłynęły nam na ciągłych i dotkliwych utrapieniach.

Obaj mieliśmy rodziców zamożnych, obaj byliśmy wychowani w dostatkach i wygodach, było więc nam na razie ciężko przyzwyczaić się do obchodzenia się literalnie bez wszystkiego, a szczególnie bez wody i mydła. W obu nas przerażenie wywoływała wnoszona na noc, cuchnąca »parasza«, czyli smołą pociągnięty drewniany kubel na »nieczystości«. Obu nas męczył brud, bo chociaż prowadzono nas codzień rano do kranu wodociągowego, gdzie można było się umyć, to jednak wspólne dla wszystkich więźniów mydło, podobnie jak wspólny dla wszystkich ręcznik, napępniały nas odrazą, tem większą, że wiedzieliśmy, że mamy za sąsiadów zwykłych złodziei i opryszków. Oni to sprząтали naszą celę i oni przynosili nam pożywienie. Składało się ono o 6 rano, na śniadanie, z kwaśnego żuru, do którego dodawano pół funta czarnego, źle wypieczonego chleba; z kaszy, grochówki lub pływającego w wodzie makaronu na obiad o 12, do czego dwa razy w tygodniu dodawano mięso

gotowane, nadziane w małych kawałkach na patyczek, wreszcie z takiego samego, jak rano żuru, na wieczerzę, o 6 popołudniu. Wszystko to podawane było na obrzydliwych cynowych miseczkach. Jeść trzeba było drewnianą łyżką, często aż pozielieniała od pleśni.

Taką łyżkę pokazałem nadprokuratorowi Izby sądowej, Turauowi, który nas odwiedził po kilku dniach i zapytał, czy nie uskarżamy się na co. Wypaliłem mu, że niedawno czytałem dzieło w języku niemieckim o higienie więzień systemu Pensylwańskiego w Ameryce i że my tu jesteśmy o sto mil od wszelkiej higieny.

Wysłuchał tego cierpliwie i w rezultacie musiał wydać polecenie zaopatrzenia nas w nowe łyżki, bo po tygodniu dostaliśmy już białe, lipowym drzewem jeszcze pachnące przyrządy do jedzenia. Lecz i tak jeść nie mogliśmy. Głodowaliśmy więc obaj z Witoldem, jak się patrzy, żując tylko skórki czarnego chleba, którego ośrodek był nie na nasze żołądki.

Żuru nie mogliśmy tknąć, był bowiem tak kwaśny, że samo nachylenie się nad miską przyprawiało nas o kaszel.

Piątego dnia o 10 wieczorem, kiedy już spałem, bo dzień swój kończyliśmy o zmroku, gdyż cel nie oświetlano, zawołano mnie na śledztwo.

Sprowadzony pod strażą na dół, do kancelarii, zasiadłem przy zielonym stole, dokoła którego sie-

działo kilku oficerów żandarmskich i dwóch protokolantów.

Rozpoczęła się indagacja. Odpowiadałem spokojnie, wyjaśniając, że zawiadomienie o mającej się odbyć manifestacji znalazłem u siebie w domu w skrzynce do listów, że nie wiem i nie mogę wiedzieć, kto je tam wrzucił, że poszedłem na nabożeństwo do katedry sam, nie porozumiewając się z nikim.

Wszystko to kazano mi napisać na arkuszu protokularnym i prawdę tych słów stwierdzić własnoręcznym podpisem, co też uczyniłem bez oporu.

Trwało to nie dłużej nad godzinę. Wracając, spotkałem w korytarzu prowadzonego po mnie na śledztwo Bronka Bobińskiego, nie mogłem się jednak z nim porozumieć. On chciał coś powiedzieć i ja chciałem coś powiedzieć, ale żołnierze rozdzielili nas bagnetami. Tak więc każdy poszedł swoją drogą.

Odprowadzono mnie już nie do celi poprzedniej, abym nie mógł instruować Eichlera co do przebiegu śledztwa. Tej nocy miałem za towarzysza prawnika, Tadeusza Gałęckiego¹, który także był już po indagacji. Wyszedłem na tem dobrze, bo miałem nazajutrz arcywspaniałe śniadanie.

Ojciec Gałęckiego był adwokatem i miał wskutek tego stosunki z władzami więziennymi, a ponieważ po śledztwie rygory słabły, przeto pozwo-

¹ Gałęcki zmarł w r. 1928.

lono mu przesłać synowi kosz świeżego pieczywa i jakąś niesłychaną ilość wędlin. Wywołało to powszechną radość. Kolejno otwierano cele i częstowano zgłodniałych studentów. Nie zapomnę nigdy radości, jaką widziałem przez judasza na twarzy obdawanego dwiema bułkami i serdelkiem Jana Miłkowskiego, przyrodnika (dzisiaj wizytatora szkolnego).

Z Eichlerem połączyłem się dopiero następnego dnia wieczór. Od tej pory siedzieliśmy znów razem.

Po śledztwie znacznie w więzieniu »zelżało«. Często nam doręczać przesyłki z domu. Otrzymaliśmy poduszki, prześcieradła i kołdry. Dostarczono nam papierosów, których jednak nie wolno było palić w celi. Były one pod opieką strażnika. Pięć do sześciu razy dziennie wyprowadzał nas on grupami po 10 na »palenie«, które odbywało się w końcu korytarza, tam gdzie były umywalnie. W ten sposób dowiadywaliśmy się i ustalali, kto gdzie siedzi w »naszym« korytarzu, udzielaliśmy sobie także wiadomości i pocieszeń w monotonnej doli. Zezwolono nam wreszcie na krótkie, 10 minutowe spacerować po podwórzu więziennym, oczywiście pod strażą.

Pomimo to »nastrój« stawał się coraz przykrzejszy. Do naszych cel wkraczała powoli melancholja. Dnie biegły za dniami, a my siedzieliśmy beczynnie, nie wiedząc, co dalej będzie. Tymczasem przyszły Zielone Świątki. Eichler otrzymał z domu

mnóstwo na ten dzień smakołyków. Spożywaliśmy to jednak bez humoru. Bo jakże? W uniwersytecie zaczynały się już egzamina, a my zamiast je zdać, siedzimy tutaj. A więc rok stracony napewno. Nie usposabiało to do różowych myśli. Nie dotarły też do nas żadne dobre nowiny z miasta. Odwiedzające nas matki i siostry, z którymi rozmawialiśmy naprzód zza kraty, potem, kiedy zerzegliśmy się takich »widzeń« upokarzających, w kancelarii więziennej pod czujnym okiem porucznika Własowa, nie umiały ukryć przed nami swojego zafrasowania naszym losem. Były smutne i niespokojne. Zresztą, nikt nic nie wiedział. Dowiedzieliśmy się tylko przez Wiktora Krypskiego, któremu ojciec zdołał to jakoś zakomunikować, że sprawa nasza poszła do Petersburga i że ministrowie: spraw wewnętrznych, sprawiedliwości i oświaty wydadzą na nas wyrok »po ogłoszeniu«. Na to jednak uzgodnienie ich poglądów trzeba jeszcze czekać. Czekaliśmy więc, niżąc sobie na różaniec więzienny dzień za dniem, jeden bliźniaczo podobny do drugiego. Gdyby choć jakaś książka, gdyby choć jakaś gazeta, ale i to nie. W końcu wpadliśmy na myśl podania prośby o pozwolenie na sprowadzenie litografowanych kursów uniwersyteckich z uwagi na to, że chcemy się uczyć. Pozwolono. Uczyliśmy się więc nie bez przyjemności, ale bez jakiegokolwiek wiary w to, aby się to na coś przydać mogło.

Tymczasem wiosna przekwitała, nadchodziło lato.

Dopiero jakoś w drugiej połowie czerwca gruchnęło, że jest wyrok. Zdołał wiadomość tę przemycić przez mury więzienne któryś z kolegów, a było takich kilku, zwolnionych po śledztwie, jako »niewinnie zaplątanych«. My »zaplątani winnie« czekaliśmy, więc teraz niecierpliwie na wymiar petersburskiej sprawiedliwości.

Jakoż pewnego dnia poczęto nas po kolei wołać do kancelarii. Tam dowiadywaliśmy się, że jesteśmy skazani na 2, 3 i 4 miesiące więzienia, a potem na zesłanie w głąb Rosji, bliżej lub dalej, zależnie od kategorii, na które nas podzielono. Żadnego jednak wyroku nam nie odczytano, żadnych motywów nie podano do wiadomości. Kazano tylko wybierać sobie gubernję w określonych strefach.

Mnie przypadły w udziale trzy miesiące więzienia i dwuletnie wygnanie do gubernji Orenburskiej, którą wybrałem z uwagi na to, że był tam kiedyś przyjaciel mego ojca, profesor Tadeusz Korzon i że nie najgorszą o tej gubernji dawał w swoich opowiadaniach opinię.

Eichler miał tylko dwa miesiące więzienia i pobyt dwuletni w Centralnej Rosji.

Rozstrzygnięcie naszego losu, chociaż nie było nam po myśli, bo »wyrok« surowością swoją przekraczał najdalej nawet idące nasze oczekiwania, uspokoiło nas jednak i dało nam równowagę wytrwania.

Wiedzieliśmy, że tak już trzeba i że inaczej być nie może. Zresztą i przyzwyczajenie do trybu życia więziennego zrobiło przez tych sześć tygodni swoje. Zainteresował nas nawet ten świat, w którym przebywaliśmy. Świat tak odmienny od znanego dotychczas. Zwłaszcza dla prawników była to szkoła praktyczna i pouczająca.

Dzięki ustalającej się konfidencji ze strażnikami, byliśmy dopuszczeni przez nich do znajdujących się w ich »deżurkach« papierów. Były to karty »meldunkowe« przestępców, siedzących na oddziale przed śledztwem. Na kartach tych, obok nazwiska, daty urodzenia i innych szczegółów uwidoczniony był także rodzaj przestępstwa. Spotykaliśmy więc obok zwykłych kradzieży i zbrodni, także przestępstwa o charakterze seksualnym. Otwierało nam to oczy na wiele, obcych nam dotychczas, stron życia.

Obcując z konieczności z współwięźniami kryminalnymi, spostrzegaliśmy, że rzadko mamy przed sobą ludzi nieszczęśliwych, o których z takim współczuciem mówił Dostojewskij, daleko częściej natomiast mamy do czynienia z solidarnymi, zorganizowanymi i mocno z sobą związanymi zawodowcami, którzy stanowią społeczeństwo poza społeczeństwem.

Spotykaliśmy wśród nich lipkarzy, szopenfeldziarzy, pajęczarzy *e tutti quanti*. Byli to przeważnie »bywalcy«, którzy nie poraz pierwszy tutaj siedzieli.

Pamiętam, jak raz w chwili, kiedy byłem na korytarzu, przyprawiono nowego »lokatora«.

Przywitał się on ze strażnikiem-dozorcą, jak z dobrym znajomym.

— Panie Brzozowski — zwrócił się do niego — niech no pan da numer, tylko suchy i widny, od słonecznej strony.

Przybył tu więc, jak gość do hotelu, i dysponował z całą swobodą. Wśród tego rodzaju zawodowców nie brak było wprost doskonałych znawców kodeksu karnego. Wiedzieli oni dobrze nie tylko o tem, z jakiego § sami będą odpowiadali, lecz niby wytrawni doradcy prawni, wyjaśniali nowicjuszom, jak się powinni zachować na sądzie i jaka grozi im kara za popełnione przestępstwo lub zbrodnię.

Na pytania jednak nasze odpowiadali skąpo i niechętnie. Zapytany przez nas za co siedzi, odpowiadał zwykle »za swoje« i nic więcej ponadto nie można było z niego wydobyć.

Pomiędzy sobą za to byli szczerzy i rozmowni. Słyszeliśmy nieraz takie rozmowy z piętra na piętro. Słyszeliśmy także rozmowy złodziei z II piętra, nad nami, z ich kochankami, siedzącymi na parterze, pod nami. Były tam często słowa tak wyuzdane, taką zgnilizną moralną tchnące, że ich tu powtórzyć nie mogę. To samo da się powiedzieć o większości piosenek złodziejskich, których sporo nauczyliśmy się na pamięć. Spotkaliśmy się wówczas na »Pawiaku« także z eposem złodziejskim

o Felku Zdankiewiczu, zbrodniarzu, zesłanym za zabójstwo na Sybir. Epos ten sławił go, jako bohatera i w niedołężnej formie, lecz nie bez polotu i temperamentu obrazował jego czyny.

Sensację w całym więzieniu budził wówczas niejaki Mielczarek, już osądzony za mord i rabunek na Sybir, zakuty w kajdany i oczekujący tylko na sformowanie się partji do wysłania.

Widywaliśmy go niemal codziennie przez okno, jak pod strażą przechadzał się, podzwaniając kajdanami, po podwórzu. Był to mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni, dobrze zbudowany, zgrabny i w ruchach sprężysty, o twarzy zaciętej i zdecydowanej na wszystko. Należał do »arystokracji« więziennej i w zwykłych złodziejach budził coś, jakby »szacunek«.

Drugą postacią, która ściągnęła na siebie naszą uwagę, była słynna zabójczyni ex-baletnicy, starszuszki Gerlachowej, Marja Brzezicka, żona inżyniera, kobieta należąca do sfer towarzyskich Warszawy, znana z urody i bujnego życia erotycznego.

Próbowała ona nawiązać z nami stosunki zapomocą korespondencji. Wyraziła nam nawet na kartce, pisanej ołówkiem, swoje gorące współczucie, ale ograniczyło się wszystko do tej jednej kartki, gdyż przechadzający się pod oknami strażnik zauważył wędrującego na sznurku z dołu do góry papierka i zawiadomił o tem władzę więzienną. W wyniku tego mieliśmy rewizję w swojej celi.

Był to wypadek wprost wyjątkowy, normalnie bowiem korespondencja taka odbywała się bez przeszkód.

Obeznałiśmy się z nią zaraz w pierwszych dniach pobytu w więzieniu.

Pewnego dnia usłyszeliśmy z góry pukanie a potem głos.

— Czy macie panowie co palić?

— Niestety, nie — odpowiedziałem.

— To proszę zaczekać.

Po chwili ukazał się za kratami naszego okna sznurek, do którego przywiązany był papieros i kawałek tłącej się waty.

Papieros był z ordynarnej machorki, owiniętej w drukowany papier. Obejrzałem ten miły transport starannie i odczytałem na papierze modlitwę za konających. Domyśliłem się. Jedyną książką, jaką wolno było posiadać więźniom, była książka do nabożeństwa. Służyła ona jednak nie tyle celom religijnym, ile praktycznemu celowi zaspokojenia głodu palenia. Wydzierane z takiej książki kartki zastępowały bibułkę do papierosów. Okropny ten papieros wypaliłem jednak ze smakiem. Eichler, na szczęście, nie palił, mogłem więc w pełni użyć rozkoszy po kilkudniowej wstrzemięźliwości.

Przesyłki takie powtarzały się potem po kilka razy dziennie.

Oczywiście, altruistycznie usposobionemu złodziejowi, który był sąsiadem naszym o piętro wyżej,

odwdziczyłem się potem w czwórnasób doskonałymi papierosami, jakie mi delikatnie i niepostrzeżenie, podczas uścisków i pocałunków, wsunęła matka do kieszeni na jednym z pierwszych »widzeń«.

»Bywalcy« na Pawiaku, którzy mieli doskonałą organizację wewnątrz i nazewnątrz więzienia, umieli, pomimo czujności władz, porozumiewać się nietylko pomiędzy sobą, wymieniając t. zw. grypsanki, t. j. listy pisane, lecz porozumiewali się także za pomocą tych listów z ulicą, a więc z całym ich światem, który pozostał »na wolności«. Korespondencja ta odbywała się w ten sposób, że złodziej, napisawszy list, dajmy na to do swojej kochanki, umieszczał go w gałce, ulepionej z chleba razowego, i taką gałkę podczas przechadzki umiejętnie przrzucał poza mur, otaczający więzienie, a tam już ktoś umówiony oczekiwał. Podnosił on gałkę i doręczał list według adresu. Tą samą drogą przedostawała się przez mury więzienia odpowiedź.

Oczywiście, czasem, przez niefortunny zbieg okoliczności, wydawało się to. Korespondencję przejmowano a winny nadużycia przepisów szedł za karę do ciemnicy na 24 lub więcej godzin, zależnie od tego, jaką miał opinię u władz, czy był krnąbrny, czy też potulny i uległy.

Ciemne cele znajdowały się w podziemiu, w piwnicach gmachu więziennego. Były one wilgotne i podobno pełne szczurów. Pobyt tam nie należał do przyjemności, zwłaszcza, że cele górne były

widne, czyste, ciepłe i zapewniające, po przyzwyczajeniu się do trybu życia więziennego, względną wygodę i higienę.

Tryb tego życia był ujęty w ścisłe karby i biegło ono równo i spokojnie. Spokój ten zakłócała tylko czasem nocna »powierka«, t. j. sprawdzanie liczby więźniów. Normalnie sprawdzanie to odbywało się o godzinie 6 wieczorem, po zakończeniu dnia więziennego. Od czasu do czasu jednak w nocy, dyżurny oficer dla urozmaicenia sobie długich godzin monotonnego a przymusowego czuwania, wpadał na górę z wartą i wspólnie ze strażnikiem dokonywał rewizji cel. Szczękały wówczas rygle w korytarzu, z łoskotem otwierały się i zamykały drzwi, błyskało ostre światło latarki i rozlegał się głos rachującego: dwa, dwa, dwa, ponieważ w każdej celi siedziało nas po dwóch.

Były to dla nas rzeczy z początku niemiłe, potęgujące w nas świadomość utraconej wolności. Stopniowo jednak, tak otrzaskaliśmy się z tem wszystkim, że nie robiło to na nas żadnego wrażenia.

Tak dobiegły kresu dwa miesiące naszego pobytu w więzieniu.

Dnia 20 czerwca, już po kontroli wieczornej, zjawił się w naszej celi porucznik Własow ze słowami:

— Gospodin Eichler, sobirajties.

Uściskaliśmy się i ucałowali z Witoldem serdecznie, wyrażając w tym uścisku całą przyjaźń, która

zawiązała się pomiędzy nami w toku długich rozmów.

Przedtem już prosiłem go, aby mi to i owo załatwił na mieście, a przede wszystkim zdał sprawę rodzinie mojej z dobrego stanu mego zdrowia i pogodnego usposobienia. Było to niezbędne dla uspokojenia naszych bliskich, bo u niektórych z nas zaczęła się już wskutek braku ruchu i złego odżywiania rozwijać t. zw. choroba więzienna, polegająca na obrzmieniu gruczołów i lekkim opuchnięciu. Były także przypadki ostrych ataków melancholji, nawet próba samobójstwa i to w sąsiadującej z nami celi.

Po chwili Witold, zabrawszy swoje ubogie manatki więźnia, wyszedł. Jeszcze z korytarza przesłał mi pełne przyjaźni i współczucia spojrzenie, poczem drzwi zamknęły się i zostałem sam.

Byłem przeświadczony, że mam przed sobą cały miesiąc zupełnej samotności i markotno mi się zrobiło na myśl o tem. Nie bez uczucia zazdrości słuchałem też kroków oddalającego się Witolda, a potem, rachując czas, wyobraziłem sobie, jak wsiada przed więzieniem do dorożki, jak jedzie i przyjeżdża do oczekujących go w Warszawie rodziców, którzy przyjechali na ten dzień z Międzyrzecza, aby go powitać i nacieszyć się nim do woli i t. p.

Powoli jednak przyszła najlepsza koicielka strapięń więziennych — rezygnacja. W jej objęciach zasnąłem.

Nazajutrz rozpocząłem normalne życie. Ale około 10 rano zastanowił mnie ruch, panujący w więzieniu. Coś zaszło nowego. Jakież odgłosy stąpań, głośne rozmowy. Wszystko jednak przycichło po chwili.

Nie upłynęło jednak pół godziny a w celi mojej zjawił się strażnik i oświadczył mi, że będę przeniesiony o piętro wyżej.

— Zaraz?

— Tak, niezwłocznie. Proszę zebrać swoje rzeczy.

Uczyniłem to natychmiast i poszedłem za strażnikiem.

Jakież było moje zdziwienie i jaka radość ogromna, kiedy na II piętrze otworzyły się przede mną drzwi obszernej sali, t. zw. Syberyjskiej, ponieważ tam osadzano gromadnie więźniów, oczekujących na deportację, i ujrzałem się wśród najlepszych moich kolegów i przyjaciół z konspiracyjnych organizacji studenckich.

Byli tam obaj Kirkorowie, Dymitr i Michał, moi przyjaciele od serca, był Henryk Trenkner, Szymon Kossobudzki, ówczesny prezes Związku młodzieży polskiej, Adam Jasiński, jeden z najwybitniejszych działaczy oświatowych, Stefan Szumkowski, Stanisław Muszyński, Kazio Dąbrowski, Bronek Bobiński, Aleksander Karoli i Zygmunt Grudziński. Ja przybywałem do ich grona, jako 12.

Szczęśliwy przypadek zrządził, że znalazłem się w najmiłszem mi towarzystwie.

Powitanie było radosne. Dowiedziałem się natychmiast, że skoro na Pawiaku znalazło się wolne miejsce po wypuszczonych wczoraj, przewieziono ich wszystkich, odsiadujących karę w Arsenale na Długiej, do nas. Zarządzenie to bardzo nam było na rękę.

Rozpoczęło się nowe życie.

W »Arsenale« były rygory nieco mniejsze, niż na Pawiaku. Siedzący tam koledzy korzystali z większych swobód i udogodnień, wskutek tego zdołali wytworzyć swoją własną organizację gospodarczą. Na czele tej organizacji stał niezmordowany w tym kierunku, wprost opatrnościowy dla innych, Henryk Trenkner. Czynił on codziennie za pośrednictwem władzy więziennej zakupy artykułów żywności, co dawało więzionym możliwość lepszego odżywiania się.

Organizację tę przeniósł Trenkner na Pawiak i już w pierwszej swojej konferencji z naczelnikiem więzienia, Małczanowem, człowiekiem ponurym i niechętnym do jakichkolwiek ustępstw, uzyskał na nią sankcję. Zdołał przekonać moskala, że tak powinno być. I tak, rzeczywiście, było już do końca.

Pieniądzy mieliśmy dosyć, bo posiadał je każdy z nas na swoim koncie w kancelarii. Na rzecz zamożniejszych aż nadto wystarczające sumy wpłacały rodziny, konta zaś niezamożnych dopełniane były z funduszy społecznych, które w przewi-

dywaniu deportacji gromadzono już w Warszawie na rzecz przyszlých wygnańców.

Było więc z czego czerpać i odtąd opływaliśmy niemal we wszystko. Mieliliśmy codziennie świeże pieczywo, masło, rozmaite gatunki serów, wędliny, nawet sardynki. Nadewszystko jednak mieliśmy własny cukier, herbatę, własne szklanki i łyżeczki do tej herbaty. Przynoszono nam tylko trzy razy dziennie wrzącą wodę.

Tego wszystkiego dokonał genjusz gospodarczy Trenknera.

Nie tylko jednak żołądki nasze zyskały na tem połączeniu Arsenалу z Pawiakiem. Zyskała przede-wszystkiem nasza strona psychiczna. Humory podniosły się znakomicie, wytworzyła się atmosfera krzepiąca, a chwilami nawet wesoła. Na rozłożonych poduszkach grywaliśmy w whista i w preferansa, przyczem jeden z kolegów stał zawsze na warcie, przy »judaszu« i ostrzegał nas w złodziejskim żargonie wyrazami »epu« i »abcyng« o zbliżaniu się lub oddalaniu strażnika. Pod wieczór śpiewaliśmy chórem piosenki, czerpane z repertuaru naszej »Lutni« studenckiej, która w tym czasie pod kierownictwem kolegi Śląskiego doskonale się rozwijała. Ten i ów zaczynał także próbować solowego śpiewu. Celował w tem zwłaszcza Staś Muszyński, który wcale wdzięcznym tenorem wywodził:

»Kochanek mnie porzucił
Już temu wiele, wiele lat...«

albo:

»Nie wyganiaj owczareczku
Owiec na runię,
Bo ci owce wyzdychają,
Ciebie zabiją«.

Najulubieńszą jednak naszą pieśnią chóralną była parodja popularnej wówczas w Warszawie arji z »Zakłętego zamku«.

Strawestowana przez kolegę Muttermilcha arja tej operetki kończyła się podchwytywanym radośnie przez wszystkich refrenem:

I ci, co trupy tną,
I ci, co mądrość swą
W kodeksach czerpać chcą,
I ci, co Tour'a¹ wciąż
Obchodzą niby wąż i t. d.

Była tu mowa, oczywiście, o nas wszystkich — o medykach, prawnikach i przyrodnikach.

W takich warunkach czas biegł nam stosunkowo szybko. Monotonne dni więzienne miały niepostrzeżenie i dzień 20 lipca — termin dla »trzymiesięcznych« — niemal nas zaskoczył.

Dnia tego odzyskałem wolność i opuściłem więzienie wraz z obu Kirkorami, Bobińskim, Dąbrowskim, Grudzińskim i Trenknerem.

Na czwarty miesiąc pozostali jeszcze w sali Sybirskiej: Kossobudzki, Jasiński, Szumkowski, Karoli i Muszyński.

¹ Znana wówczas w Warszawie cukiernia na Krakowskim Przedmieściu, na wprost Uniwersytetu, *rendez vous* prawników.

Była godzina 7 w odwieczarz, a więc pełnia jeszcze długiego dnia letniego, kiedy po załatwieniu formalności w kancelarji i otrzymaniu z powrotem wszystkich, zabranych mi przy rewizji rzeczy, znalazłem się na ulicy, poza bramą więzienia.

Nie było dorożki i musiałem pójść piechotą aż do rogu Karmelickiej. Tam dopiero znalazłem jakiś niepozorny wehikuł, który odwiózł mnie na Mokotowską do mieszkania matki, oczekującej niecierpliwie wraz z siostrą na mój powrót.

Mimo, że widywałem się z matką i siostrą co tydzień, bo obie regularnie odwiedzały mnie w więzieniu, powitanie nasze było bardzo czułe i pełne łez w oczach tych dwóch drogich mi kobiet. Przygotowały one wszystko w domu na moje przybycie, za co im byłem i jestem do dzisiaj niesłychanie wdzięczny.

Złożywszy też daninę uczuciom, natychmiast wziąłem ciepłą kąpiel, zmieniłem bieliznę i ubranie, poczem zbiegłem na dół do znajdującego się w pobliżu fryzjera, aby pozbyć się zbyt długiej czupryny i przyszczyć brodę, która urosła mi w ciągu trzech miesięcy, zmieniając mój wygląd.

»Ucywilizowany«, wróciłem do domu, gdzie zasiedliśmy do wieczerzy. Nakryty białym obrusem stół, na stole kwiaty, talerze i szkło kryształowe, podający do stołu potrawy stary Antoni w białych, nicianych rękawiczkach, wszystko to, od czego do szczętnie odzwyczaiłem się w więzieniu, żenowało

mnie w pierwszej chwili. Niedogodnie było mi nawet siedzieć na krześle i niedogodnie posługiwać się nożem i widelcem.

Natomiast rajem prawdziwym wydało mi się łóżko, zasłane świeżo powleczoneą pościelą, pachnącą tak, jak tylko w szafach mojej matki pachniała bielizna — niezapomnianym zapachem domu i lat dziecięcych.

Zasnąłem i spałem tej nocy, jak król.

W D O M U

Obudziłem się późno. Przy łóżku mojem na tacy z herbatą leżała depesza od ojca, który wzywał mnie do natychmiastowego przyjazdu do domu, na Wołyń, dla wspólnego naradzenia się nad tem, co dalej zrobić.

Bez pozwolenia policji nie mogłem ruszyć się z Warszawy, byłem bowiem obowiązany do udania się »prosto i bez zatrzymania« do Orenburga dla stawienia się tam do dyspozycji miejscowego gubernatora.

Wiedziałem jednak już od kolegów, że przysługuje nam prawo starania się o odroczenie terminu wyjazdu, i że stosunkowo łatwo władze udzielają nam zwłoki tygodniowej »dla uregulowania interesów«.

O taką zwłokę należało się jednak starać. Wstałem więc, ubrałem się w galowy mundur i poszedłem do ratusza aby zameldować się generałowi Kleigelsowi i wytłumaczyć mu, że muszę jechać do domu.

Ówczesna groza Warszawy i — trzeba przyznać bezstronnie — energiczny jej »czyściciel«, który, stosując ostre kary administracyjne, zdołał w krótkim czasie doprowadzić do porządku przynajmniej wśród

mieście — generał przyjął mnie uprzejmie i na doręczonem sobie podaniu sam nakreślił niebieskim ołówkiem »razrieszajetsia«.

Wyraził przy tem żal z powodu, że »nawarzyliśmy sobie piwa, które teraz musimy wypić ku strapieniu rodziców«.

Oczywiście, nie mogłem wdawać się z nim w dyskusję, przyjąłem więc to powiedzenie z dobrodziejstwem inwentarza i skłoniłem się generałowi. Podał mi rękę i rozstaliśmy się »jak przyjaciiele«.

Taką komedję wytwornej uprzejmości umieli doskonale odgrywać rosyjscy dygnitarze, a że generał Kleigels należał do typu dobrze wychowanych i obytych z formami towarzyskimi wojskowych, przeto, gdy chciał, umiał być nawet miłym. Był to mężczyzna dobrego wzrostu, postawny i elegancki, pomimo otyłości, w ruchach zgrabny i sprawny. Znać na nim było nie tylko wojskową lecz i salonową tresurę. Zrobił też na mnie, pomimo wszystko, wrażenie dobre. Umiał reprezentować władzę, znieprawdzoną wprowadzić przez nas, ale, bądź co bądź, silną jeszcze wówczas i umiejącą tę siłę uzewewnętrznić.

Z ratusza udałem się wprost na stację kolejową miejską, aby zaopatrzyć się zawczasu w bilet na pociąg wieczorny.

Całe poobiedzie spędziłem z matką i siostrą. Byliśmy na spacerze w Alejach Ujazdowskich, byliśmy na lodach na »Patelni« (tak nazywano cukiernię

Semadeniego, znajdującą się na rogu Alei Róż i Alei Ujazdowskich, gdzie później stanął dom Szelechowa, a gdzie dzisiaj znajdują się biura Ambasady francuskiej). Do domu wróciliśmy dopiero o zmierzchu, a po kolacji natychmiast pojechałem na dworzec Nadwiślański (dzisiaj Gdański), skąd o godzinie 10 wieczór odchodził mój pociąg w stronę Kowla.

Droga do nas była dość daleka. Jechało się 12 godzin. Dopiero więc nazajutrz, o 10 rano, wysiadłem na »naszej« stacji, w Rożyszczach (druga stacja za Kowlem w kierunku Zdołbunowa). Był piękny, słoneczny, lipcowy dzień. Na peronie zauważyłem, przechadzającego się, jak zwykle, pośrednika i kupca zbożowego, Jakóba Gottlieba z Rożyszcz, który pozostawał w stałych z ojcem moim stosunkach. Był to żyd już »ucywilizowany«, mówiący jeszcze po polsku prywatnie, ale publicznie używający już tylko języka rosyjskiego. Tak było wówczas na Wołyniu. Młodsze pokolenie żydów miejscowych garnęło się już wcale nie dwuznacznie ku rosyjskości i szło na rękę rządowi w jego rusyfikacyjnych tendencjach. Powitał mnie więc Gottlieb po rosyjsku. Ucieszył się bardzo z mego przyjazdu i sądził, że będzie to wielka niespodzianka dla ojca. Zawiadomił mnie także, że konie z domu przyszły wczoraj, że je przenocował u siebie i że wszystko do dalszej drogi jest gotowe. Skinął na swego »miszuresa« i kazał mu odnieść moją walizkę do siebie. W ślad za miszuresem poszliśmy obaj na śnia-

danie, bo taki był zwyczaj, że spożywaliśmy je zawsze przed wyjazdem u Gottlieba. Tu przeszedł on dopiero na język polski.

W pośpiechu łykałem gorącą herbatę, chcąc jak najprędzej znaleźć się na bryczce. Ale dobry kwadrans minął zanim zajechały konie. Była to para kasztanów, umyślnie wytrenowanych do jazdy szarabanem. Do domu mieliśmy z Rożyszcz 42 wiorsty, jak obszył. Przestrzeń tę przy dobrej drodze kasztanki przebywały w ciągu $3\frac{1}{2}$ godzin, był to czas rekordowy.

Powozili nasz stangret, ulubieniec matki, Osyp, lubiący wypić, lecz w koniach rozkochany, dbały o nie, a nadewszystko woźnica wytrawny i przeczorny.

Z radością witał się ze mną, a że walizka moja była już na szarabanie, przeto, nie tracąc czasu, pożegnałem Gottlieba i ruszyliśmy z miejsca.

Szybko minęliśmy miasteczko, jego niskie, drewniane domy, jego małe ogródki, których jedyną ozdobą były osadzone na drążkach niebieskie szklane kule, oznaka bliskiego sąsiedztwa huty, będącej naszą własnością. Tuż za miasteczkiem rozpoczynały się na świeżem jeszcze karczowisku leśnem kolonie czeskie a potem szła już szosa. Z tej szosy, po przebyciu kilkunastu wiorst, zbaczaliśmy przy karczmie na rozstajach w lewo, na szeroki, wołyński trakt, prowadzący do Włodzimierza.

Trakty wołyńskie są bardzo pierwotne, ale mają

swój niepospolity urok — urok przestrzeni i swobody. Są to drogi odwieczne, wyjeżdżone i ujeżdżone przez pokolenia. Szerokość ich sięga stu metrów. W lecie, przy suchej pogodzie, jedzie się po nich, jak po klepisku, wołyńska bowiem glina, kiedy wyschnie, jest równa, jak stół. Za to jesienią, kiedy ją rozmoczą deszcze a rozrobią wozy bałgulskie, konie grzęzną tam po brzuchy.

Tego dnia jechaliśmy cudownie i, mijając każdy ślup wiorstowy, ze wzruszeniem stwierdzałem, że jestem coraz bliżej domu.

Mój Boże! Tyle razy tę drogę przebyłem, i w lecie, i w zimie, po grudzie i po śniegu, a nigdy nie witałem z takim sentymentem tego pejzażu i nigdy nie miał on dla mnie takiej wymowy, jak wówczas, w tym pamiętnym dla mnie dniu. Nigdy nie pachniały mi tak cudownie lasy wołyńskie, jak wtenczas. Nigdy nie kłaniały mi się tak przyjaźnie stare czereśnie, posadzone czyjąś dobroczynną ręką przy trakcie, jak tego popołudnia, o zachodzie słońca.

Już niedaleko. Mijamy Zaturce Raciborowskich z naszym kościołem parafjalnym, mijamy Chołopce starego Felicjana Starczewskiego. Po prawej stronie traktu rozsiadła się wieś, zasobna i ludna. Od dworu, który zapadł w gąszcz sadu, dzieli ją staw, zarośnięty szuwarami, pamiętny pierścieniem, który tam utopił pan Felicjan, rozstawszy się z żoną i złożyłszy śluby, że połączy się z nią ponownie,

gdy mu na stół wigilijny podadzą szczupaka, który ów pierścień połknął. Nie nastąpiło to nigdy. A dalej, za lasem, Rudnia i Ozdziutycze. Ozdziutycze Bielskich, gdzie z przyjaciółmi młodości, Władysławem Bielskim i Tadeuszem Jewniewiczem, który przyjeżdżał tam na wakacje z Petersburga (obaj byli studentami Instytutu technologicznego), spędziliśmy tyle chwil miłych, obtańcowując wieczorami panny a o świcie wychodząc na kaczki, na groblę chołopecką.

Jeszcze kilkadziesiąt stajń i już nasz las, nasz dom.

Nagle Osyp zatrzymuje konie.

— Dla czego?

— Młody pan nie kazał zajeżdżać przed dom. Kazał się tutaj zatrzymać.

Rozglądam się i za chwilę jestem już w objęciach mego starszego brata, Gustawa. Biedak, płacze ze wzruszenia. I ja mam także łzy w oczach.

Tłumaczy mi, że przedsięwziął taką ostrożność, aby nikt nie wiedział, że przyjechałem. Byłem tu zawsze pod nadzorem policji, urzędnik niedawno dopytywał się o mnie, czy i kiedy przyjadę, lepiej więc, żeby nikt przyjazdu mego nie spostrzegł, tembardziej, że wszystko jest przygotowane do mojego... wyjazdu zagranicę.

Otwieram na to szeroko oczy.

— Tak jednak ojciec postanowił.

— Nie mam najmniejszego zamiaru korzystać z waszych ułatwień.

— To omówimy dopiero z ojcem.

Odprowadzamy więc konie i lasem, który łączył się bezpośrednio z ogrodem, idziemy do domu.

Ojca zastajemy w jego pokoju. Jest serdeczny, bardzo nawet serdeczny ale poważny i zatroskany. Rozumiem go dobrze, nawet bardzo dobrze. Sam uczestnik powstania 1863 roku, który cudem uniknął Sybiru, uciekłszy z więzienia w Olkuszu w przeddzień deportacji, nasiąknął później w Szkole Głównej pozytywizmem tak dalece, że poza pracą organiczną, poza hasłem dobrobytu i liczenia się z realnymi warunkami nie uznawał nic innego. Był przeciwnikiem wszelkich protestów, wszelkich manifestacji.

— Nie narażajcie siebie i kraju — mawiał do nas — bo to się psu na budę nie zda. Jest źle, ale bywa gorzej i może być gorzej. Lepiej więc cicho siedzieć.

Nie mogłem się dziwić, że wobec takich zasad nie w smak mu była moja przygoda więzienna.

Chciał mnie jednak z obieży, w którą się dostałem, wydobyć. Chciał, abym najmniejszym kosztem opłacił tę »nieroztropność« i dla tego postanowił wysłać mnie na dokończenie studjów do Lwowa, gdzie mieliśmy bliską rodzinę.

Mieszkaliśmy w pasie nie ściśle nadgranicznym, lecz bardzo bliskim granicy. Z tego tytułu pomię-

dzy tą częścią Wołynia a Lwowem były częste stosunki. Tam ziemiaństwo polskie zaspokajało swoje potrzeby kulturalne. Tam jeździło się nawet bawić podczas karnawału. Kto miał prawo do przepustek, ten otrzymywał je z łatwością. Oczywiście, ja takiego prawa w danej chwili mieć nie mogłem. Zamówiono więc znanego koniokrada i przemysłnika, żyda Morgulca z Horochowa, który był zapanbrat ze wszystkimi »objeszcznikami« i ten za cenę 25 rubli zobowiązał się przeprowadzić mnie przez zieloną granicę i przynieść ojcu moje pokwitowanie.

Nie było w tem nic niebezpiecznego, ale nie leżało to w moich planach. Wyjechać nielegalnie za granicę znaczyło pozbawić się raz na zawsze prawa powrotu do kraju. Nadto nie miałem jeszcze wówczas wojska odsłużonego, gdyż jako student korzystałem z odroczenia do czasu ukończenia wykształcenia. Odroczenie to przestało obowiązywać z chwilą wydalenia mnie z Uniwersytetu, gdybym więc wyjechał, uznano by mnie za zbiega przed wojskowością. Komplikowało to znacznie sprawę.

Przez kilka dni mówiliśmy o tem nieustannie z ojcem, a że brat był po mojej stronie, przeto przekonał się go w końcu, że mniejszą szkodą dla kariery życiowej jest dwuletnie, lojalnie odbyte wygnanie, które nie wyłącza później studjów na jednym z uniwersytetów w państwie, aniżeli ucieczka, równoznaczna ze spaleniem wszystkich mostów za sobą.

Staęło tedy na tem, że wracam do Warszawy i jadę do Orenburga.

Od tej chwili pobyt mój w domu stał się jawny. Nie potrzebowalem się ukrywać przed nikim. Odzyskałem swobodę ruchów. Mogłem się nawet pokazać w sąsiedztwie.

Pojechaliśmy więc z braćmi (drugi mój brat, Bohdan, przyjechał był właśnie na wakacje z Winnicy, gdzie ukończył szkołę realną) do Pawłowicz, gdzie siedzieli dzierżawą Kłopotowscy, typowa szlachta kresowa, bardzo zaprzyjaźniona z naszym domem.

Pawłowicze, niegdyś majątność Steckich, były dobrami skontiskowanymi, z których rząd rosyjski wydzielił 200 dziesięcin i ofiarował je geometrze Anserowowi, który pracował w tych okolicach po ukazie uwłaszczeniowym. Pozostało po nim trzech synów, wszyscy trzej z gatunku braci Karamazowych, pijanice i rozpustnicy, Alosza, Misza i Wasia. Nie mogli oni dać sobie rady z gospodarstwem, wydzierżawili więc ziemię Kłopotowskiemu wraz z połową domu. Sami zajmowali drugą połowę i przepijali tam sumiennie tenutę dzierżawną w towarzystwie miejscowego popa i nauczyciela ludowego.

Pojechaliśmy także do Tworynicz odwiedzić garbuska Piwnickiego, od którego ojciec mój kupił las na użytek huty.

Była to bardzo ciekawa postać szlachcica - degenerata.

Tworynicze odziedziczył ów Piwnicki po swoim

stryju, ostatnim biskupie łucko-żytomierskim. Majątek był piękny, ale topniał z dnia na dzień w rękach tego dziwnego człowieka, oplatanego przez żydów. Rzecz znamienna! Piwnicki nie wyjechał nigdy poza Łuck i Włodzimierz. Najczęstszym gościem bywał w Łokaczach, u starego Wolka, żyda, który obok swojego sklepu z towarami łokciowym utrzymywał pokój z wódką i zakąskami, gdzie okoliczni ziemianie *minorum gentium* zgrywali się ordynarnie w baka i w stukulkę. Tam rosły także długi Piwnickiego, poza tem bowiem żył stosunkowo skromnie. Jedy-
nym jego zbytkiem był harem, złożony z kilku prostych dziewczek wiejskich, które utrzymywał, ale to nie kosztowało wiele. Tymczasem majątek djabli brali i wzięli go w końcu doszczętnie.

Podobnych przykładów »rozłożenia się« fortun szlacheckich było zresztą, w okolicy więcej. Mogłaby o tem wiele powiedzieć ówczesna palestra łucka i może powiedziała, jeśli który z praktykujących tam w latach 1885—1905 adwokatów, z Eugenjuszem Starczewskim, Bronisławem Kuczyńskim i Felińskim na czele napisał swój pamiętnik — ale to jest, niestety, bardzo wątpliwe.

Odwiedziliśmy także, bo lubiliśmy tam jeździć »na piwo«, naszych przyjaciół, prawosławnych Czechów w Kupieczowie, w pobliżu Kisielina Olizarów. Była to wzorowa kolonja, dobrze zagospodarowana i zamożna. Atrakcją jej stanowił rodzaj kasyna, gdzie schodzili się Czesi i, popijając piwo, gwarzyli

o swoich sprawach sąsiedzkich. Czasem, gdy nowin było mało a roboty w polu już ustały, potrafili siedzieć tam godzinami w milczeniu, które przerywał tylko monotonny przyśpiew pijacki:

»Lepsza jest pánenka, nežli vdová,
Lepsze jest piveczko, nežli vodá«.

Znano nas tam doskonale, spędziliśmy więc miły z »pobratymcami« wieczór.

Tak zbiegło mi kilka ostatnich dni. Mój tydzień, przeznaczony »na uregulowanie interesów« dobiegał końca i trzeba było wracać do Warszawy.

Ojciec wręczył mi czterysta rubli, ucałował i pobłogosławił. Spłakaliśmy się wszyscy. I dzisiaj jeszcze, po latach trzydziestu pięciu, mam łzy w oczach, kiedy wspominam tę chwilę.

Konie zajechały przed ganek. Cała służba, wszystkie psy przed domem. Jeszcze ostatnie uściski, ostatnie wyrazy i w drogę. Oglądam się za siebie i widzę przez dłuższą jeszcze chwilę ojca i braci, machających ku mnie rękami. Potem zakręt i znikają mi z oczu. Jestem sam. Na dworze wietrzno i chłodno. Prószy drobny deszczyk. Czuję obejmujący mnie dreszcz. Owijam się starannie w swój szynel studencki, stawiam kołnierz do góry i zaczynam rozmyślać: Czy wrócę tu jeszcze? kiedy? W jakich okolicznościach i warunkach?

Tymczasem konie mkną rażno. Osyp kurzy swoją fajkę. Czuję jej ciepły dym na twarzy. Zapada wieczór. Mam czasu dużo. Pociąg odchodzi

o 1½ do 2 w nocy. Zauważyłem, że wyjechałem, ale już się stało.

Po dwóch godzinach jazdy popasamy krótko w karczmie na rozstajach i znów dalej w drogę. Kasztanki spisują się dobrze i o 12 jestem już w Rożyszcach. Wsiadam. Żegnam się z Osypem i daję mu całego rubla na tytuń. Jest bardzo wzruszony. Całuje mnie w rękę. Klepię jeszcze konie po zmydlonych szyjach i za chwilę znikam w zapotniałych, oszklonych drzwiach dworca kolejowego. Kupuję bilet, potem błąkam się po zadymionej poczekalni III klasy, bo sala I i II jeszcze zamknięta, wreszcie podchodzę do bufetu i wypijam kieliszek konjaku dla »courage'u«. Jest mi przeraźliwie smutno i samotnie. Przywołuję się jednak do porządku i siadam w korytarzu na drewnianej ławce obok jakiegoś poleszuka, który jedzie do Kowla. Gwarzę z nim. Czestuję go papierosem i tak jakoś czas schodzi. Słyszę bijący sygnał i wiem, że pociąg wyszedł już z Klewania. Jeszcze dwadzieścia pięć minut. I te jednak mijają jakoś. Sapiąc i ciężko dysząc, jakby ze zmęczenia, lokomotywa wtacza się na peron. Wychodzę przez szeroko otwarte drzwi, mieszam się z publicznością i wsiadam do wagonu. Specyficzny zapach nagrzanego pudła sprawia mi przyjemność i uspokaja nerwy. Reszty dokonywa miarowy stuk wagonu po szynach. Wreszcie zmęczenie bierze górę i zaczynam drzemać.

Noc mija spokojnie. O 2 popołudniu dojeżdżam

do Warszawy. Od strony Pragi widzę panoramę miasta, tak dobrze mi znaną, taką malowniczą. Wpatruję się z radością w kontury wież Panny Marji i Św. Jana, w spiętrzoną gromadę domów Starego miasta, w cały, drogi sercu, obraz stolicy.

Pociąg zwalnia biegu, żółwiem tempem przesuwa się przez most na Wiśle i za chwilę staje na dworcu.

Jestem więc u celu. Matka z siostrą czekają na mnie i zabierają natychmiast do zamówionej doróżki. Mamy sobie tyle do powiedzenia. Tem więcej, że matka jest w całej tej »sprawie« po mojej stronie. Córka ułana z 1830 roku, ранnego w bitwie pod Dębem Wielkim, wychowana w najpatriotyczniejszej atmosferze, miała młodość »górną i chmurną« w latach manifestacji narodowych i powstania 1863 roku i zachowała w duszy entuzjazm tych czasów. Nie była pesymistką i nie znała rezygnacji. Wierzyła i miała nadzieję. Rozumowała nadto po chrześcijańsku, że bez ofiary nie może być odkupienia. To było pomiędzy nami mostem porozumienia i wzajemnego odczucia. Wiedziałem, że niema mi za złe, że swoim więzieniem przyczyniłem rodzicom zmartwienia i kłopotu. Przeciwnie, po cichu była nawet dumna z tego, że i jej syn poszedł z innymi i nie uchyla się teraz od odpowiedzialności za czyn popełniony. Uznała więc za słuszne to, że nie uciekam zagranicę.

W Y J A Z D

Po powrocie do Warszawy poszedłem natychmiast do Kirkorów, na Wspólną.

Cały dom gotował się do podróży. Cała rodzina, na skutek udziału swego w manifestacji 17 kwietnia, skazana była na deportację do gubernji permskiej. Na czele tej rodziny stała wyjątkowo piękna postać Polki-obywatelki na miarę niepowседневną, p. Celina z Boczkowskich Kirkorowa, wdowa po ś. p. Adamie Honorym Kirkorze, znanym archeologu, autorze słynnego »Przewodnika wileńskiego« i redaktorem b. »Kurjera wileńskiego«.

Zjechała ona do Warszawy z Wilna w r. 1891 dla wykształcenia wychowywanych przez siebie siostrzeńców: Dymitra i Michała, którzy rozpoczynali właśnie studia uniwersyteckie na wydziale lekarskim (Dymitr, młodszy w r. 1891, Michał, starszy w r. 1892), oraz siostrzenicy, Heleny, która kształciła się w muzyce pod kierunkiem Antoniego Sygietyńskiego.

Młodzi Kirkorowie — wszystko troje — wskutek jakiegoś fatalnego zbiegu okoliczności w rodzinie, byli wyznania prawosławnego.

Tembardziej należało wykapać ich dusze w atmosferze czysto polskiej, gdzie mogłyby nabrać hartu

i odporności — i dla tego pani Kirkorowa obrała Warszawę, jako miejsce ich dalszej nauki.

Mimo skromnych środków, jakimi rozporządzała, nie wahała się tego uczynić.

Była to wówczas kobieta lat już przeszło pięćdziesięciu, o pięknej postawie, dużej inteligencji, szerokim wykształceniu i rozległych stosunkach. Jako w młodej panience, kochał się w niej podobno Syrokomla, za autentyczność jednak tej wersji nie ręczę. Obyta w świecie, miała ona przyjaciół nie tylko na całej Litwie i w Polsce, lecz i poza ich granicami, w Paryżu zwłaszcza, gdzie wiązał ją stosunek bliższej zażyłości z wieloma przedstawicielami nauki i literatury, z którymi prowadziła od szeregu lat ożywioną korespondencję.

Pani Celina Kirkorowa miała szczególny dar ujmowania sobie ludzi. Pogoda umysłu i ducha, swoboda a zarazem wykwint w obcowaniu, rzadka umiejętność współczucia z ludźmi i łatwość rozumienia ich trosk i kłopotów przy chęci dopomoczenia każdemu i zawsze swoją radą i stosunkami, torowały jej drogę do wszystkich serc. Nic też dziwnego, że jej dom w Warszawie stał się w krótkim czasie najmiłszym domem naprzód dla grona najbliższych kolegów Dymitra, do których należałem wraz z Konradem Glińskim¹ i Henrykiem

¹ Leon Konrad Gliński po skończeniu medycyny w Krakowie habilitował się na tamtejszym Uniwersytecie na katedrze

Trenknerem¹, później dla coraz szerszego koła młodzieży.

W niewielkim, czteropokojowym mieszkaniu na III piętrze gromadziło się tam nieraz po 20—30 osób dla wspólnej wymiany myśli lub dla wspólnej zabawy.

Tego typu zebrania, dość rozpowszechnione w ówczesnej Warszawie w sferze inteligencji, miały tę dobrą stronę, że nie były »przyjęciami«, obarczającymi gospodarstwo większymi wydatkami, a dawały gościom rzeczywisty pokarm duchowy.

Życie intelektualne, a także życie społeczne i polityczne, biło wówczas dość przyśpieszonym tętnem w stolicy. Zwłaszcza wśród młodzieży uniwersyteckiej panowało jakby podniecenie. Na coś się ciągle zbierało, coś unosiło się w powietrzu.

Zaraz w pierwszym roku naszego pobytu w Uniwersytecie (1891/92) weszliśmy do koła studenckiego, na którego czele stał student II kursu przyrody, Stanisław Wojciechowski², zmuszony na wiosnę 1892 roku do ucieczki za granicę.

Należeliśmy obaj z Dymitrem Kirkorem do kółka, którego ideowymi przewodnikami byli: Władysław Kierst, Adam Jasiński i Józef Ciagliński. Wprowa-

anatomji patologicznej. Umarł jako profesor nadzwyczajny tego przedmiotu w r. 1918.

¹ Henryk Trenkner jest znanym lekarzem pediatrią w Warszawie.

² W latach 1922—1926 Prezydent Rzeczypospolitej polskiej.

dził nas tam kolega nasz i przyjaciel, Władysław Kania.

W Kółku panował duch narodowy z silnem jednak zabarwieniem społecznem i rewolucyjnem. Nie było jeszcze wówczas pomiędzy młodzieżą tego podziału na wrogie i zwalczające się obozy, jaki wytworzył się później. Byliśmy raczej wszyscy kandydatami na polskich socjalistów, to też powstająca dopiero polska partja socjalistyczna (P. P. S.), zarzuciwszy sieci swoje na uniwersytet warszawski, obfity zagarnęła tam dla siebie połów. Jednocześnie część młodzieży, usposobionej bardziej radykalnie, poddała się komendzie socjalno-demokratycznej, część zaś, pragnąca realnie pracować dla kraju, znalazła się w szeregach Związku młodzieży, organizacji przygotowawczej do Ligi narodowej, z której w następstwie dopiero i to na gruncie galicyjskim wyłoniła się Demokracja narodowa.

W czasach jednak, o których piszę, to wszystko zaledwie kiełkowało. Na ogół byliśmy jeszcze, jeśli nie jednakowej, to bardzo podobnej do siebie maści społecznej i politycznej, której podkład zasadniczy stanowiła jednak doktryna socjalistyczna.

Wystarczy, jeżeli dla poparcia tych słów nadmienię, że pierwszą rozprawą, jaką napisałem na zebraniu kółkowe (rozprawy takie pisywał każdy z nas kolejno, poczem poddawano je zbiorowej dyskusji) była rozprawa na temat: »Dane, na których opiera się nasza wiara w lepszy ustrój przyszłości«.

Oczywiście, »dane« te były zaczerpnięte w całości z Engelsa, który stanowił wówczas alfę i omegę naszej wiedzy i wiary społecznej.

Członkowie naszego kółka odznaczeni się głębokiem i szczerem oddaniem sprawie odrodzenia narodowego i przebudowy społecznej Polski. Pracowaliśmy też naprawdę sumiennie nad rozwiązywaniem rozmaitych zagadnień, a chociaż daleko nam było do rzeczywistego ich rozwiązywania, bo nie mieliśmy ani dostatecznego do tego przygotowania naukowego, ani doświadczenia życiowego, to jednak niewątpliwie płynął z tego — i to dość duży — pożytek dla naszych umysłów.

Poza kółkiem pracowaliśmy jeszcze w Towarzystwie oświaty narodowej, pod kierunkiem Stanisława Rutkowskiego, wytrawnego już na tem polu działacza. Tam zajmowaliśmy się naprzód oceną książek, przeznaczonych dla ludu a potem kolportowaniem tej literatury, zarówno legalnej, jak nielegalnej, wśród robotników i włościan. Byliśmy cenzorami dość surowymi i jeżeli rzecz jakaś odchyłała się tylko cokolwiek od naszego »programu«, to dyskwalifikowaliśmy ją bezwzględnie.

Kontakt z »ludem« nawiązywaliśmy w Warszawie za pośrednictwem bezpłatnych czytelní W. T. D., gdzie urzędowało się przez kilka godzin w niedzielę przy wypożyczaniu książek, na wsi — przez osobiste stosunki z dworami i chałupami, o ile kto je posiadał.

W takiej atmosferze zbiegły nam początkowe lata studjów.

Oczywiście, ideologję »naszego« kółka wnieśliśmy także na zebrania tygodniowe do domu pani Kirkorowej, gdzie z biegiem czasu bywaliśmy prawie wszyscy, bo każdy z nas miał prawo wprowadzania nowych gości. Tak więc Trenkner wprowadził Kazimierza Rzętkowskiego i Jana Dudzińskiego, ja Adama Jasińskiego i obu Uścińskich, Jerzego i Edwarda, Konrad Gliński Kanię i t. d.

W ten sposób grono nasze rozszerzyło się znacznie w ciągu 3 lat i w roku 1894 bywało nas tam, rzadziej lub częściej, z górą 20 studentów. A jeżeli dodamy do tego płeć piękną a wśród niej przedewszystkiem stałe mieszkanki domu pani Kirkorowej, przeżyła, studującą malarstwo, pannę Celinę Brygiewiczównę i uroczą pannę Kazimierę Jasiukowiczównę, która w roku 1893 przybyła do Warszawy ze Smoleńszczyzny, a nadto pełną zapału do nauki, czarną i czarnowłosą pannę Irenę Palczewską, która właśnie wybierała się zagranicę na studia lekarskie, to będziemy mieli pogląd na to, jak wyglądał »salonik« na Wspólnej w przeddzień manifestacji 17 kwietnia.

Rzecz naturalna, że całe, gromadzące się tam, towarzystwo wzięło udział w manifestacji i — z nielicznymi tylko wyjątkami — poniosło jej następstwa.

Wyjeżdżali też prawie wszyscy. Postanowiona była podróż wspólna, a że pod opiekę pani Kirko-

rowej oddano także panny: Zofję Grabską i Janinę Kreczyńską, przeto sformowała się »partja« liczebnie wcale pokaźna.

Kiedy przyszedłem do Kirkorów, ustalano właśnie ostateczny termin wyjazdu.

Jak zwykle u nas, były dwa odmienne poglądy, dwa obozy. Jeden pragnął działać na zwłokę i radził zabiegać jeszcze u władz o przedłużenie owego tygodnia, uzyskanego na »uregulowanie interesów«, których, Bogiem a prawdą, poza czysto uczuciowymi węzłami, łączącemi nas z Warszawą, nie mieliśmy wcale, drugi natomiast obóz rozumował logicznie, że, skoro termin naszego wygnania będzie się liczył od dnia przybycia na miejsce, przeto w naszym interesie leży nie zwlekać z wyjazdem, bo im wcześniej wyjedziemy teraz, tem wcześniej będziemy za dwa lata wolni i zdążymy jeszcze zająć się sprawami, związanymi z ponownem naszym wstąpieniem do uniwersytetu, co, jak wiadomo, rozstrzyga się w okresie wakacyjnym.

Ten drugi pogląd zwyciężył i zapadła uchwała niezwłocznego wyjazdu.

Wiadomość tę przywiozłem do domu, gdzie jednak liczono jeszcze na to, że sprawa się odwlecze. Nastąpiło przykre rozczarowanie.

Zostawało mi tylko 36 godzin na przygotowanie się do podróży. Zająły się tem nazajutrz od rana matka z siostrą, które z wielką troską pakowały przeznaczony dla mnie kufer. Jak dalece ta troska

była przewidująca, o tem przekonałem się dopiero po przybyciu na miejsce i rozpakowaniu kufra. Znalazłem w nim wówczas mnóstwo drobiazgów przydatnych i pożytecznych, których sam nie zabrałbym z sobą nigdy. Umieściły je tam kochające serca. Nie brak tam było i starej książki do nabożeństwa z pieśniami konfederatów barskich, które bardzo lubilem. Nie brak było także »Pana Tadeusza« i »Ksiąg pielgrzymstwa«, co wielką było później dla mnie radością.

Byłem gotów na czas i, odprowadzony przez matkę i siostrę, stawilem się na dworcu petersburskim (dzisiaj wileński) na dobrą godzinę przed odejściem pociągu.

Na peronie były tłumy, odprowadzały nas bowiem nietylko rodziny, nietylko liczni koledzy uniwersyteccy, lecz i zgoła nawet nieznajomi ludzie. Wyglądało to na manifestację i było istotnie manifestacją przyjaznych dla nas uczuć społeczeństwa, które, przybite niewolą, zrozumiało jednak cel i charakter naszego przeciw tej niewoli protestu. Przyniesiono nam mnóstwo kwiatów i mnóstwo słodyczy.

Policja, jawna i tajna, która obserwowała to wszystko, musiała wyciągać z tego odpowiednie wnioski. Ku naszemu zdziwieniu jednak zachowywała się spokojnie i nie przeszkadzała w niczem objawom wyładowującego się na stacji uczucia patriotycznego. Przekonywała się w ten sposób, że nie byliśmy

w społeczeństwie sami, że stała za nami opinia Warszawy żywej i nie pogodzonej bynajmniej ze swym losem.

Ze strony naszych organizacji studenckich zgłoszali nas starsi koledzy, były prezes Koła, dr. Jan Szmurło i Bolesław Jakimiak. Oczywiście, nie mogło być mowy o przemówieniach. Zastąpiły je gorące uściski i słowa, szeptane do ucha.

Owładnaliśmy całym wagonem, którego urządzeniem zajął się odrazu Henryk Trenkner. On też objął nad nami »dowództwo« i jemu zwierzyliśmy troskę o nasz posiłek w drodze, co, zresztą, zapewniały nam znakomicie liczne prowianty, sprowadzone odrazu do wspólnego mianownika.

Zabrzmiął pierwszy dzwonek, zbliżała się więc chwila rozstania z najbliższymi. Oczywiście, kobiety nie mogły zapanować nad wzruszeniem i roztkliwiły się nad miarę. Matki i siostry płakały w naszych objęciach. I moja matka płakała także, kreśląc mi na czole znak krzyża, przyjętym w naszej rodzinie zwyczajem przy każdym pożegnaniu. Siostra za to zachowała się »po męsku«.

Drugi dzwonek... Gwar na peronie wzrasta. Trzeba wsiadać do wagonu. Jeszcze ostatnie uściski, jeszcze ostatnie pocałunki i już jesteśmy wewnątrz. Spuszczamy szyby i tłoczmy się przy oknach.

Trzeci dzwonek i ostry głos świstawki prowadzącego pociąg konduktora zapowiadają odjazd. Ruszamy. Koła obracają się powoli. Ten i ów rzu-

coną sobie z peronu wiązaną kwiatów chwyta w locie i przyciska do piersi. Kilkaset rąk podnosi się ku nam ostatniem skinieniem. Wychylamy się i widzimy już tylko szary tłum ludzki a wśród niego, jak czerwoną makówkę, czapkę zawiadowcy stacji. W końcu znika i ta plama barwna, pociąg, stukając na zwrotnicach, wysuwa się poza obręb budynków stacyjnych, w zielone pole, przyśpiesza biegu i unosi nas dalej, coraz dalej ku miejscu przeznaczenia.

Jedziemy narazie do Wilna. Tam, mimo że na naszych »prochodnych swidietielstwach« wypisane jest czarno na białem, że jedziemy »prostą drogą i bez zatrzymywania się«, mamy wyznaczony sobie przez panią Kirkorową postój i wypoczynek na przygotowanych przez jej przyjaciół kwaterach. Jest nam w pierwszej chwili niewesoło. Czujemy, że odwróciła się jedna karta naszego życia a nie wiemy, co los wypisze na drugiej. Stopniowo jednak młodość i gromada biorą górę nad wszystkim. Zaczynamy mościć pledami i kocami siedzenia dla pań i w ciągu krótkiego czasu przeistaczamy drewniane ławki wagonu trzeciej klasy w niemal sleeping'owe łóżka. Sami urządzamy się też, jak można najwygodniej. Zaczynamy gawędzić a potem śpiewać. O zmierzchu urządzamy sobie zbiorową wieczerzę. W Małkini konduktor napełnia nasze podróżne czajniki wrzątkiem i mamy wyśmienitą herbatę.

Trenkner staje się przedmiotem ogólnej owacji.

O wszystkim z góry pomyślał i wszystko z góry przygotował. Jego zmysł organizacyjny odnosi zupełny triumf. Nikt z nas nie przeczuwa jeszcze, że odniesie on po latach taki sam triumf, jako organizator służby zdrowia do walki z tyfusem w Łodzi i w Warszawie w okresie wielkiej wojny. Tymczasem jest tylko naszym intendentem i z zadań swoich wywiązuje się wzorowo. Na jego też komendę tuż za Białymstokiem kładziemy się spać i zasypiamy nareszcie, zapominając o naszej doli wygnańczej.

W I L N O

Pochmurny, szary poranek sierpniowy. Mży drobny deszcz i ścieka cienkimi zygzakowatymi sznurkami po szybie okna, przy którym stoję, usiłując obserwować okolicę.

Minęliśmy już Landwarowo i dojeżdżamy do Wilna. Jeszcze kilkanaście minut i pociąg, sapiąc, wtacza się wolno na stację o nieprzyjemnym charakterze rosyjskich dworców kolejowych.

Uczyniono tu wszystko, co można było uczynić, aby podróżnemu dać wrażenie, że jest w Rosji. Tędy jedzie się przecież z Berlina przez Ejdkuny i Wierzbołowo do Petersburga. Niechże więc Europa zachodnia, która przez tę bramę wjeżdża do Rosji, poznaje ją odrazu ze wszystkich jej cech zewnętrznych, niech odczuwa nawet w atmosferze stacji kolejowej przytłaczającą, ponurą potęgę *samodierżawja*.

Ale nie tylko o Europę tutaj chodziło. Szło także o to, aby z polskiego Wilna zetrzeć cechy jego starodawnej, polskiej kultury a przytwierdzić do niego szyld rosyjski.

Takim szyldem, z napisem oczywiście Wilna nie Wilno, był dworzec kolejowy i to, co go otaczało.

A otaczały go przedewszystkiem małe dorożki

o typie petersburskich »prolotek«, z typowo rosyjskim zaprzęgiem, z malowaną »dugą« nad dyszlami i z najautentyczniejszym »kuczerem« na koźle, w wutowanym, pomimo ciepłej pory roku, »armjaku« i z »samowarkiem« na głowie. Cóż stąd, że ten »kuczer« był z krwi i kości wilnianinem, że po katolicku się żegnał, zdejmował pobożnie swój nizki o szerokich rondach cylinder, przejeżdżając pod łukiem Ostrej Bramy, że mówił przeciągłą, kresową ale najniewątpliwszą polszczyzną... Rozkaz oberpolicmajstra kazał mu się przebrać za moskala, więc się przebrał i był nim nazewnątrz, a zacięty i milkliwy nie dawał nikomu do wnętrza swojej polskiej, wileńskiej duszy przystępu.

Zamówiliśmy takich dorożek dziewięć i wnet kilku »artelszczyków« w białych fartuchach zaczęło znosić na nie nasz drobny bagaż. Ciężkie walizy, kufry i kosze pozostawialiśmy na składzie, wiedząc, że za trzy dni jedziemy dalej.

Gdy wszystko było już gotowe, ruszyliśmy do miasta korowodem. Jechałem w jednej dorożce z Edwardem Uścińskim. Po drodze uderzyły nas dwie rzeczy: nadmiar żydów w mieście i przygnębienie, wiszące jakby w powietrzu na jego ulicach. Przechodnie snuli się jakoś leniwie i sennie. Ruch niewielki. Na węższych ulicach taka cisza, że słychać było odgłos kroków ludzkich. Pod Ostrą Bramą święte ale w tej świętości swojej tragiczne milczenie. Kilkunastu ludzi klęczących na bruku, z obna-

żonemi głowami, wpatrzonych w cudowny obraz, jakby błagających zmiłowania. Twarze zgaszone, smutne. Mieliśmy wrażenie, że w tem posępnem mieście nikt się nie śmieje, nikt nie zna radości, nikt nie ma odwagi przemówić głośno.

Tak było istotnie, ale tylko na zewnątrz, na ulicach. W domach życie wewnętrzne, rodzinne i towarzyskie wyglądało zupełnie inaczej, o czem przekonał się niebawem.

Stanęliśmy kwaterą u państwa Łapińskich, na ulicy Dworcowej. Państwo Łapińscy żyli w przyjaźni z domem Kirkorów, otworzyły się więc dla nas ich podwoje bardzo gościnnie. Nie było to może wówczas na gruncie wileńskim bezpieczne tak się zbierać z — bądź co bądź — »przestępcami politycznymi«, ale pan Łapiński postawił widocznie wszystko na kartę, dając folgę zarówno swojemu uczuciu patriotycznemu, jak i przyjaźni dla pani Kirkorowej.

Dom ten przez trzy dni był »naszym« domem, a jeżeli nie roznieśliśmy go doszczętnie, to już chyba dla tego, że czuwała nad nim łaska Boska. Tu jedliśmy i pili, przyjmowali goście, poznawali najrozmaitszych ludzi, którzy byli spragnieni naszego widoku i bijącej od nas »polskości« i dopiero późną nocą odprowadzono nas na rozrzucone po mieście noclegi.

Państwo Łapińscy byli to przedobrzy ludzie. Oboje z córką okazali nam tyle przyjaźni i życzliwości, że każdy z nas, którzy byliśmy pod tym

dachem gościnnym, z rozrzewnieniem wspomina przedziwnie szlachetną i nawskroś polską atmosferę tego domu, który był jedną z fortec narodowych w gnębionem podówczas Wilnie.

A były to czasy dla Wilna najgorsze, czasy kiedy nie wolno było mówić głośno po polsku na ulicach i kiedy w gmachu pocztowym wisiały owe słynne, które na własne oglądałem oczy, dwa *en regard* umieszczone napisy: po jednej stronie »nie wolno wprowadzać psów«, po drugiej »zabrania się mówić po polsku«.

Z psami nie próbowaliśmy, ale co do języka polskiego, to, będąc na pocztu dla wysłania listów do domu, prowokowaliśmy nim urzędników wcale do dośnie, bez skutku jednak. Nikt na to nie reagował. Oczywiście, rozmawialiśmy po polsku tylko między sobą, przy okienku bowiem trzeba było sprawę swoją załatwiać w języku urzędowym. Była w tem ogromna różnica na korzyść Warszawy, gdzie czyniliśmy to zawsze z całą swobodą po polsku, otrzymując tylko odpowiedzi na swoje pytania po rosyjsku.

Pan Łapiński był radnym miasta Wilna (członkiem »gorodskoj dumy«) i znał doskonale stare Wilno i jego zakątki. Ciceronował nam też niezmordowanie po zaułkach i po kościołach, które zwiedzaliśmy z zapalem młodych turystów, ogromna bowiem większość z pośród nas była poraz pierwszy

w życiu w Wilnie. Podziwialiśmy więc przedewszystkiem jego architekturę, która ma tam wymowę podwójną, raz, jako sztuka, drugi raz, jako murowane świadectwo cywilizacji i kultury zachodnio-europejskiej, która zatrzymała się tu w pochodzie swoim na Wschód. Duma ogarniała nas na myśl, że to Polska była tej cywilizacji i kultury tutaj fundatorką, że to wyrazy widome jej potęgi i chwały w przeszłości spotykamy tutaj na każdym kroku, że to królów polskich i magnatów litewsko-ruskich szcudroblliwość łożyła na te wspaniałe świątynie. Jednocześnie jednak, jako młodzież usposobiona radykalnie, odczuwaliśmy wśród tych pamiątek żywy do naszych przodków żal za to, że w swoim czasie dopuścili, za przewodem Jezuitów, do rozpętania się tutaj walk religijnych, do prawdziwej wojny pomiędzy katolikami a dyzunitami i do powstania tej »sprawy dysydenckiej«, z której w następstwie przebiegła i chytra Rosja broń sobie przeciw Rzeczypospolitej ukuła.

Ale refleksje te były krótkie i przechodziły, jak obłoki, po słonecznym zresztą i pogodnym niebie wspomnień, bo oto zaraz inne Wilno stawało przed naszymi oczami, Wilno, daleko nam bliższe i droższe, z czasów epopei napoleońskiej i z czasów Mickiewiczowskich. Wszakże to Napoleon — powtarzaliśmy sobie — chciał kościół św. Anny, gdyby go można było postawić na dłoni, przenieść do Paryża, jako cenny klejnot.

Wszakże to tędy — wspominaliśmy w dziedzińcu św. Jana, patrząc na złoty napis: »Pierwaja mużskaja gimnazja« — chodzili na wykłady Mickiewicz, Zan, Słowacki i tylu, tylu innych promienistych i filaretów. Wszakże to tutaj rodził się polski romantyzm i tu rosły wielkie skrzydła poezji narodowej.

I nagle wezbrała w nas taka do owych czasów i ludzi tęsknota, że uprosiliśmy Kirkorów, aby nas zaprowadzili na Pohulankę, na miejsce wycieczek i niefrasobliwych zabaw filareckich, bo przecież czuliśmy się im bliscy, byliśmy niejako spadkobiercami ich ideałów, prowadziliśmy dalej, tylko w daleko opłakańszych warunkach, rozpoczętą przez nich pracę.

Poszliśmy pod przewodnictwem dwóch panien miejscowych, wileńskich, pięknej panny Marguerity Python¹, zwanej Ryta, w której kochał się na zabój Michał Kirkor, i p. Antonowiczówny, z którą przyjaźnił się Dymitr.

Było na tej przechadzce wesoło, ale było także i pełno ducha, który szedł ku nam od czasów dawno minionych, od tej celi klasztoru bazylijskiego, w której *obiit Gustavus, natus est Conradus*. A my byliśmy, przynajmniej chcieliśmy być wówczas wszyscy Konradowego regimentu.

¹ Pan Python (ojciec) był nauczycielem języka francuskiego w I gimnazjum wileńskim.

W powrotnej drodze wstąpiliśmy na Roszę, pokłonić się prochom znakomitych wilnian. Ze wzruszeniem położyłem garść zerwanych po drodze polnych rumianków i jaskrów na grobie litewskiego śpiewaka, Syrokomli.

Było już pod zachód słońca. Kończył się ciepły, sierpniowy dzień. Cisza panowała wokół zupełna. Tylko jakiś zapóźniony ptak, ćwierkając w gąszczu, odprowadzał jeszcze swoje nieszpory przedwieczne. Pachniało od niedalekich łąk macierzanką i koniczyną. Pachniało także żywicą lasów sosnowych. Przedziwne piękno cmentarza na Rossie braliśmy w swoje dusze na pamiątkę cenną pobytu w tem mieście ucisku i prześladowania wszystkiego, co polskie. Tu, na Rossie, nie prześladowano już nikogo. Tu nie dochodziły i tu nie obowiązywały już ukazy carskie i rozporządzenia generał-gubernatorskie. Polakom wolno było tutaj nareszcie być Polakami »jawnie«, o czem świadczyły napisy polskie na płytach grobowych, napisy, w których jednak nie wypowiedziano całego bólu tej ziemi i jej mieszkańców. Czuliśmy jednak, że nie jesteśmy tu sami, że wychodzą ku nam z pod darni cmentarnej, niby widma, wspomnienia przeszłości, że patronuje nam tu duch Szymona Konarskiego, straconego w kwiecie lat na placu Łukiskim.

Czuliśmy także, jak pod wpływem doznanych tu wrażeń, zrywa się w nas bunt przeciw naszej niewoli i rośnie zapal rewolucyjny.

W tej chwili Murza (Dymitr Kirkor) zaśpiewał półgłosem:

»Nie dbam jaka spadnie kara,
Mina, Sybir, czy kajdany,
Zawsze ja, wierny poddany,
Pracować będę dla cara...«

Kilkanaście młodych głosów podchwyciło tę pieśń i rozbrzmiała ona donośnie na wzgórzu cmentarnem, dawno zapewne, bardzo dawno, a może nigdy jeszcze tutaj nie śpiewana.

Był już zmierzch i rosa padała na trawy, kiedy wracaliśmy do miasta.

Wieczór spędziliśmy u państwa Łapińskich, gdzie zastaliśmy dość liczne towarzystwo. Rozmowy toczyły się bardzo poważne. Informowaliśmy wilnian o stanie rzeczy w Warszawie i w Królestwie i z kolei otrzymywaliśmy od nich informacje o tem, co dzieje się w Wilnie i na Litwie. I tu i tam nadziei na lepsze było mało, istniała jednak głęboka wiara, że, prędzej czy później, musi nastąpić zasadnicza zmiana, bo tak, jak jest, długo już trwać nie może. Taką wiarą żyła wówczas cała Polska, bo wiara zaczyna się tam, gdzie kończy się rozum, a rozum, najprzenikliwszy nawet, nie widział wyjścia z tej obieży, w jakiej znalazły się t. zw. prowincje zabrane i Królestwo pod rządami Aleksandra III. Nie pozostawało więc nic innego, jak wierzyć, że »przyjdzie dzień zapłaty«.

Po wieczery, przy której nie brak było ostrych

napojów, któraś z pań siadła do fortepianu. Rozpoczęła się muzyka, śpiewy i deklamacje. Interpretowane były same rzeczy patryotyczne, narodowe, oczywiście, przy szczelnie zamkniętych okiennicach. Pomimo to jednak coś z tego musiało przedostawać się na ulicę, ale że mieszkanie członka rady miejskiej było »gwarantowane«, przeto nic nie zamąciło nam swobodnego nastroju tego »niecenzuralnego« w warunkach wileńskich rautu.

Było już dobrze po północy, kiedy zaczęliśmy się rozchodzić na kwatery noclegowe.

Mnie i Olesiovi Karolemu przypadł tym razem nocleg w domu niejakiego Paca-Pomarnackiego, zbankrutowanego szlachcica, który po stracie majątku zamieszkał w Wilnie i trudnił się handlem końmi.

Spaliśmy w sali, której ściany wyłożone były od góry do dołu lustrami. Niepomału tem zdziwieni, zapytaliśmy gospodarza nazajutrz, czy dom, w którym mieszka, był kiedyś pałacem, a jeżeli tak, to czym.

Dowiedzieliśmy się, że to wcale nie pałac, lecz że ten pokój tak został »ulustrowany« dla celów handlowych, tutaj bowiem wprowadza się konia, aby można było, odbite w lustrach jego kształty, oglądać ze wszystkich stron jednocześnie. Nie wiem czemu przypomniał mi się Emir Rzewuski. Wprawdzie tego szlachcic litewski, Pac-Pomarnacki, nic nie był podobny do takiego Emira, jakiego widziałem w swojej wyobraźni, ale drogą skojarzenia nie trudno

było ustalić w sobie przekonanie o powinowactwie duchowem tych dwu miłośników koni.

Pogawędziwszy przy rannej herbacie z naszym dobrze już przypruszonym siwizną gospodarzem, rozstaliśmy się z nim, jak przyjaciele. Wyściskał nas i wycałował, życząc szczęśliwej, dalszej drogi, bo tego właściwie dnia popołudniowym pociągiem mieliśmy jechać dalej, przez Mińsk, do Moskwy.

Tak zbiegły nam niepostrzeżenie trzy dni w Wilnie.

Opuszczaliśmy je, wzruszeni gościnnością i sercem, które okazali nam tu ludzie, po raz pierwszy w życiu spotkani. Jak dalece te serca litewskie wiązały się z nami przyjaźnią i wzajemnem odczuciem, o tem świadczył fakt, że nie tylko kilkadziesiąt osób odprowadziło nas na kolej, lecz kilku panów, z niezapomnianym panem Łapińskim na czele, towarzyszyło nam do Wilejki, gdzie jeszcze w bufecie stacyjnym podczas 10 minutowego postoju pociągu, urządzono nam takie »strzemienne«, że spaliśmy po niem aż do Wiaźmy, nie wiedząc kiedy minęliśmy Mińsk i Smoleńsk.

Obudziły nas dopiero wywoływane przeciągle na peronie przez chłopców »Wiaziemskie prianiki«. Wiedzieliśmy z geografji Rosji, której uczono nas bardzo szczegółowo, że to jest specjalność Wiaźmy. Jakże więc tego nie kupić i nie sprawdzić, czy rzeczywistość odpowiada reklamie?

Zerwałem się z ławki, podszedłem do okna i spuściłem szybę. Widząc to, natychmiast zjawił się przed

oknem chłopiec w białym fartuchu, dźwigający na głowie sporą drewnianą tacę, na której piętrzyły się stosy pierników w bizantyńskim stylu. Inaczej nie można było określić charakteru tych »kukielek«, osypanych różnokolorowym, drobnym makiem. Był w tem naprawdę wschód, niby jakieś kopułki cerkiewne, kręcone słupki z Aja-Sofji, małe ikonki i t. p. produkty kunsztu cukierniczego.

Nakupiliśmy tego sporo do śniadania, którego przygotowaniem zajmował się już niestrudzony Trenkner. Ruszyliśmy niebawem w dalszą drogę i tak, popijając herbatę i przegryzając piernikami, dojechaliliśmy do Moskwy o 8 czy 9 rano.

M O S K W A

Moskwa wywarła na nas wrażenie dość przykre. »Wielka wieś«. Szerokie, wybrukowane drobnym kamieniem, ulice, po obu stronach tych ulic wapnem na biało pomalowane parkany, za temi parkanami ogrody, a w głębi tych ogrodów domy, może bardzo miłe do mieszkania, ale bardzo nie wielkomięjskie

Wyprawiliśmy nasz bagaż do hotelu przez »łomowowo«, a sami, dla spaceru, przeszliśmy piechotą przez cały Twerski bulwar na ulicę Nikolską. W hotelu zastaliśmy już kilkunastu kolegów, którzy przybyli tu wcześniej, między innymi Leona Supińskiego i Jakóba Jędrzejewskiego, obu w doskonałych humorach.

Moskwa była centralnym punktem niemal dla wszystkich. Zatrzymywali się tu i ci, co jechali dalej, jak my, i ci, którym wyznaczono na miejsce wygnania gubernje centralne. Jedni już się rozjechali, inni jeszcze byli w mieście, zwiedzając jego osobliwości. Szczególny w tym kierunku zapal wykazywał Jędrzejewski, który na Moskwę i na Moskali patrzył »szekspirowskim okiem«. Był on wielkim miłośnikiem Szekspira. Umiał całe ustępy z jego wybitniejszych tragedij i dramatów na pamięć i nie rozsta-

wał się nigdy z jego dziełami. Miał je zawsze pod ręką, a w nocy pod poduszką. Rozejrzawszy się po Moskwie, wyraził szczerzy żal z powodu, że Szekspir nigdy tu nie był i Moskali nie widział. Byłoby to z pewnością — twierdził — wzbogaciło jego humor a nadewszystko słownik używanych przez niego złożeń, których tutaj słyszy się na każdym kroku niepomierne mnóstwo.

Kubuś jednak, jak się to później okazało, godnie zastępował Szekspira i nauczył się w Moskwie zupełnie nowego, prawdziwego języka rosyjskiego, którego nie znał dotychczas. Przyrodzony jego złoty humor, którym pokrywał zawsze strapienia osobiste, torował mu drogę nawet do serc moskiewskich. Miał tu już »przyjaciela«, piekarza z przeciwka. Po przyjeździe, koledzy, z którymi razem zajechał do hotelu, kazali podać sobie samowar do numeru, a Kubę uprosili, aby poszedł po pieczywo. Z łatwością odnalazł piekarnię, wszedł do sklepu, rozejrzał się i wskazując na t. zw. »sdobnoje pieczenie«, które postanowił zakupić w odpowiedniej ilości, zapytał:

— Poczemu u was bułki?

— Potomu, czto zdieś bułoczna — odpowiedział piekarz ze wschodnim spokojem, poczem roześmiał się uprzejmie i rozpoczął z Kubą rozmowę, wypytując go skąd przybył, dokąd jedzie i t. d. Tak zawiązała się owa »przyjaźń«. Komizm tej rozmowy oparty był na polonizmie, »poczemu« nie znaczy bowiem po rosyjsku »po czemu«,

jak po polsku, ale »dlaczego«. Po rosyjsku należało powiedzieć »poczom«, a wówczas odpowiedź brzmiałaby »po tyle a tyle«.

Tymczasem zapytano właściciela piekarni:

— Dla czego u pana są bułki?

Odpowiedział więc logicznie:

— Dla tego, że tutaj jest piekarnia.

To nieporozumienie językowe świadczyło, że jednak, pomimo rosyjskiego języka wykładowego w gimnazjum i w uniwersytecie, nie władaliśmy nim konwersacyjnie tak, aby nie poznawano odrazu, że jesteśmy Polakami. Pisaliśmy po rosyjsku z pewnością lepiej a w każdym razie ortograficznie od wielu moskali, w języku mówionym jednak robiliśmy błędy nieraz bardzo zabawne. Co więcej, czasem nie rozumieliśmy tego, co do nas mówiono.

Przekonałem się o tem sam, będąc w Moskwie w teatrze. W pierwszej chwili po podniesieniu kurtyny (grano »Burzę« Ostrowskiego) nie rozumiałem ani słowa z tego, co było mówione na scenie. Chwytałem tylko poszczególne wyrazy, ale treści w żaden sposób złowić nie mogłem, mimo, że język znałem dużo lepiej, niż wielu moich kolegów, bo byłem przyzwyczajony do używania go w mowie potocznej na Wołyniu. Dopiero po upływie 5—6 minut zacząłem się orientować w dialogu. Okazało się, że ucho moje, nie nawykłe do odbierania wrażeń dźwiękowych mowy obcej w takiej postaci, w ja-

kiej dochodziły one ze sceny, potrzebowało pewnego czasu na to, aby otrząsać się z temi dźwiękami i wówczas dopiero mogło je swobodnie chwycić i rozróżniać.

Zagospodarowawszy się w naszym hotelu, który położony był w śródmieściu, w pobliżu Kremla i Kitajgorodu, i okazał się zupełnie na wysokości zadania pod względem urządzenia i wygod, wyszliśmy na miasto dla bliższego z niem zaznajomienia się.

Pierwsze przykre wrażenie zaczęło się zacierać pod wpływem rosnącej w nas ciekawości. »Krasnaja płoszczad'«, »Łobnoje miasto«, wzgórce Kremla ze spiętrzonemi na niem budynkami przekonały nas odrazu, że jesteśmy na Wschodzie, że nieznany, obcy świat, jakże odmienny od tego, do którego były przyzwyczajone nasze oczy, otworzył przed nami swoje wrota i zaprasza nas gościnnie, abyśmy weszli i przyjrzeni mu się bliżej.

Wiedzieliśmy o Moskwie dużo, zbyt dużo, jak na »cudzoziemców«. Nie darmo wbijano nam w głowę jej dzieje przez cały czas pobytu w gimnazjum. Przecież i na maturę pisałem ćwiczenie na temat: »Głównyja przyczyny wozwyszenia Moskwy«. A jednak to wszystko było niczem w porównaniu z rzeczywistością, Moskwy bowiem niepodobna sobie wyobrazić, trzeba ją zobaczyć.

Któż z nas mógł mieć pojęcie np. o tem, jak wygląda naprawdę »Kitajgorod«, ile tam jest praw-

dziej chińszczyzny i jak ta część handlowa miasta wybija stempel mongolski na całej stolicy Rosji?

Byliśmy wprost oszołomieni widokiem tego, bądź co bądź cennego zabytku starej, moskiewskiej architektury, świadczącego wymownie o związkach cywilizacyjnych i kulturalnych Rosji z dalekim, najdalszym Wschodem. Nic bardziej pogładowo, niż ten widok, nie mogło nas utwierdzić w przekonaniu, że »słowiańskość« Rosji jest mocno podejrzanego gatunku i że rdzeń duszy wielkorosyjskiej, mimo że wieki już ubiegły od czasu wyzwolenia się Rosji z jarzma tatarskiego, bliższy jest przecież swoim ujarzmielom niż pozostałej rodzinie słowiańskiej.

»Kitajgorod« jest niewątpliwie furta, przez którą powinno się wchodzić do Moskwy.

Uczyniliśmy też dobrze, rozpoczynając od tego właśnie miejsca zwiedzanie miasta. Pociągnęły nas ku sobie ciekawe mury, otaczające tę dzielnicę, która była wówczas jeszcze nietylko ogniskiem najżywotniejszych interesów handlowych Moskwy i najgęściej zaludnioną jej częścią, lecz także siedzibą wszystkich prawie władz gubernjalnych, powiatowych i miejskich.

Od »Krasnoj płoszczadi« weszliśmy przez bramę Woskresieńską, jedną z 6 bram, znajdujących się w »chińskim« murze, słynną z cudownego obrazu Matki Boskiej Iwerskiej, która jest dla Moskwy jakby »Ostrą Bramą« i tutaj bowiem każdy przechodzić

głowę obnaża. Pobożny lud prawosławny żegna się nawet niezliczoną ilość razy i bije pokłony przed świętą Bogurodzicą.

Jest w tem niewątpliwy urok dalekiej, pięknej tradycji, co nie może nie przemówić do człowieka kulturalnego, skądkolwiek bądź tutaj przybywającego. Uszanowaliśmy więc zwyczaj miejscowy i, zdjawszy czapki, oddaliśmy cześć należną Matce Boskiej Iwerskiej.

Błądziliśmy po Kitaj-gorodzie kilka godzin, przyglądając się uważnie życiu tak innemu tutaj od życia naszych miast. Uderzyło nas przedewszystkiem to, że lud moskiewski należy do rasy urodzonych kupców. I to znów jego niesłowiańska cecha, bo chociaż istnieje legenda o handlu Wielkiego Nowgorodu, to jednak z uwagi na Związek hanzeatycki, do którego Nowogród należał, można przypuszczać, że właściwymi kupcami w wielkim stylu byli na terytorjach tego Wolnego miasta Skandynawowie i Fryzowie. Słowianin orał, siał, hodował len, rąbał lasy, pędził smołę i polował na grubego zwierza, którego skóry tak chętnie nabywali obcy kupcy, czyli »goście«, przybywający do Nowgorodu. Słowianin także »wiecował«, swarzył się ze swoimi współobywatelami, dużo gadał i tem tak dalece narażał się panującemu już wówczas w Moskwie »mongolskiemu« porządkowi i rygorowi, że Iwan Groźny postanowił zburzyć tę twierdzę słowiańską i rozpędzić prawdziwych Słowian na cztery wiatry. Wiadomo

przecież, że potomkami nowogrodzian są rybacy z nad Białego Morza i rolnicy, hodowcy chełmogórskiego bydła na archangielskich polderach.

Od tej pory »mongolizm« wziął zdecydowanie górę w centrum moskiewskim nad słowianizmem, zapędzonym w kozi róg i zanikającym stopniowo. Wyciągał on swoje tęskne ramiona coraz dalej na Wschód, ku swoim pobratymcom, i pod pozorem »zbierania ziemi rosyjskiej« i »jednoczenia« jej z Moskwą, zbierał i jednoczył tatarów nad Oką i nad Kamą, mordwinów, czuwaszów, czeremisów, baszkirów, kirgizów, burjatów i t. p. ludy, nic wspólnego nie mające ze światem słowiańskim. Taki był właściwy charakter i treść dziejowa idei Iwana Kality. Nic dziwnego, że wskutek tego wytworzyła się naprzód na terytorjach W. Ks. moskiewskiego, a później na obszarach całej Rosji mieszanina rasowa, w której dzisiaj jeszcze łatwo dostrzedz zarówno fizyczne jak i psychiczne cechy mongolskie. Zwłaszcza wielkorus cechy te posiada w stopniu wybitnym.

Wystarczyło przejść się po Kitajgorodzie i zajrzeć do »Riadów«, czyli bazaru, i do »gościnnego dworu«, aby zauważyć, że »kupiec« moskiewski jest typowym mongołem. Stąd może płyną jego niazaprzeczone zdolności do handlu, te właśnie zdolności, których my, Polacy, posiadamy tak mało. Niewątpliwie też silną stroną struktury społecznej Rosji jest to, że posiada ona rodzimy stan kupiecki, od dłuż-

szego szeregu pokoleń trudniący się handlem, ruchliwy i przedsiębiorczy, mający już we krwi tradycję »wymiany« dóbr i dążność do gromadzenia w swych rękach pieniędzy. Jakoż liczne rodziny kupieckie posiadają tu znaczne fortuny, a wśród kupców moskiewskich nie brak miljonerów, którzy, pomimo to, nie wyszli ze swojej sfery, chodzą w zwyczajnych »poddiewkach«, noszą długie brody i, jeżeli czem się wyróżniają od masy, to grubą grą w karty i nocnymi hulankami, podczas których dają folgę swojemu temperamentowi i nieraz nawskrós barbarzyńskim gestom, o czem, zresztą, krąży tysiące anegdot w rodzaju tej, która mówi o urządzaniu akwarjów w fortepianach przez nalanie szampana do otwartego pudła i wpuszczenie tam... sardynek.

Naogół jednak kupiec moskiewski zrobił na nas wrażenie człowieka skromnego, zajętego swojemi sprawami i poważnie myślącego o nich. Widzieliśmy także kupców, średniej, oczywiście, miary, omawiających gorliwie interesy po licznych w Kitajgorodzie herbarciarniach. Siedzieli przy stołach, nakrytych wzorzystemi serwetami i popijali herbatę ze spodków, które zgrabnie podnosili do ust na trzech palcach. Jest to ludowy sposób picia herbaty. Tak ją pijał cały demos rosyjski, poczynając od chłopca na wsi, po przez »dworników« i »izwozczyków«, kończąc na podoficerach w wojsku i kupcach, którzy, stanowiąc osobny stan (»sosłowje«),

wyróżniani za szczególne zasługi dla państwa lub miast tytułem »honorowych obywateli« (»poczotnyj grażdandin«), uważali się — i słusznie — za »sól« ludności miejskiej. Była to, dodać należy »sól« czy sta, bez domieszki pieprzu żydowskiego, żydom bowiem, o ile nie byli kupcami pierwszej gildji, mieszkać i trudnić się handlem w miastach rosyjskich nie było wolno. »Linja osiadłości«, przeprowadzona w roku 1885 przez ukaz cara Aleksandra III, wydała żydom na pastwę kraj zabrany i Polskę, właściwe zaś Cesarstwo od zalewu i współzawodnictwa żydowskiego uwolniła, na czem, oczywiście, handel rosyjski zyskał nie mało. Nie bez przyjemności stwierdziliśmy też w Moskwie prawie zupełny — przynajmniej na pierwszy rzut oka — brak żydów. Rzecz prosta, byli tam oni, bo gdzie ich nie ma! ale nie na powierzchni życia. Znaleźli się przecież tacy, którzy umieli ominąć ukaz carski i albo wykupili pierwszą gildję, albo za pomocą przekupienia władz zapewnili sobie pobyt w mieście, albo wreszcie, co szczególnie częstem było zjawiskiem wśród lekarzy i adwokatów, wogóle wśród inteligencji, przyjęli prawosławie i udawali »prawdziwych rosjan«. W przemyśle moskiewskim pracował nawet kapitał żydowski, w bankach moskiewskich bywali dyrektorami i członkami Rad Zarządzających żydzi — na ulicach jednak i w sklepach nie spotykało się ich wcale i to było wielkim plusem Moskwy, bo nadawało jej obliczu wyraz rodzimy, czysto ro-

syjski, stwierdzający, że panem i gospodarzem jest tu ludność rosyjska.

W przeciwstawieniu też do Petersburga, który dzięki temu, że był stolicą państwa i siedzibą dworu, czynił wrażenie miasta o międzynarodowych cechach życia — Moskwa uderzać musiała każdego swoją niezaprzeczalną rosyjskością. Cudzoziemiec, przybywający do tego miasta, tonął natychmiast w »morzu rosyjskiem«. Niknął w niem. W Petersburgu słyszało się nieraz na Newskim Prospekcie wszystkie języki europejskie, a zwłaszcza niemiecki, francuski i angielski, w Moskwie brzmiała tylko mowa rosyjska, przeciągła, powolna, poważna, o wszystkich cechach Wschodu, który się nie śpieszy nigdy i w niczem.

Uderzyło nas to odrazu, że ludzie w tem mieście chodzą znacznie wolniej, niż w Warszawie, że w ruchach są jacyś leniwi i ociężali. Zwłaszcza mężczyźni idą krok za krokiem, jakby ten swój chód celebrowali. Nawet rytm pracy jest tu powolniejszy, niż u nas. Robotnikom brak temperamentu a przecież Rosjanie nie są zimnokrwistym narodem, jak, dajmy na to, Holendrzy. Więc to tylko Wschód swoje piętno położył tu na wszystkim.

Po zwiedzeniu Kitajgradu wyszliśmy znów na »Krasną płoszczad'«. Przed nami wznosił się pomnik Minina i Pożarskiego, bohaterów 1613 roku. Stał przy nim w owym czasie posterunek policyjny

z powodu żartu, na jaki pewnej nocy pozwolili sobie podpici a rewolucyjnie usposobieni studenci. Pomnik wyobraża rannego ks. Pożarskiego w postaci leżącej. Przy nim stoi rzeźnik Minin i wzniesioną ręką wskazuje na Kreml, jakby wzywając do dania mu odsieczy. Otóż w tę wyciągniętą rękę Minina wetknięto butelkę wódki. Wyglądało to tak, jakby bohater narodowy przepijał do mieszkańców Kremla. Od tej pory sprofanowaną w ten sposób pamiątkę narodową otoczono stałą opieką policji, w obawie, aby figiel nie był powtórzony.

Z kolei pociągnęła nas ku sobie swoją niepowszednią architekturą »bajecznie kolorowa« cerkiew »Wasilja Błażennawo«. Cerkiew ta jest jedną z największych ciekawości Moskwy. Jest nadto niezaprzeczonem dziełem sztuki. Architektura bizantyńska znalazła tu jeden z najdoskonalszych swoich wyrazów. Wzniesiona w r. 1554 z rozkazu Iwana Groźnego na podziękowanie Bogu za to, że »zezwoił« mu na zdobycie i przyłączenie do państwa Kazania, jest cerkiew »Wasilja« dziełem obcego architekta, który, pragnąc popisać się swoją sztuką, wybudował istny labirynt. Łatwo tu bez przewodnika pobłądzić wśród niezliczonych kruzganków i kaplic. Podniesiony do rangi »katedry«, Wasilij Błażennyj zgromadził przez wieki w wewnętrznym swoim urządzeniu ogromne bogactwa. Poszczególne kaplice kapały tu od złota i mieniły się drogiemi kamieniami. W kaplicy św. Mikołaja Cu-

dotwórcy oprowadzający nas djak spuścił wiszącą lampę złotą i objaśnił nam, że waży ona tyle a tyle (nie pamiętam już ile) i że zrobiona jest z czystego złota.

— Nieużeli? — wyrwało się któremuś z nas z ust.

— Konieszno! Światowo Nikołaja nie nadujesz! — brzmiała odpowiedź z głębokiego przekonania.

Było już dobrze po południu, kiedy wyszliśmy z mrocznej cerkwi na zalany słońcem plac.

Czas było pomyśleć o obiedzie.

W Warszawie jeszcze otrzymaliśmy od znających Moskwę Polaków adres restauracji Tiestowa, jako najlepszej w Moskwie. Postanowiliśmy tedy zjeść tego dnia »najlepszy obiad« i, spojrzawszy na plan miasta, udaliśmy się w kierunku »Gorodskoj dumy«, wiedząc, że naprzeciwko niej znajduje się ów słynny Tiestow.

Zajęliśmy w kilkanaście osób, razem z paniami, duży stół w osobnej, niewielkiej sali.

Natychmiast za każdym z nas stanął biało ubrany »człowiek«, gotowy na każde skinienie. Zadysponowaliśmy obiad. Restauracja istotnie była pierwszorzędną. Stół obfitował w znakomite dania, któremi chlubi się kuchnia rosyjska. Specjalnością jednak tej restauracji były zakąski. Za kieliszek wódki płaciło się przy bufecie rubla. Było to bardzo drogo, lecz jednocześnie i bardzo tanio. Zakąski bowiem

były *à discretion* a wśród nich nie brak było najwybredniejszych i najkosztowniejszych smakołyków.

Po obiedzie, chcąc użyć Moskwy na prawdę i »stylowo«, odbyliśmy po jej ulicach spacer »lichaczami«.

»Lichacz« jest to pierwszej klasy dorożka na gumowych kołach, zaprzężona w doskonałego rysaka. Rysak taki, wyrzucając kopyta, rwie naprzód, jak wiatr. Jazda jest tak szybka, że, jeżeli się jedzie z kobietą, to »dla bezpieczeństwa« należy ją trzymać wpół, gdyż inaczej mogłaby na skrócie lub przy podskoczeniu dorożki na kamieniach, łatwo wypaść z małej »prolotki«.

Przejażdżka po malowniczym brzegu rzeki Moskwy była przyjemna. Kosztowało nas to jednak po 5 rubli za dorożkę, czyli po 2 ruble 50 kopiejek od osoby, co na »wygnańcze« nasze kieszenie było wydatkiem dużym i kosztownym.

Rozumiejac też, że popełniliśmy nadużycie, resztę tego dnia spędziliśmy w hotelu, poświęcając wieczór na pisanie listów do rodziców i przyjaciół, oraz na wypoczynek po nocy, spędzonej w wagonie.

Nazajutrz byliśmy zdolni do nowego wysiłku, jakoż od rana rozpoczęliśmy zwiedzanie Kremla.

Wabiło nas to wzgórze, pamiętne dla nas, Polaków, tem, że kiedyś przecie władaliśmy niem i niewiele brakowało do tego, aby Władysław IV zasiadł tu na tronie carskim. Losy jednak chciały inaczej. Dzięki krótkowzrocznej polityce Zygmunta III i jego niefortunnych doradców, Jezuitów, którzy marzyli

o zlatynizowaniu Wschodu z dzisiaj na jutro, zamiast wielkiego wydarzenia dziejowego, które mogło z czasem doprowadzić do Unji dwóch wielkich narodów i państw, na wzgórzu Kremlńskim rozegrała się żalosna tragikomedja Dymitra Samozwańca, co pogłębiło tylko przepaść pomiędzy Rosją a Polską. Genjusz polityczny i zalety osobiste St. Żółkiewskiego nie mogły już zła, które się stało, naprawić.

A później byliśmy tu poraz drugi w roku 1812 z Napoleonem, patrząc stąd na morze ognia płonącej Moskwy.

Dzisiaj, — wnukowie naszych dziadów, — przybywamy tu, jako zesłańcy polityczni.

Sic fata tulere.

Otrząsnąwszy się z tych refleksji, idziemy na Kreml. Okazuje się znów, że jesteśmy doskonale przygotowani przez naszych wychowawców do zwiedzenia tego pomnika przeszłości rosyjskiej, co krok bowiem spotykamy rzeczy »znajome«, ba! od jak dawna? jeszcze od klasy wstępnej, kiedy to czerpaliśmy naszą wiedzę o Rosji z wypisów, noszących znamienne dla polskich dzieci tytuł »Rodnoje słowo«. Wypisy te były ilustrowane i na tych ilustracjach oglądaliśmy poraz pierwszy w życiu, mierzącą 46 sążni wysokości, dzwonnice przy cerkwi św. Michała Archanioła, popularnie zwaną »Iwanem Wielikim«. Tam widzieliśmy także olbrzymi »car' kołokoł« i olbrzymią »car' puszkę«.

Nie jest to więc dla nas »nowością« i dla tego może wrażenie jest słabsze.

Za to zwraca na siebie naszą uwagę Sobór Uspieński, zbudowany w roku 1475 przez bolończyka, Rinaldo Fioraventi, przezwanego przez moskali, niewiadomo dla czego, Aristotelem. Dziwna to mieszanka Bizancjum z jakimiś trudnemi do określenia motywami architektury głębokiej Azji. W każdym razie jest to zabytek godny uwagi. W tym soborze odbywały się koronacje carów rosyjskich.

Z kolei przechodzimy do cerkwi św. Michała, gdzie pokazują nam groby wielkich książąt i carów, a wśród nich mały sarkofag, zawierający trumienkę »prawdziwego« Dymitra, zamordowanego w Uhliczu.

Rzeczywiste nasze zainteresowanie zaczyna się jednak dopiero w »Granowitej pałacie«, która imponuje nam swoją sklepioną salą, wspartą po środku na wielkim filarze. Podobno sala ta pochodzi z czasów Iwana Groźnego (1533). Tutaj to, po odbytej koronacji, carowie rosyjscy przyjmowali, zgodnie ze starym zwyczajem, życzenia wyższego duchowieństwa, dworu, ministrów i czynowników.

Ciekawym ze względu na swój charakter zabytkiem są także »teremy« Michała Teodorowicza, pierwszego cara z dynastji Romanowów. Niewielkie pokoje o niskich sufitach, urządzone nie bez uroku, ale ile tu jest tamtoczesności a ile umiejętnego jej podrobienia — o tem orzec mogą tylko specjaliści.

W każdym razie Moskwa tyle razy ulegała klęskom pożarów a płomienie tyle razy nie oszczędzały samego nawet Kremla, że autentyczność urządzenia tych »teremów« mocno wydała nam się podejrzana.

Wszystko to zresztą zwiedzaliśmy i oglądali dość powierzchownie, gdyż właściwym celem naszej wycieczki na Kreml była »Orużejna pałata« i znajdujące się tam pamiątki polskie.

Doznaliśmy tam wrażenia bolesnego nie tyle na widok polskiego tronu, usianego mnóstwem naszych na czerwony aksamit małych srebrnych orłów (byliśmy wszyscy republikańskich przekonanych), ile na widok poszarpanych szczątków chorągwi pułkowych polskich. Chorągwie te, a przeważnie drzewca od tych chorągwi z pozostałymi na nich orłami i poprzecznikami tabliczkami: »1 pułk linjowy«, »2 pułk linjowy« i t. d. umieszczono złośliwie pod portretem Katarzyny II, gdzie stały niby kije bilardowe po rozebranej grze.

Patrzyliśmy — niewolnicy — na to nasze pohańbienie narodowe z goryczą w duszach i z bezsilnym w nich protestem.

Po tej pogładowej lekcji niewoli mieliśmy już Moskwy dość i pragnęliśmy jak najprędzej z niej wyjechać. Dwa dni jednak zeszły nam jeszcze na zwiedzaniu muzeów dla zaspokojenia pewnych naszych naukowych zainteresowań (muzeum archeologiczne) oraz na bezcelowych przechadzkach po mieście.

Zwróciła jeszcze na siebie uwagę naszą budująca się wówczas cerkiew Zbawiciela. Po ukończeniu stała się ona ozdobą Moskwy. Wówczas jednak nie było można sądzić o tem, jakie to będzie dzieło sztuki.

Wreszcie wyruszyliśmy dalej nie bez zdziwienia, że nas nikt do wyjazdu nie przynaglał, mimo, że ostemplowane przez policję nasze *feuilles de route* mówiły wyraźnie, że udajemy się na miejsce przeznaczenia prosto i bez zatrzymywania się po drodze. Z zarządzeń władz warszawskich niewiele sobie widocznie w Moskwie robiono. Korzystaliśmy tam z zupełnej swobody i nie mieliśmy wcale wrażenia, że jesteśmy, bądź co bądź, zesłańcami politycznymi.

NIŻNIJ. KAZAŃ. SAMARA.

I znów jesteśmy w wagonie, jak u siebie w domu. Nie trudno było wówczas na kolejach rosyjskich o miejsca, mieliśmy więc przestronno i wesoło, bo konduktor, który nas lokował, widząc wśród nas panie, wytwornie, jak na Wschód, ubrane, wziął nas za trupę wędrowną aktorów. Rozniosło się to widocznie po pociągu, bo co chwila ktoś wchodził z zapytaniem, dokąd jedziemy i co będziemy grali?

— Pewnie do Niżniego, a potem do Kazania, Samary, Saratowa i Astrachania — podsuwał nam jakiś stary moskał w czapce urzędnika skarbowego.

Nie zaprzeczaliśmy, bo istotnie tak nam droga wypadała.

Na razie byliśmy jednak dopiero na trakcie Moskwa — Włodzimierz.

Po drodze zwrócił na siebie naszą uwagę olbrzymi kompleks budynków fabrycznych z czerwonej cegły. Była to słynna »manufaktura« Sawwy Morozowa, milionera moskiewskiego, który tak rozwinął i na tak wysokiej stopie postawił produkcję wyrobów bawełnianych, że w pustej do niedawna okolicy powstało całe miasto robotnicze. Wówczas było to już towarzystwo akcyjne.

Powoli zbliżaliśmy się do Włodzimierza.

A więc jedziemy we właściwym kierunku — błysnęło w naszej świadomości. Tędy od niepamiętnych a raczej od bardzo dla Polaków pamiętnych czasów szły partje na Sybir. Tu dzwoniły kajdany, tu jęczały dzwonki kibitek. Tu rozlegała się także pieśń rosyjskich katorżników, która stała się później pieśnią rosyjskich rewolucjonistów.

Ktoś zanucił półgłosem:

»Po Włodimirskoj dalniej dorogie w Sibir'
Arestantow sbirajutsia kuczi
I tołkujut oni o sudbinuszkie złoj
I słuszajet lies ich dremuczij...

No nastaniet pora, nasz prosniotsia narod
I raspriamit moguczuju spinu
I w rodimych liesach na carja podbieriot
Zdorowiej i pokriepcze dubinu...

Ej, dubinuszka, ej zielonaja,
Sama pojdiot...«

Podchwyciliśmy wszyscy ten przyspiew i cały wagon »zaryczał« rewolucją.

Strofa poszła za strofą:

»Angliczanin chitriec, czto rabotie pomocz',
Izobriol za maszinoj maszinu.
A nasz russkij mużik, kol rabotat' nie w mocz',
On zatianiet rodnuju dubinu:

Ej, dubinuszka...«

I dalej:

»Tolstopuzyj nasz pop sozywajet prichod
I mużickija dieŋgi szitajet,
A djakon z djaczkom, w etom diele swiatom
Tak usierdno jemu pomagajut...

Ej, dubinuszka, ej zielionaja,
Sama pojdiot...«

Śpiewano wówczas tę pieśń w kołach studenckich na wszystkich uniwersytetach rosyjskich. Śpiewaliśmy ją więc także i my, w Warszawie, obok naszych pieśni rewolucyjnych, nie zdając sobie sprawy z tego, że w ten sposób przesączają się do nas, dość niebezpieczne dla psychiki polskiej, wpływy rosyjskie. Jakoż wpływy te były istotnie. Radykalizowaliśmy się niewątpliwie na sposób rosyjski. Z Moskwy i z Petersburga przyszła do nas moda noszenia pod mundurami nocnych kolorowych koszul, odrzucenia kołnierzyków i mankietów, oraz przedwczesnego zapuszczania zarostu. Pewna niedbałość w ubraniu, wytarty mundur i wytarta czapka ze spłóviałym lampasem należały do »szyku« studenckiego tak dalece, że świeżo upieczeni studenci z pierwszych kursów wycierali swoje czapki o ściany w audytorjach, aby nabrały »patyny«, którą normalnie tylko czas mógł im nadać. Oczywiście, nie wszyscy hołdowali tej modzie, która, między innymi, miała być protestem młodzieży rosyjskiej przeciw »zgniłemu zachodowi« i jego rozkładającej

się, opartej tylko na pozorach zewnętrznych, kulturze, ale bywały przypadki, że ten i ów student-Polak, naczytawszy się broszur rosyjskich, stawiał się eserem (socjalistą-rewolucjonistą) prawdziwym, to znaczy źle i brudno ubranym, ciężącym ku nieskrępowanej niczem swobodzie obyczajów, odrzucającym wszystko, co stanowiło podstawy kultury polskiej, jako przeżytki i przesady. Tego typu studenci żenili się zwykle jeszcze na uniwersytecie, co im nie zawsze na dobre wychodziło, studjowali leniwie i długo i nie cieszyli się sympatią u ogółu akademickiego, który jednak rewolucję społeczną traktował umiarkowanie i miał silne przywiązanie do kultury rodzimej. Ten ogół, którego rdzeń myśmy właśnie stanowili, ubierał się przyzwoicie, unikał »radykalnej maskarady« i dbał o swój »europejski« wygląd, nie biorąc rozbratu z brzytwą i nożyczkami, z mydłem i szczoteczką do zębów. Rzecz prosta, dużo zależało tu także od środowiska, z którego kto pochodził. Młodzież uboższa, która z domu rodzicielskiego mało wynosiła przyzwyczajęń i nałogów kulturalnych, łatwiej ulegała radykalizacji wewnętrznej i zewnętrznej. Młodzież zaś, pochodząca z rodzin o ustalonych tradycjach kulturalnych, była na »modę rosyjską« odporniejsza.

Do takiej młodzieży należała nasza »partja«. Śpiewanie więc rosyjskich pieśni rewolucyjnych nie mogło tu nikomu wyrządzić szkody moralnej. Dawало ono tylko ujście naszym sympatjom dla walki z ca-

ratem we wszystkich jej postaciach. Byliśmy zdecydowanymi wrogami panującego w Rosji stanu rzeczy, dążyliśmy wszelkimi, dostępnymi dla nas, drogami do jego jeśli nie obalenia, to, przynajmniej, do zachwiania nim, i szukaliśmy na tych drogach sprzymierzeńców wśród rozwijającego się wówczas w Rosji ruchu rewolucyjnego. Różnice jednak pomiędzy nami a młodzieżą rosyjską były tak duże i tak zasadnicze, że o ściślejszem porozumieniu i bliższem współdziałaniu prawie że mowy być nie mogło. Były to raczej sympatje platoniczne, przyczem obie strony zdawały sobie sprawę z tego, że »w razie czego« rozdzieli nas zagadnienie niepodległości Polski, które dla nas było wszystkim, dla młodzieży rosyjskiej niczem, a przynajmniej tą *quantité négligeable*, która przy »uszcześliwianiu« narodu rosyjskiego i stwarzaniu »raju na ziemi« dla »człowieka« żadnej roli odgrywać nie powinna.

Bez dalszych jakichkolwiek wrażeń minęliśmy Włodzimierz gubernjalny i, wlokąc się od stacji do stacji, z długimi na każdej z nich postojami, dobrnęliśmy szczęśliwie do Niżniego Nowogrodu.

Podczas podróży na kilku stacjach braliśmy wodę gorącą do naszych czajników. Na jednej z tych stacji konduktor nas przestrzegł, aby się bardzo śpieszyć, bo pociąg stoi tylko 10 minut.

Przypomniało mi to anegdotę o różnicy pomiędzy kolejami rosyjskimi a niemieckimi. Kiedy

w Niemczech pasażer-rosjanin chciał coś załatwić na stacji i zapytał konduktora, czy zdąży, otrzymał odpowiedź:

— *Selbstverständlich! Der Zug steht ja die ganze zwei Minuten.*

A tu kazano nam się »bardzo śpieszyć«, gdy mieliśmy całe 10 minut do rozporządzenia!

Oczywiście, zdążyliśmy bez pośpiechu zaopatrzyć się w wodę i zaparzyć herbatę. Nim pociąg ruszył — bo postój wydłużył się do 15 minut — już rozlewaliśmy ją w szklanki i popijali z rozkoszą.

»Niżnij« przywitał nas pięknym, słonecznym dniem.

Był to czas jarmarku, ale jarmark, trwający od 15 lipca do 25 sierpnia, miał się już być ku schyłkowi. Nie mniej, w dzielnicy jarmarcznej panował jeszcze ruch duży. Sklepy były otwarte, w nich pełno towarów i sporo nabywców.

Jarmark niżegorodzki jest sławny na całą Rosję. Znany już w wieku XVI pod mianem jarmarku Makarjewskiego, gdyż wówczas odbywał się w odległym od miasta o mil jedenaście monasterze Makarjewskim, po klęsce pożaru, jaki w roku 1816 zniszczył wspomniany monaster, przeniesiony został do Niżniego na obszerny teren, położony pomiędzy lewym brzegiem rzeki Oki a prawym brzegiem Wołgi. Te dwie majestatyczne w swoim ogromie rzeki, będące wspaniałymi arterjami komunikacyjnymi, tu właśnie spotykają się z sobą. W ich

widłach usadowił się jarmark. Wzniesiono na jego użytek długi szereg murowanych budynków, gdzie znalazło pomieszczenie kilka tysięcy sklepów. Budynki te dzieli bulwar, który jest najruchliwszą częścią jarmarcznego miasta. Na tym bulwarze spotkać można kupców bodajże z całego świata. Przewalają się tu stosy towarów galanteryjnych, norymberskich, bławatnych i korzennych. Tędy »cywilizacja« idzie na daleki Wschód, aby uszczęśliwić kirgizów, burjatów i inne szczepy mongolskie Sybiru. Odwrotnie Zachód zaopatruje się na tym jarmarku w futra, dywany wschodnie, skóry surowe i herbatę. Stąd napływ różnorodnych kupców, przedewszystkiem jednak Niemców, gdyż lipska messa futrzana jest w ścisłej zależności od tego, co jej Niżnij dostarczy.

Wśród firm, reprezentowanych tutaj, nie brak było i firm polskich. Królowały zwłaszcza warszawskie wyroby platerowane. Odwiedziliśmy sklep Fraget'a i zaznajomiliśmy się z jego personelem. Natychmiast jeden z przedstawicieli tej firmy oddał się na nasze usługi i oprowadził nas po dalszych »dziwach« jarmarku. Poszliśmy więc pomiędzy drewniane szopy, gdzie mieszczą się hurtowe składy towarowe, dalej na t. zw. »linję sybirską«, która ciągnie się wzdłuż wybrzeża Wołgi, zawalona »cybikami« z herbatą, pakami bawełny, lękiem, z którego plotą się rogoże, górami gałganów, linami i powrozami, z których słynie Niżnij, naczyniami drewnianymi

w nieprawdopodobnej wprost ilości i innem wszelakiem dobrem.

Wreszcie, zmęczeni, bo przestrzenie to duże, dobrnęliśmy do przystani zbożowej, zatłoczonej statkami i barkami z mąką i zbożem w ziarnie, które milionami pudów spławia się tu corocznie.

Zrozumieliśmy, patrząc na to, czym jest jarmark Niżnogorodzki i jaką rolę odgrywa w życiu handlowem Rosji.

Nie mogę tać, że nam to zaimponowało, że wszystko, co widzieliśmy przedtem w kraju, wydało nam się miniaturą handlu, czemś tak drobnem i małym, że nie wytrzymywało to żadnego porównania z tem, na co patrzyły teraz nasze oczy. A jednak wyroby polskie dotarły i tutaj, zdobywając sobie duże uznanie i powodzenie. Byliśmy tu przecież w towarzystwie rodaka, kupca-polskiego, i to samo już było dowodem, że umiemy i możemy współzawodniczyć na tym wielkim jarmarku z innymi. A wśród tych »innych« nie brak było prawie żadnego narodu, bo każdy przywiózł tu swoje wyroby na sprzedaż.

Rzecz ciekawa, że Niżnij był wówczas centrem handlu winami zagranicznymi, zwłaszcza francuskimi i portugalskimi (*porto* jest ulubionym trunkiem Moskali), materjami jedwabnymi, wyrobami wełnianymi i towarami kolonialnymi. Bywali tam więc Francuzi, Portugalczycy, a nawet Anglicy i Holendrzy.

Wracając, zwiedziliśmy jeszcze w części głównej jarmarku dział perski, obfitujący w przedziwnie piękne kobierce, i dział chiński, gdzie spodziewaliśmy się zastać herbatę, a znaleźliśmy stopy cennych futer i bloki surowej bawełny.

Uprzejmy nasz przewodnik zachęcał nas bardzo, abyśmy zostali w Niżnim na wieczór i zobaczyli jak bawią się kupcy rosyjscy w specjalnie dla nich tu urządzonych na czas jarmarku lokalach rozrywkowych, czyli t. zw. *café-chantant*'ach, zjeżdżających tu z Moskwy i z Petersburga z najwyszukańszymi atrakcjami.

Rzecz była dosyć ponętna, ale w planach naszych nie leżała, w Moskwie bowiem zaopatrzyliśmy się w bilety na statek, który odchodził w południe i miał nas zawieźć w dół Wołgi. Panie nasze już, zresztą, były na tym statku, gdyż postanowiły wypocząć w wygodnych kajutach po niewygodnej, bądź co bądź, podróży koleją. Należało więc i nam spieszyć.

Odprowadzeni przez uprzejmego przedstawiciela firmy Fraget'a na przystań, znaleźliśmy się rychło na pokładzie.

Nazywał się ten statek »Dmitrij Donskoj«. Był on jednym z kilku statków salonowych, utrzymujących stałą komunikację pomiędzy Niżnim a Carycynem i Astrachaniem. »Salonowość« jego nie była frazesem. Przyzwyczajeni do naszej żeglugi po Wiśle na skromnych statkach Fajansa i Górnickiego, by-

liśmy wprost oszołomieni rzeczywistym komfortem, jaki znaleźliśmy tutaj, na Wołdze, a więc w naszym pojęciu już poza granicami cywilizacji i kultury zachodniej. Tymczasem wyszła naprzeciw nas niewątpliwa Europa. Wszystko czyste, schludne, niemal wytworne. Statek duży. Kuchnia, jak przekonaaliśmy się o tem przy pierwszym obiedzie, doskonała. Ceny przystępne. Wogóle nic do zarzucenia.

Panie nasze zastaliśmy już przebrane w letnie kostjumy i gospodarujące przy zarezerwowanym dla nas stole na pokładzie. Przewidująca zawsze i wszystko, a w dobroci swojej niewyczerpana pani Kirkorowa, przez wszystkich nazywana Ciocią, zdążyła była już zakupić na mieście kilka puszek kawioru (»bo to tutaj znacznie tańsze, niż u nas«) i zajęta była przygotowywaniem całego stosu »kanapek«, obliczonych na nasze apetyty. Dopomagały jej w tej zbożnej pracy panna Celina Brygiewiczówna i panna Zofja Grabska. Zgłodniali i zmęczeni rzuciliśmy się, oczywiście, jak wilki, na takie *hors d'oeuvre* i radzi byliśmy dzwonkom, które zwiastowały odjazd, a tem samem rychły obiad.

Jakoż niebawem ryknęła syrena, raz, drugi i trzeci, statek odcumowano, zawarczała śruba, »Dmitrij Donskoj« drgnął i zaczął się wolniutko odsuwać od brzegu, na którym pozostał jedyny nasz tutaj znajomy, wymachujący teraz ku nam białą chusteczką, przedstawiciel firmy Fraget'a. Dobry,

pocziwy i niezapomniany, choć nazwiska jego już nie pamiętam, rodak. Jeżeli żyje dotychczas, niech wie, że wdzięcznie go wspominamy.

Kiedy statek był już na środku rzeki, kołyszac się lekko i swobodnie wśród ogromu jej wód, spostrzeżliśmy, że miasto z tego oddalenia wygląda dość malowniczo, że pnie się ono od przystani ku górze, na której szczycie stoi, jak zwykle w Rosji rozłożysty sobór bizantyński z pięcioma zielonemi kopułami. Zdaliśmy też sobie sprawę z tego, że właściwie »w mieście« nie byliśmy. Przewędrowaliśmy tylko przez tereny, zajęte pod jarmark. Nikt jednak jakoś nie żałował tego, że tak się stało. Nie było zresztą czasu na żadne »żale«, bo zadzwoniono na obiad i skwapliwie zasiedliśmy do stołu.

Po obiedzie, oczywiście, siesta na pokładzie na wcale wygodnych fotelach, rozkładanych jak leżaki okrętowe. Zasmakowało nam to. Wygoda bowiem, nawet pomimo troski, ma siłę pociągającą ku sobie, a rozleniwienie, które wywołuje, zmniejsza także napór trosk na duszę. Było więc nam dobrze na tej wodzie. Leżąc, gawędziliśmy więcej o naszym wczoraj, niż o niepewnem jutrze.

Podczas tej gawędy zauważyliśmy, że jeden z pasażerów, leżących opodal, przysłuchuje się uważnie naszej rozmowie. Po chwili wstał i zbliżył się ku nam. Dopiero teraz poznałem, że był to p. Pawęczkowski, właściciel składu tytoniu na Nowym Świecie. Na jarmarku poczynił zakupy,

poczem, dla przyjemności, wracał okólną drogą przez Astrachań, skąd zamierzał pojechać na Krym, a stamtąd do Odessy. Człowiek miły i wesoły wniósł do naszego towarzystwa trochę już zapomnianą werwę warszawską. Rychło też jakoś zjawiała się przy nas czarna kawa i jedna i druga butelka. Nie mogliśmy odmówić gościnnemu rodakowi, który pragnął wznieść kielich za naszą pomyślną przyszłość. Rozmowa potoczyła się żywo i tak dotrwaliśmy do zmroku. Kiedy się już zmierzchno, statek cały zapłonął elektrycznymi lampkami. Było ich mnóstwo, prawdziwa iluminacja. Odbijały się te światła w wodzie i tworzyły jasne smugi po obu stronach statku. Wkrótce potem wszedł księżyc i wysrebrzył nam drogę.

Pogodna, sierpniowa noc miała w sobie niepowszedni urok. Było w niej coś kojącego i coś rozmarzającego. Nikt nie myślał o tem, aby zejść do kajut. Uczyniliśmy to dopiero późno w nocy, kiedy chłód, idący od wody, zaczął nam dokuczać.

Wczesny ranek jednak już nas ponownie zobaczył na pokładzie. Tam wypiliśmy ranną herbatę i tam spędziliśmy cały upalny dzień, chroniąc się tylko przed słońcem pod namioty rozpiętych płócien. Statek tymczasem pruł i pruł spokojne fale ogromnej rzeki, która zdawała się nie mieć końca. Istotnie, do tego końca było bardzo jeszcze daleko.

Krajobraz nadwołżański, dość powabny przy feerycznem świetle księżyca, wydał nam się

w dzień monotonny i smutny. Rzeczywiście, od obu brzegów rzeki wiało jakimś smutkiem. Szczególnie brzeg lewy, azjatycki, dawał nam przedsmak pożegnania z Europą. I kto wie, czy właściwie Wołga nie stanowi rzeczywistej, geograficznej granicy pomiędzy Europą a Azją. Nie góry Uralskie, lecz ona, ta wielka rzeka, która jakby dzieli dwa kontynenty. Na jej prawym brzegu urywa się, jak nożem uciął, cywilizacja. Brzeg lewy otwiera już tylko perspektywę na szeroki, w bezkres idący step, o wypalonych, pożółkłych trawach. Ani jednego tam drzewa, ani jednej siedziby ludzkiej. Pustka i melancholja.

Naraz pod wpływem powiewu tej melancholji zaczęliśmy nucić:

»Jest' na Wołgie utios,
Wieś on mochom obros
Ot wiersziny do samawo kraja...«

I oto znów rewolucyjna pieśń rosyjska, śpiewana polskimi głosami, zakłóciła ciszę okolic nadwołżańskich, mąconą tutaj tylko śpiewem burłaków, holujących, jak pociągowe zwierzęta, statki w górę rzeki i wyrzucających ze swoich, ściśniętych parciamentami szlejami, piersi tragicznie smętną melodję:

»Wdol po matuszkie, po Wołgie!«

Na dnie tej melodji czai się jednak bunt, czai się rozbójniczy duch Stieńki Razina, tego jedyne go w swoim rodzaju korsarza rzeczno go, który zebrałszy bandę, złożoną z kilkuset ludzi, łupił statki

na Wołdze, płynące do Astrachania, i w śmiałej imprezie grabieżczej zapuścił się nawet do Persji.

Nie był to jednak zwykły zbój, postrach kupców bogatych. Jednocześnie — sam kozak doński — głosił on swobodę kozacką, w której imię wzywał lud do powstania przeciw bojarom i czynownikom. Dał za to gardło w Moskwie, w r. 1671. Ale pozostawił po sobie w tym kraju legendę bohaterstwa i legendę walki o wolność, która jest i będzie zawsze nad Wołgą zaczynem rewolucji, fermentem dusz i umysłów ludzi pierwotnych, dzikich, rozumiejących wolność tylko jako swawolę i grabież cudzego dobra.

Rozumieliśmy to już wówczas, chociaż przez głowę jeszcze żadnemu z nas przejść nie mogło to, co miało się tu rozegrać za naszego jeszcze życia, dając światu najkrwawsze, jakie było kiedykolwiek, widowisko rewolucji w postaci przewrotu bolszewickiego.

Wówczas jednak daleko jeszcze było do tego. Rosja carska stała u szczytu swojej potęgi, zarówno w centrum państwa, jak i na jego krańcach, wśród »inorodców«.

Byliśmy właściwie już dawno poza obrębem zasięgu rasy słowiańskiej. Ziemie, które nas otaczały po prawym i lewym brzegu Wołgi — były ziemiami niegdyś tatarskimi, a i dziś jeszcze tatarzy mieli tu przewagę liczebną.

Zbliżaliśmy się właśnie do Kazania — niegdyś

stolicy carstwa kazańskiego, które długo i bohatersko broniło się przed Moskwą, zanim uległo Iwanowi Groźnemu.

Miasto, położone na prawym, wysokim brzegu Wolgi, już rysowało się przed nami swoimi konturami. Statek zwolnił biegu, sygnalizując ciąglem porykiwaniem syreny swoje przybycie.

Jeszcze kilkadziesiąt obrotów śruby i dobijamy do przystani. Na wybrzeżu tłumy tatarów. Ruchliwy, zwinny naród. Słychać obcą mowę. Nic tu niema rosyjskiego. Odrazu widać, do kogo właściwie ta ziemia należy. Ale tatar jest dzisiaj na niej parjasem, jest niewolnikiem. Wydarło mu wszystko, zepchnięto go do roli portowego tragarza i drobnego kupca, sprzedającego kawony i »rachatłukum« w ubogim kramie nadbrzeżnym.

Radzibyśmy zanurzyć się w ten tłum, dowiedzieć się od niego, co myśli, co czuje, bo przecież możemy mieć w nim kiedyś naturalnego sojusznika w walce z Rosją.

Ale zajmuje nas inna sprawa. Kazań to miejsce naszego rozstania. Cała rodzina Kirkorów, pp. Brygiewiczówna i Grabska, Trenkner i Janek Dudziński — wszyscy, jadący do Permi, przesiadają się tu na statek, który ich powiezie w górę rzeki Kamy. My, t. j. Aleksander Karoli, Edward Uściński i ja, jedziemy dalej, do Samary.

Rozstajemy się z najlepszymi przyjaciółmi — na długo. Może już nigdy nie spotkamy się tą samą

gromadą w życiu, może nas ono rozdzieli, rozrzuci po świecie? A przedewszystkiem może nas zmieni, może nas poróżni, może odbierze nam wspólne nasze ideały?

Zegnamy się więc z uczuciem rzeczywistego i głębokiego smutku. Odprowadzamy wysiadających na brzeg, pomagamy im znosić bagaż i oddajemy go pod opiekę tatarskich tragarzy.

Jeszcze ostatnie słowa, jeszcze ostatnie uściski i »do widzenia!« gdzieś, kiedyś, po dwóch, trzech latach na szerokim świecie, w jakimś mieście uniwersyteckim, może zagranicą, w Paryżu, Zürichu, Berlinie? Kto to odgadnie?

Tymczasem »Dmitrij Donskoj« kończy już wciągać w swój kadłub nowy zapas ropy. (Statki na Woldze opalane były ropą naftową). Olbrzymi wąż, przez który płynęła ta ropa do rezerwoaru, już jest odpięty i wyrzucony na brzeg. Służba już pracuje nad odcumowaniem. Syrena już porykuje — i za chwilę opuszczamy Kazań.

Stoimy na pokładzie, powiewając chustkami a od brzegu tak samo powiewają ku nam na pożegnanie i na szczęśliwą drogę nasi przyjaciele.

Coraz mniejsze są ich postacie, coraz dalsze od nas, rozptylają się wreszcie i znikają w omglonem od oparów rzecznych powietrzu.

Zwolna zapada zmierzch, księżyc wychodzi na niebo, woda się srebrzy, otacza nas niezaprzeczone piękno przyrody, ale nie przemawia ono już do nas.

W duszach mamy wszyscy trzej dojmujący smutek rozstania i osamotnienia. Nie mówimy o tem do siebie, a jednak czujemy, że to pierwszy od czasu wyjazdu z Warszawy atak nostalgii.

Czyżby tak miało być już zawsze?

Z tą myślą upartą, natarczywą idziemy spać.

Nazajutrz mamy piękny, słoneczny, upalny od samego rana dzień. Przez noc posunęliśmy się tak znacznie ku południowi, że odczuwamy różnicę klimatu. Praży tu nie na żarty. Zbliżamy się do Samary. Widać ją z daleka. Miasto leży jak na patelni, na płaskim, lewym, stepowym brzegu rzeki. Roślinności żadnej, a przynajmniej tak nikła, że jej nie widać i że nie odgrywa tu ona najmniejszej roli w krajobrazie. Wrażenie nawskroś ujemne. Potęguje się ono jeszcze po wyjściu na ląd.

Opuszczamy statek dość skwapliwie, w przekonaniu, że teraz już należy jechać, jechać, jechać, byle jaknajprędzej dobić się do miejsca przeznaczenia.

»Łomowej« zabiera nasz bagaż, a my za nim idziemy piechotą w kierunku stacji kolejowej. Idziemy jak za pogrzebem. Ulice puste, szerokie, niebrukowane, pokryte lotnym piaskiem. Domy małe, drewniane, z oszklonemi na sposób wschodni, biegnącemi wokoło gankami. Okiennice szczelnie pozamykane dla ochrony przed słońcem, które pali niemiłosiernie. Jest nam tak gorąco, że musimy wstąpić do pierwszego lepszego sklepu napić się kwasu. Dają nam po butelce kwasu »grenadjer-

skiego«. Zaspokaja to nasze pragnienie i maszerujemy dalej, wcale jednak nie po grenadjersku. Docieramy wreszcie do dworca kolejowego. Do odejścia pociągu mamy jeszcze dobrą godzinę, nie wychodzimy już jednak na miasto. Nie interesuje nas ono wcale. Nic o niem zresztą nie wiemy poza tem, że jest jednym z centralnych na Wschodzie punktów handlu zbożem, że w lata urodzajne gromadzą się tu miliony pudów pszenicy i prosa, że jarmarki tutejsze słyną ze stepowych koni, a ludność tatarsko-baszkirska, z domieszką napływowej, rosyjskiej, dochodzi do 50.000 głów. Wiemy także, że jedyną osobliwością tego miasta jest ogród publiczny, t. zw. »Strukowskijski sad«, ale gdzie go szukać w taki upał? Zostajemy więc na dworcu i nabywszy kilka dzienników petersburskich z datą z przed dni 10, co nam uświadamia, jak daleko już jesteśmy od kraju, odczytujemy »najświeższe wiadomości«, zdając sobie sprawę, że odtąd będziemy już stale karmili się taką przedawnioną strawą dziennikarską.

Wreszcie odzywają się sygnały. To pociąg nasz wyszedł już z Syzrani, miasta, leżącego po tamtej stronie Wołgi. Most kolejowy, łączący w tem miejscu dwa brzegi potężnej rzeki, jest najdłuższym mostem rzeczny w Rosji. Długość jego, obliczona na wiosenne wylewy, wynosi około 3 klm.

W Samarze pociągi, przychodzące z »Europy«, jak tam mówią, rozszczepiają się na dwie linje —

jedne wagony idą w kierunku Zlatoustu, Troicka i Czelabińska, gdzie łączą się z koleją transsyberyjską, drugie — do Orenburga, jako do stacji krańcowej.

Po upływie kilkunastu minut mamy już pociąg na stacji. Z łatwością znajdujemy miejsce w prawie pustym wagonie z napisem »Orenburg« i roztasowujemy się w przedziale.

Postój trwa jeszcze dość długo, na kolejach rosyjskich nie wiedzą bowiem, co to jest pośpiech. W końcu jednak ruszamy. Stoimy przy oknie, obserwując jałowy, smutny, chociaż słońcem zalany szmat ziemi. Jeszcze nie wyjechaliśmy ostatecznie za miasto, jeszcze mignie nam przed oczami tu i ówdzie jakieś ubogie domostwo ludzkie, a już jedziemy wśród niewątpliwego stepu. Tuż koło plantu widzimy stado pasących się wielbłądów. »Okręty pustyni« uciekają przed zbliżającym się pociągiem, jak nasze cieleta. Jesteśmy więc w niewątpliwiej Azji. Budzi to w nas pewne zaciekawienie do nieznanego kontynentu. Próżno jednak szukamy czegoś, na czym możnaby oko zatrzymać. Nic, nic i nic. Przerazająca pustka i monotonia.

»I skuczno i grustno i niekomu ruku podać«. Jakby jednak na zaprzeczenie temu, do przedziału naszego zapukał dyskretnie jakiś jegomość w czapce urzędnika.

— Pozwolą panowie?...

— Bardzo prosimy.

— Obserwuję panów już od Samary i widzę — studenci. (Byliśmy w mundurach). Korci mnie więc ciekawość, co panowie w tych stronach robią? Pytanie moje niech usprawiedliwi to, że jestem nauczycielem gimnazjum w Orenburgu, a więc poniekąd starszym panów kolegą.

Zaskoczeni tą indagacją, nie chcieliśmy jednak mówić pierwszemu lepszemu napotkanemu człowiekowi, co zacz i skąd jesteście i dokąd jedziemy.

Odpowiedziałem mu więc na prędce skonstruowanym kłamstwem, że jesteście studentami uniwersytetu warszawskiego i, jako przyrodnicy, zostaliście wydelegowani na wycieczkę botaniczną dla zbadania flory na Syrcie ogólnym (Obszczij Syrt).

— Da pomiłujcie, kakże? — zawołał zdumiony moskal — Tam wowsie cwi tow nie tu. Tam kamień.

Zacząłem więc brnąć dalej, że nie o kwiaty tu idzie, ale o rozchodniki górskie, o tę właśnie ubogą roślinność, która daje sobie radę wśród skał i kamieni.

Uwierzył czy nie wierzył, w to wchodzić nie mogłem. Dość, że już tematu tego więcej nie poruszał. Rozgadał się jednak z nami, opowiadał nam to i owo o Orenburgu, o swoim tam dziesięcioletnim pobycie w klimacie »poprostu sanatoryjnym«, gdzie należałoby wysyłać chorych na gruźlicę, udzielił wreszcie praktycznych wskazówek co do hoteli i kosztów utrzymania w mieście.

Poczęstowaliśmy go herbatą i naszymi dość jeszcze zasobnymi prowiantami, które bardzo sobie chwalił. Rozstaliśmy się dopiero wieczorem, kiedy czas było myśleć o spaniu.

Noc minęła spokojnie a nazajutrz dość wczesnym rankiem byliśmy już w Orenburgu.

O R E N B U R G

Hotel Europejski, do którego, idąc za udzieloną nam radą, zajechaliśmy w Orenburgu, był największym i najwykwintniejszym w tem mieście hotelem. Wykwintowi temu daleko jednak było do »Europy«. Pokoje wprawdzie były dość obszerne i posiadały łóżka ze sprężynowemi materacami, ale na materacach tych nie było ani prześcieradeł, ani kołder, ani poduszek. Bił w oczy goły, kolorowy, we wzorzyste kwiaty drelich.

Taki już jednak był wówczas na Wschodzie rosyjskim zwyczaj, że podróżni jeździli ze swoją pościelą, hotele więc nie zaopatrywały się w nią wcale.

Napełniło to nas przecuciem niewygody, ale cóż było robić.

Od portjera dowiedzieliśmy się, że w hotelu już są »panowie polacy«. Poszliśmy więc przedewszystkiem pod wskazane numery. Było jeszcze dość wcześnie, więc wszyscy byli w domu. Zastaliśmy w jednym numerze Władysława Jabłonowskiego i Witolda Wrońskiego, w drugim, radomiaków, Antoniego Śliwińskiego, Stanisława Ślewińskiego i Janusza Borowskiego. Ich pięciu i nas trzech stanowiliśmy razem całą partję orenburską.

Jabłonowski był starszy od nas o lat 5—6, miał już ukończone studia w Genewie i rok czy dwa lata pracy literacko-publicystycznej w »Głosie«. Zażywał on wśród nas powagi. Z natury rzeczy objął też niejako przewodnictwo nad nami.

Dowiedzieliśmy się od niego, że już był w kancelarii gubernatora, że gubernator, Jerszow, wyjechał na urlop, że zameldował w sekretarjacie swój i zapowiedział nasz przyjazd i że właśnie dzisiaj, na godzinę 12 w południe, mamy wyznaczoną audjencję. Uważaliśmy, że się to składa bardzo dobrze.

Gawędząc, doczekaliśmy właściwej pory i oczywiście mundury, udaliśmy się do gmachu gubernji.

Było bardzo gorąco, jeszcze goręcej niż w Samarze. Oblani potem, znaleźliśmy się w obszernej sali, gdzie polecono nam czekać. Nie trwało to jednak długo. Po upływie kilku minut zjawił się wice-gubernator. Był to rosły i elegancki oficer gwardji w szarży pułkownika. Nazywał się Łomaczewskij. Służył kiedyś w huzarach grodzieńskich w Warszawie, co zaraz na wstępie zaznaczył, witając nas »poniekąd, jako nie zupełnie obcych sobie«. Kolejno zaznajamiał się z nami, słuchając wymienianych nazwisk. Kiedy się ta ceremonia już skończyła, ogarnął nas wszystkich okiem, i nagle, w dość ostry sposób, zaatakował Jabłonowskiego.

— A wy poczemu nie po formie?

Jabłonowski spokojnie wytłumaczył mu, że już dawno nie jest studentem, że jest licencjatem uni-

wersytetu szwajcarskiego i nie posiada żadnego tytułu do noszenia jakiegokolwiek munduru, z wyjątkiem formy »praporszczyka« rezerwy.

Gubernator udobruchał się. Nie spostrzegł jednak bynajmniej, że pytanie jego powinno było być raczej odwrócone i skierowane w naszą stronę, bo to my właściwie byliśmy nielegalnie ubrani w mundury, jako studenci bowiem, wydaleny z uniwersytetu, nie mieliśmy już prawa ich noszenia.

Teraz rozpoczęła się rozmowa na temat wyboru przez nas miejsc na stały pobyt.

— Przeznaczyłem dla panów najlepsze miejscowości, jakimi w granicach obowiązujących ustaw rozporządzam. Są to Ileckaja Zaszczita, Wierchnie-uralsk i Orsk. Wybierajcie teraz panowie, kto dokąd chce jechać.

Zagadnąłem o Troick, miałem bowiem do tego miasta listy polecające z Warszawy do kilku inżynierów polaków.

— Ba! Troick jest wyłączony. Tam jest progimnazjum — odrzekł gubernator.

— Tem lepiej, bo można będzie dostać jakieś lekcje i łatwiej będzie żyć — usiłowałem bronić straconej pozycji.

— Tem gorzej — objaśniał z uśmiechem gubernator — Panowie nie mogą mieszkać w miastach, gdzie są zakłady naukowe typu wyższego od szkoły miejskiej. Przepisy zabraniają tego z uwagi, że ze-

słańcy polityczni mogliby wywierać wpływ szkodliwy na młodzież.

Troick więc upadł. Nie pozostało nic innego, jak dokonać wyboru pomiędzy Ilecką Zaszczitą, Wierchnieurałskiem i Orskiem.

— Nie obawiajcie się panowie, bo wszędzie znajdziecie znośne warunki życia. Zresztą, ja sam już dokonałem za was wyboru. Idzie tylko o waszą zgodę.

— Więc?

— Więc pp. Ślewiński i Borowski pojedą do Ileckiej Zaszczity. Są tam rządowe kopalnie soli i bardzo to niedaleko od Orenburga. Dobrze?

— Dobrze.

— Panowie Jabłonowski i Wroński zamieszkają w Wierchnieurałsku. Sogłasny?

— Sogłasny — brzmiała odpowiedź.

— A pp. Uściński, Karoli, Śliwiński i Dębicki do Orska. Będzie panom weselej we czterech, prawda?

Trudno było zaprzeczyć.

W ten sposób »dokonałszy wyboru«, do czego przysługiwało nam prawo.

— A teraz jesteście panowie wolni — zwrócił się do nas gubernator — i możecie zostać w Orenburgu, dopóki dotyczące was papiery nie dojdą na miejsce. Władze tamtejsze muszą być uprzedzone o panów przybyciu. O dniu i godzinie wyjazdu, co powinno nastąpić mniej więcej za 3 dni, proszę

zawiadomić policmajstra. Żegnam panów, życząc im zdrowego pobytu w najzdrowszej gubernji rosyjskiej i szczęśliwego powrotu do przerwanych studjów.

Była w tych słowach pewna życzliwość, z którą nie spodziewaliśmy się tutaj spotkać. Opuściliśmy więc gmach gubernji z otuchą, że jakoś to będzie.

— Dokąd pójdziemy teraz?

— Na obiad — zakomenderował Jabłonowski — Jest tu polska restauracja Majewskiego, który utrzymuje tu zarazem zajazd i źle się stało, że nie zajechaliliśmy do niego. Ale nikt z nas o tem nie wiedział. Powiedzieli mi o tem dopiero miejscowi polacy.

— Więc są tutaj?

— I jacy jeszcze! Całe wojsko polskie. — informował nas wesoło Jabłonowski — Zobaczycie zresztą wieczorem, bo urządzają dla nas bankiet.

Szliśmy przez park miejski, niemiłosiernie prażeni przez słońce.

Park w tym skwarnym, stepowym, nie znającym prawie opadów w czasie lata klimacie, nie mógł przedstawiać się uroczym. Mowy o jakimkolwiek cieniu nie było. Drzewa jednak rosły, chociaż wątko, i dawały sobie jakoś radę, dzięki przemyślności ludzkiej, która zaprowadziła tu sztuczną irygację. Czerpaną zapomocą wiatrakowych urządzeń wodę rzeczną z Uralu, rozprowadzały rowy głębokości na pół metra, po całym dość rozległym terenie,

dostarczając ubogiej i skąpej roślinności niezbędnej wilgoci.

W każdym razie był to park i nawet obszerny. Wieczorami zbierała się tu wykwinniejsza publiczność orenburska, grała orkiestra wojskowa, dość żywym, jak na odległy Wschód, pulsem biło życie towarzyskie.

O tej porze byliśmy tu jednak jedynymi przechodniami. Miasto schroniło się przed południowym upałem do domów, gdzie przy zamkniętych okiennicach spożywano obiady, aby po ich spożyciu spać lub drzemać aż do zachodu słońca, zgodnie ze zwyczajem, przyjętym na całym południowym Wschodzie. Wówczas dopiero orzeźwiano się herbatą, wypijaną w nieprawdopodobnej ilości szklanek, poczem wychodzono na zewnątrz.

Minęliśmy park, wyszliśmy na jakąś szeroką, niebrukowaną ulicę, pokrytą sypkim piaskiem, potem skręciliśmy w drugą, trzecią, i tak jakoś dobrnęliśmy do zajazdu Majewskiego.

Był to człowiek już stary, z dużą, siwiejącą brodą, zesłaniec na Syberję z 1863 roku, któremu na mocy amnestji koronacyjnej z r. 1881 pozwolono przenieść się do Rosji Europejskiej. Osiadł więc w Orenburgu i jakoś wcale nieźle mu szło. Dom prowadził po polsku, służbę nawet miał polską, złożoną z »opornych« unitów siedleckich, deportowanych tutaj w okresie »dobrowolnego przyłączenia się kościoła unickiego do cerkwi prawosławnej.«

Przewidujący Jabłonowski już się z nim był porozumiał poprzedniego dnia przez któregoś z polaków, których zdążył poznać, i zamówił dla nas »polski obiad«.

Majewski dał nam polski rosół, sztukę mięsa z ogórkami i — naturalnie — melony, które stanowią specjalność ziemi orenburskiej. Zapiliśmy to różowym kwasem żórawinowym, trochę mętnym, ale za to zimnym i, pogwarzywszy z właścicielem i zamówiwszy na jutro »barszcz z uszkami«, opuściliśmy gościnne progi skromnej polskiej restauracji.

Na ulicy odbyliśmy krótką naradę nad tem co dalej robić? Do hotelu nie było po co wracać. Na wniosek Jabłonowskiego, który miał pisać o Orenburgu do »Tygodnika Ilustrowanego«, (co mówiąc nawiasem bardzo nam zaimponowało), postanowiliśmy zwiedzić osobliwości miasta.

— Najosobliwszą rzeczą jest tu podobno — mówił Jabłonowski — t. zw. »dwór zamienny«, pójdziemy więc zobaczyć, jak to wygląda. Ale to dość daleko.

Nie zraziło nas to. Zgodziliśmy się chętnie na tę propozycję i poszliśmy. Już jednak po 10 minutach pieszej drogi wśród piekielnego upału, okazało się, że przeliczyliśmy się z siłami.

Na szczęście trafił nam się jakiś prosty wóz, który jechał w tamtą stronę. Skinęliśmy na woźnicę. Zatrzymał się i po krótkich pertraktacjach zgodził się odwieźć nas do »Zamiennego dworu« za opłatą po »griwienniku« t. j. po 10 kop. od osoby.

Po drodze chwycił nas kilka razy »buran«, t. j. silny poryw wiatru, który podnosił tumany piasku w górę, kręcił nim, wytwarzając coś w rodzaju sypkiego leja, wreszcie tak samo nagle przycichał, jak nagle się zrywał. Było to jednak już coś w rodzaju »trąby powietrznej«, w której wyniku mieliśmy oczy i usta zasypane piaskiem. Trochę narzekaliśmy na to, lecz wycieczki przedsięwziętej nie żałowaliśmy.

»Dwór zamienny« czyli »mienowej dwor« był rzeczywiście godzien widzenia, jako żywe świadectwo tego, że handel w pierwotnej swojej formie wymiany odbywa się tu dzisiaj tak samo, jak odbywał się przed wiekami.

Obszerny plac, zamknięty czworobokiem budynków, w których znajdują się składy towarów i sklepy — to wszystko, a jednak ileż tu jest do zobaczenia dla ludzi zachodu!

Już sama obecność tutaj kirgizów w swoich baranich futrem podszytych »małachajach« czyli stożkowatych czapach z nausznikami, (czapy te noszą zimą i latem), buharców i chiwińców we wzorzystych »chałatach«, tatarów i baszkirów — nadawała obrazowi, który roztoczył się przed nami, charakter egzotyczny. Egzotyzm ten potęgowały jeszcze karawany objuczonych wielbłądów, które niedawno przybyły z dalekich stron i oczekiwały na »wyładunek«.

Handel, jaki się tu odbywa, ma za podstawę

najhaniańbniejszy wyzysk. Podobnie, jak cywilizowani europejczycy wzamian za kolorowe szkiełka, którymi olśniewają murzynów, otrzymują od nich kosztowną kość słoniową, tutaj za trochę tytoniu, herbaty, cukru lub jakieś fatałaszkę bawełniane można zdobyć wcale cenne produkty »barbarzyńskiego« Wschodu.

Ten Wschód »barbarzyński« dostarcza Orenburgowi wspaniałych futer wilczych, lisich i żrebięcych, używanych na wierzchnie pokrycia t. zw. »doch«, niezliczonej ilości wyprawnych skórek baranich t. zw. »mierluszek«, które służą do obijania »cybików« z herbatą, co zabezpiecza ją od zwietrzenia lub nasiąkania innemi zapachami w dalekiej drodze, »koszmy« czyli wojłoku, wcale ładnych i tanich dywanów bucharskich, które nietylko sprzedają się w sklepach moskiewskich i petersburskich, jako perskie, lecz tu, na miejscu, rozchwytywane są przez ludność kozacką, u której widuje się je w każdej niemal, najbardziej prostaczo urządzonej izbie, jako przykrycia na skrzynie z przyodziewkiem; dalej dla miłośników Wschodu są wcale cenne pasy jedwabne i kolorowe szlafroki bucharskie, miękkie szale, robione na drutach z koziej wełny, zwanej »puchem«, bardzo ciepłe a tak rozciągliwe, że szal, mierzący kilka metrów kwadratowych, z łatwością da się przewlec przez pierścione; wreszcie, nie brak tu kiszliszu, uriuku, pistacji, al-buchary i innych owoców egzotycznych.

W zamian za to wszystko naiwny kirgiz lub bucharzec otrzymuje tyle co nic. Jest tedy rzeczą zrozumiałą, że orenburscy kupcy, zarówno tatarzy, jak rosjanie, zdobywają wielkie fortuny. Grabież ta odbywa się pod okiem władz, za ich przyzwoleniem i nawet popierana jest przez nie, bo zawsze skarb państwa coś niecoś na tem zarabia, pobierając cło i podatki.

Ciąg karawan, liczących nieraz po 200 i 300 wielbłądów jucznych, dźwigających najczęściej na grzbietach całe paki towarów, rzadziej zaprzężonych do niskich wózków, które ciągną za sobą cierpliwie, rozpoczyna się z nastaniem cieplej pory roku, po obeschnięciu stepów, i trwa przez całe lato. Pobyt przybyszów trwa w Orenburgu tak długo, dopóki nie wymienią wszystkich swoich towarów, że jednak w początkach września już wracać muszą, przeto kupcy-rabusie narazie są powściągliwi w obrotach, aby w chwili ostatniej, korzystając z pośpiechu, temlejsze mogli robić interesy. Na taki właściwie moment ożywionej »likwidacji« trafiliśmy.

Nacieszywszy się zgoła dla nas nowym i ciekawym widokiem, wracaliśmy piechotą do miasta, nie napotkawszy tym razem po drodze żadnego ekwipażu. Że jednak miało się już pod zachód słońca, przeto marsz nie był tak uciążliwy. W każdym razie zmęczeni wróciliśmy do hotelu i obmywszy się z kurzu, z przyjemnością wyciągnęliśmy się na naszych łóżkach.

O godz. wpół do 9 Jabłonowski zmobilizował nas na nowo, bo czas było na »bankiet«. Byliśmy zaproszeni na 9. Nie spiesząc, poszliśmy znów przez park. Było tam już sporo publiczności. Nasze mundury studenckie zwracały widocznie uwagę płci pięknej, bo niejedno strzeliste spojrzenie skierowało się ku nam. Na okrągłym placu, tuż nad Uralem, gdzie grała orkiestra, stał zbity tłum. Wśród tego tłumu spostrzegł Jabłonowski polaka, urzędnika Banku Państwa, z którym zaznał się był już przedtem. Pod jego więc przewodnictwem poszliśmy dalej. Stało się dobrze, bo kto wie, czy bylibyśmy trafili sami, o zmierzchu, do jakiegoś ustronnego domu na również ustronnej ulicy.

Weszliśmy do sporej sali, która już była pełna gości. Wśród nich pięć czy sześć oficerskich mundurów. Zaczęła się prezentacja.

— Kapitan Ryszard Błotnicki.

— Kapitan Milewski.

— Kapitan Rupniewski.

A więc to nie był żart ze strony Jabłonowskiego. To było naprawdę »wojsko polskie«. Przekonaaliśmy się o tem jeszcze dowodniej, skoro zasiedliśmy do stołu, przy którym usługiwali szeregowcy-polacy.

Rosja pchała zawsze rekrutów polskich na Wschód. Wschód był także przytułkiem dla oficerów polaków. W ten sposób bataljon, konsystujący w Oren-

burgu miał skład niemal całkowicie polski. Przeważali w nim żołnierze i oficerowie polacy.

Oczywiście przy stole panowała atmosfera na wskroś polska. Zapomnieliśmy natychmiast, że jesteśmy o 3.600 klm. oddaleni od Warszawy.

Miałem za sąsiadkę panią kapitanową Milewską, osobę bardzo jeszcze młodą, o panińskim niemal wyglądzie. Pani kapitanowa była krakowianką i ani słowa nie umiała po rosyjsku. Nic jej to jednak tu nie przeszkadzało, obracała się bowiem tylko w towarzystwie polskim. Tęskniła do kraju, ale nie narzekała na warunki miejscowe, twierdząc, że polacy korzystają tu z daleko większej swobody, niż w Polsce.

Istotnie tak było. Przekonały nas o tem kolejne podczas bankietu przemówienia pp. oficerów na naszą cześć.

Były to mowy nietylko patryotyczne lecz wprost rewolucyjne, brzmiące nadzieją, że kiedyś ich służba wojskowa i nabyte w obcych szeregach doświadczenie wojskowe przydadzą się może w innych okolicznościach. Okoliczności tych nie wymieniano, wszyscy jednak wiedzieli o co chodzi.

W naszym imieniu gorąco odpowiedział na te toasty Jabłonowski. Przemówienie jego przyjęte było powszechnym aplauzem. Podniosło to temperaturę wzajemnych uczuć tak dalece, że pod koniec tej skromnej uczty zapanował pomiędzy nami a podejmującymi nas gospodarzami stosunek

zupełnie braterski. Po raz pierwszy to w życiu ściskaliśmy i całowali ludzi w rosyjskich mundurach. A kiedy wychodziliśmy z tej biesiady dość późną już nocą, salutowali nam na ulicach policjanci, jakgdybyśmy byli dygnitarzami państwowymi a co najmniej także oficerami wojska rosyjskiego a nie przestępcami i zesłańcami politycznymi według terminologii urzędowej.

Taki był pierwszy dzień naszego pobytu w Orenburgu, a podobnie do niego zbiegły nam także dni następne.

Zbliżyliśmy się szczególnie z kpt. Błotnickim, który, jak się okazało, był znamienitym myśliwym i chadzał tu nieraz na niedźwiedzie z baszkirami, którzy również kochają się w polowaniu. Opowiadał o tych łowach bardzo kolorowo i zajmująco a doskonałą przytem polszczyzną. Namawialiśmy go, aby przygody swoje spisywał i posyłał do redakcji »Łowca«, gdzie znajdą wdzięcznych czytelników. Dowiedziałem się potem, po powrocie do kraju, że poszedł za naszą radą i niejedno ciekawe opowiadanie drukiem ogłosił.

Zaznajomiliśmy się także nieco bliżej z miastem i z jego charakterem wschodnim, tak mało rosyjskim, a tak bardzo tatarskim, mimo że cerkwi tam jest kilkanaście a meczetów o wiele mniej. Tatarzy i baszkirzy, jako »inorodcy« na własnej ziemi, od razu wzbudzili ku sobie naszą sympatię. Ich skromne lecz schludne ubiory, tak bardzo przy-

pominające krojem kontusze i żupany naszych przodków, ich niskie czapki karakułowe, tak podobne do naszych »batorów« budziły w nas jakby poczucie jakiegoś powinowactwa tego Wschodu z nami. Oczywiście, nie ulega wątpliwości, że podczas wiekowego zmagania się z tatarami przejęliśmy od nich niejedno, tak samo zapewne, jak i oni od nas. Ślady tego pozostały w naszym języku. Czy są one także w języku tatarskim, tego nie umiał nam nikt powiedzieć.

Na ulicach spotykaliśmy także często pleć piękną. Tatarki chodzą tu kolorowo. Mają zamiłowanie do barw żywych, czerwonej, zielonej, żółtej. Na tle ciemnobrązowych i szarych ubiorów męskich rysują się też jaskrawymi plamami, jakby chciały zwrócić na siebie uwagę, co zresztą ich płci przystoi. Twarze mają osłonięte tak, że z pod kolorowej »czałmy« widać tylko oczy, uczernione brwi i fragmenty mocno wyróżzowanych policzków. Podnoszenie swoich wdzięków za pomocą malowania jest tu w powszechnym zwyczaju, który to zwyczaj sięga bardzo odległej starożytności.

Pomimo osłony, tatarka potrafi jednak przeszyć strzałą swojego oka przechodnia nie gorzej od odśloniętej kobiety europejskiej.

Oprócz proletariatu tatarskiego, trudniącego się drobnym handlem, Orenburg posiadał wówczas kilkanaście rodzin bardzo bogatych. Ci miljonerzy tatarscy byli powierzchownie zrusyfikowani, to

znaczy mieli narzucony na siebie tynk rosyjskiej kultury. Pozostali jednak mahometanami i w głębi duszy zachowali poczucie związku ze swoimi. Dawali tego dowód swoją ofiarnością na cele »narodowe« i opieką nad uboższymi współbraćmi.

Przywiązanie do religii mahometańskiej było wśród tatarów bardzo silne, co wytwarzało w nich poczucie łączności z pozostałym światem mahometańskim. Turcję uważali oni poniekąd za swoją właściwą metropolję, a pielgrzymki do Mekki i Medyny odbywali tłumnie narówni z innymi wyznawcami Proroka.

Duchownych swoich, jako biegłych w Koranie, otaczali dużym szacunkiem, ale też i każdy mułła nosił się szanownie. Widzieliśmy kilku takich kapłanów, paradujących po ulicach z dużą powagą i dostojeństwem w białych turbanach i w powłóczystych szatach (sc. szlafrokach).

Właściwymi jednak autochtonami więc i przyrodzonymi panami tej ziemi i jej bogactw byli *Baszkirzy*, niegdyś koczownicy na obszarach Syberji południowej, potem, uciskani przez chanów sybirskich, osiadli dalej na Zachodzie, w gubernjach orenburskiej i permskiej, spokojni myśliwi i pszczelarze. Sami nazywają się *Baszkurt*, co znaczy wielki wilk albo też pszczelarz. W istocie są podobno zamiłowanymi i doskonałymi bartnikami i produkują dużo miodu i wosku na wywóz.

Dzisiaj jest to plemię uciskane, upośledzone i niemal całkowicie wyzute z ziemi przez moskali,

którzy rozmaitemi podstępami niszczyli ich, doprowadzając stopniowo do zupełnej nędzy.

Nie tak jednak było dawniej. Kwitła wśród nich swoboda i dobrobyt, a nie brak im było także cnót rycerskich.

Popelnivszy w przeszłości wielki błąd, polegający na tem, że po zdobyciu i zburzeniu Kazania przez Iwana Groźnego w r. 1556 poddali się dobrowolnie Moskwie, dość rychło spostrzegli, co im ze strony tej opiekunki grozi. Rozpoczęły się wówczas powstania, powtarzające się perjodycznie. Ostatnie z tych powstań wybuchło w r. 1735 i skończyło się dla Baszkirów fatalnie. Historycy rosyjscy, których trudno posądzać w tym wypadku o stronność, stwierdzają, że poległo wówczas bądź w boju, bądź z ręki katowskiej około 30.000 baszkirów t. j. $\frac{1}{3}$ całej ludności kraju. Nie zadowolając się tem, rząd rosyjski pozostałe po nich żony i dzieci rozdał czeremisom i czukczom. Po tej klęsce Baszkirja już się nie podniosła. Pozostała jednak po niej tradycja, podtrzymująca wśród Baszkirów uczucie nienawiści i zupełnej nieufności do wszystkich poczynań rządu na ich ziemi.

Tradycja plemienna jest wśród nich wogóle w poszanowaniu wielkiem. Jest to tradycja ustna, ludzi bowiem piśmiennych jest w tem plemieniu liczba nikła. Niepiśmienności potrafili jednak zaradzić w inny sposób. Opowiadano nam, że każdy baszkir posiada t. zw. *tamgę*, czyli znak, który wyciska zamiast

podpisu. *Tamgi* takie widnieją na ich barciach. Wypalają je także na zadach końskich dla oznaczenia przynależności do stada. Podobnie każda gmina posiada swoją *tamgę*, t. j. coś w rodzaju swojego herbu i zawołania, które niegdyś ułatwiał im poznawanie się między sobą i było okrzykiem wojennym w czasie bitwy.

Rzeczy to ciekawe, godne uwagi orientologów.

Baszkirzy zewnątrznie podobni są do tatarów, ale mniej od nich urodziwi, mają bardziej wystające policzki i bardziej spłaszczone nosy.

Do handlu nie posiadają takich uzdolnień jak tatarzy. Rolnikami także nie są. Hodowla bydła, koni, bartnictwo i myśliwstwo są jedynemi ich zajęciami. Temu poświęcają się mężczyźni, cały zaś ciężar robót domowych, nie wyłączając tych, które wymagają nawet dużej siły fizycznej, spada na kobiety ciche, cierpliwe, bardzo pracowite i bardzo w prawach swoich upośledzone.

Tyle o krajowcach.

Od polaków orenburskich dowiedzieliśmy się, że w Orenburgu tuła się jeszcze tradycja o pobycie tutaj Tomasza Zana. Oczywiście, zaciekało to nas bardzo, nie umiano nas jednak do źródła tej tradycji doprowadzić. Na poszukiwania zaś w archiwum gubernatorskiem nie było czasu, ciążył bowiem na nas obowiązek wyjazdu.

Jakoż, żegnani niezasłużenie gorąco przez polską kolonję, wyjechaliśmy trzeciego dnia na noc.

P R Z E Z S T E P

Było to tak...

Od Orska dzieliło nas 285 wiorst, które trzeba było przebyć końmi. Na trakcie stepowym pomiędzy obu miastami funkcjonowała poczta. Wydelegowaliśmy więc Edwarda Uścińskiego, aby konie zamówił. Wypadło to dość drogo, ale rady na to nie było.

Późnym wieczorem zajechały przed nasz hotel dwa tarantasy, każdy zaprzężony w trójkę koni. Pojazdy to niewygodne, przeznaczone raczej do leżenia w nich, niż do siedzenia. Musieliśmy więc urządzić je »po europejsku«. Polegało to na tem, że użyliśmy naszych kufrów i waliz do zmontowania siedzeń. Przykryliśmy je sianem i derkami i jakoś było wcale nieźle.

Pożegnawszy Jabłonowskiego i Wrońskiego, tudzież Borowskiego i Ślewińskiego, którzy dopiero nazajutrz rano opuszczali Orenburg, zajęliśmy miejsca w tatarskich ekwipażach, przypominających konstrukcją swoją liczydła chińskie, z przodu bowiem było to wyższe niż z tyłu, jak rasowe kibitki i — ruszyliśmy. »Jamszczyk«, tatar, świsnął batem nad końmi (tatarzy koni nie biją), wydał jakiś dziki okrzyk i konie odrazu z miejsca poszły w galop. Ulice były puste, więc niemal błyska-

wicznie znaleźliśmy się za miastem, wśród szerokiej, bezkresnej równiny stepowej. Noc była jasna, księżycowa. Jechaliśmy, jakby powiedział Słowacki, »księżycowi«. Wprost w to srebro mistycznego światła, które wołało nas ku sobie tajemnicą nieznanego jutra.

Nasz tatar jeszcze raz świsnął swoim długim batem na krótkiej nasadzie, jeszcze raz zawył przeciągle i pęd nasz się podwoił. Konie wprost oszalały. Rwały z kopyta, jakby upajając się swoim własnym biegiem, a że droga była równa, jak klepisko, przeto taka szybkość jazdy była dopuszczalna.

Jechaliśmy po dwóch. Przodem ja z Edwardem Uścińskim, za nami Śliwiński z Karolim.

Edzio, który zawsze był »na wysokości zadania«, będąc na poczcie, wypisał sobie całą naszą rutę, zanotował nazwy wszystkich stacji pocztowych i dzielące je odległości. Wiedzieliśmy więc, że do pierwszej zmiany koni mamy 17 wiorst. Inne odcinki były większe, sięgały nawet 35 wiorst. W pobliżu Orenburga stacje pocztowe były jednak dość gęste. Średnia odległość pomiędzy nimi wynosiła 20—25 wiorst rosyjskich.

Pierwszy nasz dystans przejechaliśmy w ciągu 55 minut z zegarkiem w ręku. Była to więc jazda rekordowa.

— Jeżeli tak dalej pójdzie — rozumowaliśmy — to 285 wiorst połkniemy niepostrzeżenie.

Kiedyśmy zajechali przed stację, było już koło 11 w nocy. Pocztalter oczywiście spał. Musieliśmy więc dobijać się do okiennic, na głucho zamkniętych. Po upływie dobrych 10 minut otworzyły się dopiero drzwi i wyszedł ku nam zaspany półmoskal pół-tatar, trochę widocznie zły, że przerywali mu sen spokojny. Skoro jednak spostrzegł dwie trójki koni, udobruchał się zaraz. Porozumieliśmy się z nim szybko. Wy tłumaczył nam, że koni nie ma w domu, że pasą się w stepie, ale że zaraz po nie posyła chłopca z arkanem, który je schwyci i niezwłocznie przyprowadzi.

Ładna historia!

W rzeczywistości jednak okazało się to mniej tragiczne i konie po kwadransie już były w zaprzęgu.

Po tem doświadczeniu upadł nasz optymizm. Zrozumieliśmy, że w ciągu nocy zmitrężymy dość dużo czasu na każdym postoju, zanim koni ze stepu nie sprowadzą, że na jednych stacjach będą się one pasły blisko, na innych dalej, że raz dadzą się schwycić na arkan łatwo, drugi raz trudniej.

I tak było rzeczywiście. Przeprzęgi wydłużyły znacznie naszą podróż, mimo, że konie były wszędzie świetne i galopowały na każdym odcinku bez zarzutu.

Noc była rzeźka, nawet chłodna. Po upalnych dniach, wskutek jasnego, nie znającego przelotnych nawet obłoków a cóż dopiero chmur, nieba, ziemia

stygnie tu bardzo szybko i w godzinę po zachodzie słońca już daje się odczuwać spadek temperatury. Około północy był on już tak dotkliwy, że musieliśmy włożyć na siebie zimowe, na grubej wacie szynele studenckie i wcale nie było nam za ciepło.

Tak jechaliśmy dalej. Nad ranem zaczęło nas ogarniać znużenie. Przestaliśmy rozmawiać pomiędzy sobą, kiwaliśmy się za to coraz częściej na swoich siedzeniach, uderzając się od czasu do czasu o siebie, co przywracało nam przytomność i uświadamiało, że jednak drzemimy, jak kawalerzyści w siodłach. Otrzeźwił nas dopiero wschód słońca, szybki, nagły, niemal zupełnie bez przedświtu. Dzień poprostu wytrysnął z za horyzontu i dopiero w jego świetnym blasku ogarnęliśmy oczami pustynię, wśród której prostym, jak strzelił, szlakiem na Wschód mknęły nasze kibitki.

O tej porze roku (było to 23 sierpnia) step był zupełnie nagi. Gdziekolwiek tylko widniały pożółkłe szczątki wypalonych traw. Roślinności żadnej. Pół uprawionych ani śladu. Chyba w pobliżu osad ludzkich, ale i tam dawno już było po żniwach. Zresztą osiedli niewiele. Tylko stаницe kozackie, jedna bliźniaczo podobna do drugiej. W tych stanicach gnieździ się całe życie tej części orenburszczyzny, która stanowi linię pograniczną, biegnącą pasem przez wschodnią część gubernji aż do rubieży sybirskich.

Osadzone tu w latach 1736—1742 wojsko ko-

zackie dla walki z hordami kirgizów kajsackich, którzy przez długi czas byli nieprzejednanym, ruchliwym i napastniczym żywiołem, stanowi jedyny w tym kraju element rosyjski.

Rozrzucone na przestrzeni kilkuset wiorst stаницe mają jeszcze do dzisiaj, pomimo zupełnej pacyfikacji kraju, organizację ściśle wojskową. W każdej takiej stаницy jest pośrodku majdan, a na tym majdanie dzwon alarmowy, który już nie dzwoni wprawdzie na trwogę, ale wzywa mieszkańców na narady, gromadzi ich dla wysłuchania rozkazów atamana i obwieszczeń władz.

Życie płynie tu spokojnie i, jak nam się wydało, w zupełnym dobrobycie.

Domy kozackie wyglądają wprawdzie dość ubogo na zewnątrz, ale wewnątrz są wcale nawet dostatnio urządzone. Ławy i skrzynie pokryte barwnymi i puszystymi dywanami bucharskimi. Na każdym stole lśni się doskonale wyczyszczony samowar turski. W szafkach gospodarskich dużo naczyń miedzianych i mosiężnych, nieraz bardzo oryginalnej i ładnej formy wschodniej. Ściany obwieszone bronią, wśród której prym trzymają »szaszki« o doskonałych nieraz, kto wie czy nie damasceńskiego pochodzenia, klingach, pokrytych tureckimi napisami.

Zaznajomiliśmy się bliżej z jednym z takich wnętrza w stаницy Biełozierskiej, gdzie wypadło nam zjeść śniadanie.

Uprzejma kozaczka przygotowała nam herbatę,

mleko, chleb, usmażyła jajecznicę z kilkudziesięciu jaj i nadto postawiła jeszcze na stole wielki gar z doskonałym baszkirskim miodem.

Po śniadaniu rozzawędziliśmy się z nią. Dopytywała się skąd jesteśmy, dokąd jedziemy. Kiedy zaś przyszło do rachunku, nie chciała przyjąć od nas pieniędzy.

— Dla czego?

— Bo i ja jestem »warszawianka«.

Oniemieliśmy. Wyjaśniło się jednak, że uważała się za »warszawiankę« dlatego, że mąż jej odslugiwał właśnie swoje lata wojskowe w pułku, konsystującym w Warszawie.

Mniej nam się zrobiło miło na przypomnienie tych niebieskich kozaków (kozacy orenburscy mieli niebieskie lampasy u czapek i szarawarów), grasujących z nahajkami po ulicach Warszawy i używanych zwłaszcza w dn. 3 maja do rozpędzania publiczności w Alejach Ujazdowskich, ale gospodyni nasza tak była pokojowo i przyjaźnie usposobiona, że trzeba było zapomnieć o tamtych wrażeniach, wywiezionych z kraju, a poddać się nastrojowi chwili.

Gadu-gadu wytłumaczyliśmy jej, jak można było najuprzejmiej, że Warszawa Warszawą a jednak pieniądze od nas wziąć powinna. Jakoż zgodziła się w końcu na skromną zapłatę po 20 kop. od osoby.

Pokrzepieni posiłkiem pojechaliśmy dalej. Jechaliśmy jednak już wolniej ze względu na wzmaga-

jący się upał i na rozpoczynającą się pewną falistość gruntu.

Po upływie kilku godzin zaczęło nas bardzo męczyć pragnienie, a tu ani śladu siedziby ludzkiej ani śladu wody.

Zwierzyliśmy się z tem »jamszczykowi«, który nas uspokoił, zapewniając, że niedługo będziemy przejeżdżali obok krynicy.

Jakoż po upływie kilkunastu minut kibitki nasze zatrzymały się w jakimś jarze stepowym przed niewielkim błotkiem, którego krawędzie obłożone były kamieniami.

— Pijcie dowoli — rzekł »jamszczyk«.

Niebardzo byliśmy pewni tego »źródła«. Karoli nawet ze względów higienicznych odradzał, ale pragnienie przemogło. Wysiedliśmy więc i, położwszy się na ziemi, chciwie chleptaliśmy dość chłodną, jak na upalny dzień, wodę.

Po nas pił »jamszczyk« a potem do tej samej »krynicy« podprowadził konie, aby je napoić. Przekonaliśmy się dopiero wówczas, że istotnie nie było rzeczą bezpieczną pić z tej »publicznej« nie tylko dla ludzi lecz i dla zwierząt studni. Ale było już zapóźno.

Wiedzieliśmy natomiast, że drugi raz nie damy się już skusić żadnej »krynicy« i o suchych raczej gardłach dojedziemy do Orska.

Od tej chwili podróż nasza stawała się coraz bardziej monotonna. Mijaliśmy stanicę za stanicą,

zmienialiśmy konie, rozmawialiśmy z ludźmi, którym imponowały nasze studenckie mundury i którzy z powodu złotych guzików z orłem państwowym brali nas za urzędników, jedliśmy gdzieś obiad, później wieczerzę i tak w ciągu doby przejechaliśmy 200 wiorst. Byliśmy już bardzo zmęczeni. Powstała więc kwestja, czy nocować, czy jechać bezpośrednio dalej z uwagi na to, że mamy już tylko 85 wiorst przed sobą.

Głosy były podzielone. Przeważył jednak wzgląd praktyczny: byle prędzej być na miejscu.

Postanowiliśmy więc wypocząć nieco dłużej na tej stacji, gdzie odbywała się narada, napić się gorącej herbaty i o północy, korzystając z chłodu, wyruszyć.

Zasiedliśmy na ławie przed domem pocztmistrza. Wkrótce postawiono przed nami stół a na stole zjawił się buchający kłębam pary samowar. Herbatę mieliśmy własną. Zaparzyliśmy jej sporo i popijając, gwarzyliśmy z kozakami, którzy otoczyli nas kołem, dopytując o nowiny ze świata. Nie wiele tych nowin mogliśmy im udzielić. Za to dowiedzieliśmy się od nich, że jesteśmy w stancy, opisaney przez Puszkina w »Córce kapitana« pod mianem »Fortecy Białogórskiej«. Dzisiaj niema tu już śladu dawnych fortalicji. Był to w swoim czasie jeden z najważniejszych punktów obronnych przeciw kirgizom, koczującym po drugim brzegu Uralu. Dzisiaj koczują oni tak samo w stepie Tur-

gajskim, ale są już usposobieni pokojowo i żadne z ich strony niebezpieczeństwo nie grozi. Do połowy jednak XIX wieku napady ich były częste i kończyły się nieraz bardzo krwawymi rozprawami. Starzy kozacy jeszcze to pamiętają. Niestety, nie było wśród naszego, ćmiącego lulki, otoczenia ani jednego starszego nad lat 50 człowieka. Musieliśmy więc zrezygnować z opowieści o staczanych tutaj bojach.

Na tej gawędce czas zszedł nam prędko. Noc była piękna. Księżyc świecił. Od stepu dolatywało dalekie rżenie koni. Młode kozaczki, wcale urodziwe, przypatrywały się nam ciekawie. Było nam dobrze i ani spostrzegliśmy się, kiedy konie zaszły i trzeba było jechać dalej.

— Dowidzenia za powrotną drogą — wołaliśmy odjeżdżając.

— A kiedy? — odkrzyknęto nam z gromady.

— Za dwa — trzy lata. — brzmiała odpowiedź.

Jakie wrażenie zrobił na kozakach ten odległy termin naszego powrotu, tego już nie mogliśmy ocenić, bo konie ruszyły i poniosły nas w step.

I znów jazda przez całą noc, z mitręgą czasu na stacjach pocztowych, gdzie trzeba było budzić rozespanych ludzi, zapisywać się w książce podróży, opłacać »profony« po 3 kop. od wiorsty za każdego konia i nalegać na pośpiech, do którego nikomu się nie kwapiło, bo Wschód jest wogóle powolny i ociężały.

Wreszcie około 8-ej rano, wiozący nas „jamszczyk“ wskazał nam na horyzoncie jakąś szarą plamę.

— *Wot i Orsk budiet.*

Plama była jeszcze zupełnie mętna i niewyraźna. Powoli jednak nabierała ona konturów miasteczka. Dostrzegliśmy przedewszystkiem zieloną kopułę cerkwi, stojącej widocznie, jak wszędzie, na najwyższym miejscu, potem dwa czy trzy strzeliste minarety i nic ponad to.

— Więc to wszystko?

— Chyba nie — zauważył Edzio. — Bądź co bądź to powiatowe miasto. Ma 5 tysięcy mieszkańców. Musi mieć jakieś większe budynki rządowe.

W miarę zbliżania się jednak, nadzieje na te „większe budynki“ malały. Nie było ich widać wcale. Natomiast wyraźnie zaczęły rysować się przed nami małe domki, lepione z chróstu i z gliny, ubogie wprost chałupy, beznadziejnie szare na tem beznadziejnie szarem tle. Ciekawe zjawisko jakiejś mimikry architektury, przystosowanej do otoczenia.

Jeszcze 10, jeszcze 5 minut coraz szybszej jazdy, bo „jamszczyk“ miał widocznie ambicję co do tego, aby wjechać do miasta „z szykiem“ — i oto już dudni pod kopytami koni drewniany most na Uralu, stanowiącym tutaj granicę geograficzną pomiędzy Europą a Azją.

Jesteśmy więc w Azji.

Wjazd na drugi kontynent nie zaimponował nam wcale.

Znaleźliśmy się na piaszczystej, szerokiej ulicy, zabudowanej, pożał się Boże, jak nędznie.

Zrobiło nam się markotno na duszach.

— Gdzie tu zajechać? — zapytaliśmy „jam-szczyka“.

— Jest tu zajazd niemiecki, Matz'a, jedyny w mieście.

— A więc dobrze, do Matz'a.

Skręciliśmy w ulicę nieco węższą i po chwili tarantasy nasze zatrzymały się przed dość obszernym drewnianym domem, wyglądającym jednak tak, jakby był zbudowany tymczasowo. Zatrzymanie się dwóch „trójek“ musiało wywołać wewnątrz tego domu o zamkniętych szczelnie okiennicach i drzwiach, jakąś niebywałą sensację, natychmiast bowiem wybiegł naprzeciw nam człowiek wysokiego wzrostu, z brodą, przyszyrzoną „w klin“, w czerwonej „rubaszce“ i spojrzał na nas pytająco.

Był to sam właściciel, Matz. Zewnętrznie doskonale ucharakteryzowany na kupca rosyjskiego, mówiący jednak łamanym językiem, który od razu dawał poznać rodowitego Niemca. Kiedy na pierwsze nasze pytanie, czy są wolne pokoje? odpowiedział swoją koślawą rosyjszczyzną, zagadaliśmy do niego po niemiecku, co tak go ucieszyło, że niemal z rozrzewnieniem prowadził nas za sobą do domu.

Otrzymaliśmy duży pokój, gdzie były jednak

tylko dwa łóżka, tak samo bez żadnej pościeli, jak w Orenburgu. Obiecał jednak wstawić jeszcze dwa łóżka, więc przystaliśmy na tę siedzibę, uznając ją za tymczasową.

Kazaliśmy wnosić rzeczy a potem podać sobie wody, jak najwięcej wody do mycia. Umyć się — było naszym największym w tej chwili pragnieniem. Po 32 godzinach jazdy, byliśmy pokryci grubą warstwą kurzu. Piasek na drogach stepowych jest mialki, niemal rozpylony. Mielśmy go wszędzie — w oczach, w uszach, w nozdrzach, we włosach, na szyjach, mimo białych francuskich czapek z fartuszkami z tyłu, w które przezornie zaopatrzyliśmy się w Orenburgu. Dość długo musieliśmy więc czynić teraz „ablucję“, zużywając przy niej niewiarygodną ilość mydła. Dopiero po dwóch godzinach takiego pluskania, byliśmy gotowi, odświeżeni wodą kolońską i na nowo podobni do ludzi.

Teraz przyszedł czas na herbatę. Zażądaliśmy więc samowara, który też niemal natychmiast znalazł się na stole.

W Rosji służba posiada jakiś szczególny dar stawiania samowarów. Czyni to z niesłychaną wprawą i tak szybko, iż nieraz ma się wrażenie, że w hotelach np. kilkadziesiąt samowarów stoi „pod parą“ przez cały dzień, aby zawsze były gotowe „do wyruszenia“ pod wskazany numer.

Śniadając z apetytem, gawędziliśmy na temat, co dalej?

— Natychmiast po herbacie idziemy do sprawnika — orzekł decydująco Edzio. Już i tak pewnie policja wie o naszym przybyciu, няма więc co zwlekać. Im prędzej, tem lepiej. Potem mogą być z tego powodu nieprzyjemności. Zresztą, policja to nasza tutaj opieka. Tam pomogą nam wynaleźć mieszkanie i urządzić się na stałe. W hotelu nie możemy przecież „zimować“, bo kosztowałoby to nas za dużo.

Rozumowanie to było słuszne, więc, dopiwszy herbaty, wyruszyliśmy na miasto.

Była akurat godzina 12-a. Samo południe. Z nieba lał się na nasze głowy żar roztopiony. Ledwie wyszliśmy na ulicę, a już pot kroplisty spływał z nas strumieniami. Cała „wilgoć“, jaka była w naszych organizmach, wystąpiła przez pory skóry na wierzch i spływała z nas potokami.

— Piekło — pomyśleliśmy wszyscy.

Na domiar złego miasto było, jak wymarłe. Ani żywej duszy. Okiennice zamknięte. Wszystko schowało się przed upałem do domów. My jedni odważyliśmy się wyjść, nie znając ani klimatu miejscowego ani zwyczajów miejscowych.

Nareszcie napatoczył nam się jakiś człowiek, który, zapytany, wskazał nam drogę do policji.

Nie było daleko.

Wywieszka z orłem urzędowym i z napisem: „Ujezdnoje policiejskoje uprawnienie“ zwiastowała nam, że jesteśmy u celu.

Weszliśmy do niepozornego domu, który niczem nie odróżniał się od innych. Był może tylko trochę obszerniejszy. Okiennice miał tak samo zamknięte i wielka panowała w nim cisza. W pierwszym pokoju nikogo. Otworzyliśmy więc drzwi do następnego pokoju i znaleźliśmy się w sali biurowej. Przy stole, zarzuconym papierami, drzemał jakiś niepozorny człeczyna. Zerwał się na nasze wejście i spojrzał ku nam zdziwionemi oczami, jakby z wyrzutem, że mącimy mu spokój. Wzrostu był małego, twarz miał typu mongolskiego.

Wyjaśniliśmy mu w kilku słowach cel naszego przybycia tutaj.

— Jestem Zbojew, sekretarz policji — przedstawił się, szurając mocno nogami po podłodze z prostych desek. Mamy już od wczoraj wiadomość o przybyciu panów. Zaraz powiadomię „Jewo Wysokobłagorodje“.

Wyszedł i za chwilę wrócił z zawiadomieniem, że sprawnik prosi nas do swego gabinetu.

W gabinecie zastaliśmy siedzącego przy biurku starszego już, dobrze po pięćdziesiątce, mężczyznę w wojskowym mundurze, który wstał na nasze wejście i wyciągnął ku nam obie ręce, jakby witając w nas pożądaných gości.

Był to podpułkownik Biekczurin, jak dowiedzieliśmy się z dalszej rozmowy, tatar z urodzenia, syn kupca orenburskiego.

Znajomość została zawarta szybko i rozmowa

potoczyła się na temat naszego w Orsku pobytu.

— Nie będzie tu panom źle — mówił sprawnik — jeżeli tylko zastosujecie się do obowiązujących przepisów, które wymagają od panów, abyście nie wydalali się poza obręb miasta. Proszę więc nie czynić tego nigdy bez zawiadomienia mnie o tem.

Zrozumieliśmy, że i to jest dopuszczalne za zezwoleniem sprawnika.

— Rozumiem — ciągnął dalej nasz urzędowy od tej chwili opiekun, — że będzie tu panom tęskno za krajem i za stosunkami, do których przywykliście, ale jestem pewny, że ludzie inteligentni nie nudzą się nigdy (inteligentnyje liudi nikogda nie skuczajut) i że potrafią panowie tak sobie czas wypełnić, aby nie dać do siebie przystępu melancholji.

Byliśmy ujęci tego rodzaju odezwaniem się do nas. Poruszyliśmy w dalszej rozmowie sprawę mieszkania.

— Z tem będzie może trochę trudno. Ale dam panom wachmistrza policji, który się tem zajmie. Rozpyta się po mieście i zawiadomi panów w hotelu o wyniku swoich poszukiwań. Tu klasnął w dłonie. Do pokoju wpadł Zbojew.

— Proszę zawołać Mitrofana.

Za chwilę stanął w progu Mitrofan i stuknąwszy obcasami, wyprężył się, jak struna.

— Słuszajuś, Wasze Wysokobłagorodje.

— Wsiądziesz na konia, objedziesz miasto i rozpytasz się, czy niema gdzie domu do wynajęcia. Tylko niedrogo. Targuj się. Powiedz, że to z mojego polecenia.

— Słuszajuś!

Mitrofan znów stuknął obcasami, wykonał zwrot lewo w tył i zniknął za drzwiami.

— A teraz napijemy się herbaty — rzekł Bieczurin — i poprosił nas do sąsiedniego pokoju. Nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas, że na wschodzie samowar nie znika ze stołu przez cały dzień, że herbatę pije się tam o każdej porze, gdyż przynosi ona ulgę w czasie upałów letnich. Organizmowi, który nieustannie wypaca z siebie wszystko, trzeba dostarczać płynu, gdyż inaczej poty wywołałyby za duże osłabienie.

Przy herbacie gawędziliśmy jeszcze jakiś czas, wobec jednak zbliżającej się pory obiadowej, pożegnaliśmy sprawnika.

Wyszliśmy z uczuciem, że wszystko „poszło, jak z płatka“ i że będziemy mieli „przyzwoity stosunek“ z policją.

Brnęliśmy znów po piaszczystej ulicy zpowrotem do „hotelu“ Matz'a, gdzie czekał na nas zamówiony skromny obiad.

Byliśmy w tak dobrem usposobieniu, iż kazaliśmy sobie podać do obiadu piwa. Okazało się ono jednak nie bardzo możliwe do picia, więc zadysponowaliśmy samowar.

Tak oto niepostrzeżenie weszliśmy w tryb miejscowych zwyczajów.

Od tej pory samowar był już zawsze na naszym stole przez cały czas pobytu w Orsku.

Po obiedzie daliśmy folgę znużeniu i położyliśmy się po dwóch na każdym łóżku. Usnęliśmy wszyscy niemal momentalnie, nie odczuwając wcale niewygody.

Obudziło nas dopiero koło 7-ej wieczór dość natarczywe pukanie o okiennicę. Okazało się, że to już od pół godziny dobija się do nas Mitrofan. Był ucieszony, skoro otworzyliśmy okno.

— Jest dla was kwartira.

Wiadomość ta sprawiła nam pewne zadowolenie i postanowiliśmy pójść niezwłocznie to znalezione mieszkanie obejrzeć.

Wyruszyliśmy zaraz. Oryginalny to był pochód. Przodem jechał Mitrofan na koniu w całym dostojestwie wachmistrza policji, za nim postępowaliśmy my czterej w mundurach, jak asysta.

Musiło to robić na nielicznych przechodniach wrażenie, bo oglądano się za nami.

Mieszkanie było niedaleko od hotelu. Był to drewniany, tatarskiego typu dom z oszklonym krużgankiem, składający się z pięciu pokoiów i kuchni. Było to ubogie, nieurządzone, ale dość czyste i to nas przekonało. Należał ten dom do niejakiego Stiepanowa, kupca zbożowego, który mając w Orsku drugą jeszcze nieruchomość, decydował się od-

stąpić nam swoją dotychczasową siedzibę za cenę 10 rb. na miesiąc.

Wydała nam się ta cena bardzo przystępna, więc zgodziliśmy się na nią bez targu. Potem dopiero dowiedzieliśmy się, że było to, jak na miejscowe stosunki, dobrze zapłacone. Wówczas jednak byliśmy jeszcze nowicjuszami.

Stiepanow, krępy, zezowaty, dość kuty i przebiegły „kułak“, zaproponował jednocześnie, czy nie nabylibyśmy od niego kilku sprzętów. Uczyniliśmy to chętnie, bo trzeba było przecież jakoś się urządzić. Między innemi nabyłem od niego za 7 rb. wcale ładny dywan bucharski, który nietylko stał się ozdobą mojego pokoju w Orsku, lecz służył mi potem przez długie lata, budząc zazdrość wśród przyjaciół i znajomych swoimi pięknymi, delikatnie blaknącemi kolorami.

Tak tedy niespodziewanie szybko posiedliśmy mieszkanie, do którego mogliśmy się już nazajutrz sprowadzić.

W mieszkaniu tem jednak chcieliśmy nietylko mieszkać. Chcieliśmy także prowadzić swoje gospodarstwo, niepodobną bowiem było dla nas rzeczą jadać przez cały rok u Matz'a. Zrujnowałoby to nas doszczętnie.

Rada w radę, postanowiliśmy wziąć kucharkę. Jak to jednak skutecznie? Żadna przecież dziewczyna czy nawet kobieta nie pójdzie na służbę do czterech studentów. Zniesławiłyby ją natychmiast

złe języki. Zwierzyliśmy się z tą troską Mitrofanowi.

— Poszukamy — odpowiedział z flegmą. — Awoś.

I nazajutrz rano Mitrofan przyprowadził nam kobietę, mianem Awdotja Fjodorówna, która zgodziła się objąć u nas „posadę“ gospodyni z pensją 3 rb. na miesiąc, z tem jednak, że oddamy jej i jej rodzinie kuchnię na mieszkanie.

Była to żona stolarza, Czokowa. Czokowowie posiadali 5-ioro dzieci! Cóż jednak było robić. Ludzie wydali nam się porządni, więc zgodziliśmy się, a że mieliśmy jeden pokój wolny, więc do kuchni dodaliśmy im ten pokój, aby urządzili się względnie wygodnie.

W ten sposób gospodarstwo nasze było „zmontowane“ i, nie czekając dłużej, wnieśliśmy się na nową siedzibę.

Każdy z nas otrzymał osobny pokój. Najobszerniejszy z tych pokoi zajął Antoś Śliwiński i tam urządziliśmy jadalnię i „salon“ do przyjęć. Pozostałe pokoje były maleńkie, lecz wystarczały nam zupełnie na to, aby, w razie potrzeby każdy mógł się tam zamknąć ze swojemi myślami i pracować, jak będzie chciał i umiał. Mieliśmy w ten sposób zapewnione, że nie będziemy sobie przeszkadzali i że prawo każdego z nas do samotności będzie mogło być uszanowane. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że będziemy tej samotności unikali potem za każdą cenę.

NOWE ŻYCIE

Rozpoczęliśmy nowe życie.

W pierwszych dniach pochłonięto nas całkowicie urządzenie domu. Rozpakowaliśmy nasze kufry, powydobywali stamtąd rozmaite drobiazgi, urządzili sobie coś w rodzaju biurka, poustawialiśmy na tych biurkach fotografie drogich nam osób i, przede wszystkim, zasiedliśmy do pisania listów. Należało zdać sprawę rodzicom, przyjaciółom i kolegom z losu, jaki nam przypadł w udziale. Było do kogo i było o czym pisać. Komunikowaliśmy wszystkim nasz adres, prosili o przysyłanie dzienników, czasopism i książek, nawiązywaliśmy łączność z rozsianymi po całej Rosji wschodniej kolonjami wygnańców.

Jednocześnie chodziliśmy po sklepach, skupując potrzebne do gospodarstwa naczynia i zaopatrując w co się da naszą spiżarnię. Pieniądzy mieliśmy na razie dość, a że kupowanie było rozrywką, więc codziennie po południu wędrowaliśmy do jedyne go w Orsku większego sklepu, w którym można było niemal wszystkiego dostać i wybieraliśmy tam potrzebne i niepotrzebne rzeczy. Nieraz było przytem trochę kłopotu i śmiechu. Tak np. doszliśmy do wniosku, że potrzebna nam jest patelnia do kuchni

i że należy ją kupić. Żaden z nas jednak, pomimo że znaleźliśmy na wylot dzieła Dostojewskiego, Turgeniewa, Tolstoja i innych znakomitych pisarzy rosyjskich, nie wiedział, jak jest patelnia po rosyjsku. Nie mogąc więc zażądać wprost przedmiotu, o który nam chodziło, zaczęliśmy go opisywać. „Priказчык“ słuchał tego uważnie, ani rusz jednak nie mógł się domyśleć, o co nam chodzi. Wreszcie, doszedł do wniosku, iż trzeba poprosić właściciela. Tym właścicielem był niejaki Nazarov, młody człowiek, ex-student przyrody w uniwersytecie kazańskim, który, oddziedziczywszy sklep po zmarłym niedawno ojcu, rzucił studia i powrócił do Orska pilnować majątku, który rósł, jak na drożdżach. Zaznajomiliśmy się z nim i odrazu byliśmy na stopie koleżeńskej. Był to oryginał, samotnik z typu, ale człowiek inteligentny i sympatyczny. Zrozumiał też odrazu o co nam chodzi i, śmiejąc się, zawołał: „skoworodá“. Natychmiast też otrzymaliśmy patelnię, którą z triumfem zanieśliśmy do domu. Nie na wiele się jednak przydała, bo z sztuką kulinarną Awdotji Fjodorówny było jakoś nietęgo.

Naprzód okazało się, że chociaż mięso w Orsku jest bardzo tanie, to jednak oprócz koniny i baraniny po 3 kop. za funt nic innego na rynku nie ma. Wołowiny, cielęciny i wieprzowiny ani poświecić. O słoninie na okrasę nie ma mowy. Ziemniaki są legendą. Jarzyn nie ma żadnych. Tak samo włoszczy-

zny, bez której niepodobna ugotować najzwyczajszego rosółu. Byliśmy w rozpacz. Radę na trapiącą nas klęskę znalazł Edzio Uściński, który napisał o tem do matki i prosił o przysłanie kilkunastu pudełek suszonej włoszczyzny. Zanim jednak ta upragniona przesyłka nadeszła do Orska, minęły dobre cztery tygodnie, w których ciągu straciliśmy zupełnie zaufanie do kuchni Awdotji.

Na szczęście dobra i przewidująca pani doktorkowa Uścińska do przesyłki swojej dołączyła „365 obiadów“ Lucyny Ćwierciakiewiczowej i odtąd poszło jakoś lepiej.

Edzio, który objął kierunek główny naszego gospodarstwa, odbywał co wieczór narady z Awdotją, tłumaczył jej z polskiego na rosyjski rozmaite przepisy i w ten sposób nasze menu stopniowo się urozmaicało, ale szło to ciężko i bez prawdziwie dodatnich wyników, co było tem smutniejsze, że nie chodziło nam o żadne wykwintniejsze dania, ale o najprostsze, najbardziej „domowe“ potrawy. Oczywiście, nie podobna było ugotować barszczu bez buraków i z tego zdawaliśmy sobie sprawę, ale trudniej nam było zrozumieć, dlaczego Awdotja nie umie upiec pieczeni baraniej, zrobić lanych klusek do rosółu i t. p. najzwyczajszych rzeczy. A jednak nie umiała! Musieliśmy więc poprzestawać najczęściej na jajecznicy, która nam w końcu zupełnie obrzydła. Była to jednak jedyna potrawa, która się „udawała“. Zamiast zupy wypijaliśmy często po

szklance kakao, którego mieliśmy spory zapas, na deser zaś zjadaliśmy po melonie lub po pół kawona. Był to właśnie sezon na te jedyne w stepie owoce. Kawony oferowano nam po 75 kop. za kubitkę, w której mieściło się 250 sztuk! Melony były droższe, na rynku sprzedawano je bowiem po 1 kop. za sztukę! To nas ratowało, ale nie można było tylko tem żyć. Wreszcie trafiliśmy na jedną potrawę, która poprawiła sytuację. Były to t. zw. „pełmeni“, coś w rodzaju kołdunów litewskich, maleńkie pierożki z baraniny siekanej z łojem, gotowane na rosole. Był to przysmak, należący do kuchni tatarskiej, i to można było przynajmniej jeść.

Powoli, bardzo powoli stół nasz polepszał się dopiero w miarę, jak Awdotja nabierała wprawy i rozszerzała, dzięki światłym i wytrwałym instrukcjom Edzia, swoje horyzonty orskiej mordwinki. Czokowowie byli bowiem rodziną mordwińską („Czok“ znaczy po mordwińsku s ł o w i k, Czokow był więc tyle, co Słowikowski). Należeli oni do sekty mołokanów, prześladowanej przez rząd. Dlatego znaleźli się w gub. orenburskiej. Sekciarze ci żyją ściśle według pisma świętego, które czytają i interpretują na własną rękę. Są bogobojni i uczciwi. Nie piją i nie palą. Są przeciwnikami służby w wojsku, jak duchoborcy. Umysły mają głębokie i ciekawe, skłonne do teologicznych dociekań. Kiedy poznaliśmy ich bliżej, niejednokrotnie ogarniało nas zdumienie dla ich niepospolitej inteligencji. Z tymi prostymi ludźmi

można było rozmawiać godzinami, podziwiać ich zdrowy rozsądek, nie ustępujący wiele praktycznej filozofji życiowej Montaigne'a w rozstrzyganiu zagadnień zastępujących codziennie drogę każdemu myślącemu człowiekowi, przenoszący go jednak stanowczo tam, gdzie zagadnienia te wkraczały w dziedzinę nadprzyrodzoną.

Słuchając tych ludzi, a zwłaszcza starego ojca Awdotji, myśleliśmy nieraz, jaka jest kolosalna różnica w wyrobieniu umysłem pomiędzy nimi a ludem polskim. Nasz chłop jest urodzonym realistą, któremu nie w smak są samodzielne dociekania myślowe w dziedzinie, w której zastępuje go ksiądz i Kościół. Nie zaprzęta on sobie tem głowy, chodzi do kościoła, słucha kazania, wzdycha, gdzie trzeba, ale głębszego, wewnętrznego życia religijnego bodaj że nie zna wcale. Tu, przeciwnie, p o s z u k i w a n i e B o g a jest swoistą cechą ludu tak samo, jak inteligencji. Dla tego w Rosji jest tyle sekt, tyle odchyleń od „urzędowego“ prawosławia, tyle fermentów w duszach i w umysłach najprostszych nawet ludzi, nie mających ani dostatecznego wykształcenia ani dostatecznie przez to wykształcenie wytrebowanej myśli, aby mogli podejmować bardziej skomplikowane zagadnienia, a jednak podejmują je z rzadką namietnością. Jest to niewątpliwie cecha pewnej młodszości cywilizacyjnej Rosji w porównaniu z Zachodem, który już dawno to wszystko w zakresie życia religijnego przeżył, z drugiej

jednak strony trudno ludowi rosyjskiemu odmówić rzeczywistych w tym kierunku uzdolnień. I to właśnie zastanawiało nas niepomalu w najbliższym naszym otoczeniu „mołokańskim”.¹

Powoli jednak koło naszych znajomych zwiększało się. Stawaliśmy się ciekawością dla miasta, którego ludność początkowo nie zdawała sobie zupełnie sprawy z tego, kim jesteśmy i co tutaj robimy. Fama głosiła tylko, iż przyjechali „studentci” i że zostaną dłużej, może na zawsze. Wreszcie jakiś mędrzec miejscowy, jak nas potem poinformowano, wyjaśnił rzecz całą bardzo prosto:

„Kazionnoje żałowanie bierut, protiw caria buntujutsia, wot tiebie i studenty”. Miał, zresztą, ku powzięciu tej opinii pewne podstawy, zgodnie bowiem z ustawą o przestępcach politycznych, przyznano nam pensję rządową w wysokości 1 rb. 50 kop. miesięcznie na mieszkanie i 4 rb. 50 kop. miesięcznie na życie (po 15 kop. dziennie), co czyniło razem 6 rb. Nadto przed zimą mieliśmy otrzymać jeszcze po 40 rb. na ciepłe ubrania, t. j. na kozuchy i na „walenki” (wysokie buty z wołoku, używane powszechnie na wschodzie w okresie zimowym, umożliwiające przebywanie głębokich śniegów i doskonale zabezpieczające nogi przed odmrożeniem).

¹ Nazwa tej sekty pochodzi od wyrazu mołoko = mleko, mołokanie bowiem w dni postne odżywiają się wyłącznie mlekiem.

To wszystko musiało doprowadzić owego pocziwego orszaczanina do konkluzji, że należymy do jakiejś dziwnej kategorii ludzi, którym rząd płaci za nieprawomyślność. Kategoria ta nosi widocznie w nomenklaturze urzędowej miano „studentów”.

W ten sposób staliśmy się przedmiotem powszechnego zainteresowania, naprzód płci pięknej, która zwróciła uwagę na nasze mundury, potem poważnych obywateli miasta.

Pierwszym naszym znajomym i od chwili zaznajomienia się z nami codziennym naszym gościem był sąsiad nasz z przeciwka, kupiec zbożowy, Michaił Iwanowicz Bażanow, mieszanina wrodzonego sprytu i ambicji kulturalnych z mimowolnym komizmem parwenjusa.

Figura to była na pierwszy rzut oka dość zabawna. Krępy, małego wzrostu, z latającymi, skośnie osadzonymi oczkami, o twarzy typowo tatarskiej, chociaż uważał się za „czystej krwi” rosjanina, ubrany w szarą „poddiówkę” i w buty z cholewami, czynił wrażenie prostaka, jakim też był w istocie. Gdzieś i kiedyś otarł się jednak o ludzi cywilizowanych, może nawet należących do lepszego towarzystwa i starał się ich naśladować w ruchach, co właśnie było komiczne.

Zjawił się u nas pewnego popołudnia, kiedy piliśmy swoją zwykłą *five o'clock tea* i, wykonawszy na środku pokoju jakiś dyg, który miał wyobrażać ukłon salonowy, wyrecytował:

— Pozwólcie panowie, że się przedstawię. Tu wymienił nazwisko. Jestem najbliższym waszym sąsiadem. Od kilku dni obserwuję was przez okno i widzę, iż życie samotnie. Wiadomo, nie tutejsi. Może mogę być panom w czemkolwiek pomocny?

Zaczęliśmy się kolejno przedstawiać gościowi. Jak zwykle jednak w Rosji, nazwiska mu nie wystarczyły. Rozpoczęła się wymiana imion i imion ojców, przyczem z właściwą w tym kierunku moskałom genialnością, Michaił Iwanowicz po kilku minutach rozmowy żonglował już wprawnie i bez pomyłki imionami naszemi i imionami naszych ojców.

Popijając herbatę, gawędziliśmy ze dwie godziny, w których ciągu dowiedzieliśmy się niemało o wszystkim, co działo się w Orsku od lat trzydziestu. Wiedzieliśmy jacy tu mieszkają przedstawiciele inteligencji rosyjskiej, jakie zajmują stanowiska, jak czas spędzają, ba! nawet czyja żona z kim flirtuje.

Zorientowaliśmy się odrazu, iż jest to pierwszorzędne źródło informacyjne i nie zawiedliśmy się. Od tej pory Bażanow znosił nam wszystkie wiadomości, wysypywał je przed nami codziennie, jak z worka, tak, że po kilku tygodniach wiedzieliśmy literalnie o wszystkim, co dzieje się w mieście.

Był to typ z gatunku Dobczyńskich-Bobczyńskich, uchwyconego tak genialnie przez Hohola w „Rewizorze“, z tą jedynie różnicą, iż w gruncie

rzeczy, usłużny nasz przyjaciel, chociaż chory na manję wszytkowiedzenia, był człowiekiem nawskróś dobrym i naprawdę nam życzliwym. Przekonaliśmy się potem, iż przywiązał się do nas rzeczywiście i to tak dalece, że wyjazd nasz z Orska był dla niego katastrofą moralną.

Wykształcenia nie miał żadnego, ale umiał czytać i pisać i czytywał dość dużo. Znał nawet wybitniejsze dzieła z literatury rosyjskiej, co ułatwiła mu istniejąca w Orsku biblioteka miejska, wcale zasobna, owoc samorządu, istniejącego w Rosji i przynoszącego niemałe korzyści jej miastom i miasteczkom. Prenumerował także „Swiet“, pozostawał więc w kontakcie z całym życiem rosyjskim. Interesował się nawet polityką i układem stosunków w Europie ówczesnej. Był przytem wprost chciwy wiedzy. W tym kierunku wyzyskiwał też stosunek z nami, dowiadując się i ucząc od nas wielu rzeczy. Nasza „wiedza“ była wprawdzie skromna, ale o tyle przerastała jego niewiedzę, że imponowaliśmy mu niepomąłu.

Rzecz ciekawa, iż uczył się także od nas, jak to sam przyznał, „wykwintnego“ języka rosyjskiego, mieliśmy bowiem według niego „aristokratycznej wygłosy“. Sam mówił po rosyjsku kupiecką gwarą, zepsutą na tatarszczyźnie, która była tu w obiegu na równi z językiem państwowym. Jako kupiec zbożowy miał ustawiczne stosunki z tatarami i kirgizami, władał więc dosko-

nale ich językami. Codziennie rano chodził na „chlebnoj bazar“, gdzie posiadał spichrz, wypełniony pod sam szczyt rozmaitem ziarnem, i spędzał tam czas do południa. Bazar ten był w Orsku rodzajem *agora*. Schodzili się tam obywatele miasta i udzielali sobie wzajemnie nowin, zarówno z zakresu plotek miejscowych, jak i z zakresu swojego handlu. Handel ten polegał tutaj głównie na gromadzeniu ziarna w przewidywaniu nieurodzaju i lat głodowych. W stepach orenburskich urodzaj bowiem jest grą na loterii. Normalnie słońce i posucha, przy niemal zupełnym braku opadów, niszczą zasiewy lub dają tylko bardzo nikłe zbiory. Raz jednak na lat cztery albo pięć przychodzą zbiory fenomenalne. Kozacy, którzy zajmują się tu głównie rolnictwem, bogacą się odrazu i odrazu to swoje bogactwo przepijają. Przezorny kupiec jednak wie, iż po takim roku urodzajnym następują 2—3 lata kiepskie, może nawet głodne. Gromadzi więc zapasy, nabyte po tańszej cenie w roku większej podaży, aby je zbyć po droższej w latach większego popytu. W ten sposób kapitał swój ma najczęściej uwięziony i, będąc nawet człowiekiem bogatym, musi żyć skromnie, bo dochody bieżące ledwie na takie skromne życie wystarczają.

W takiej właśnie sytuacji majątkowej był Bażanow. Uchodził w mieście za jednego z bogatszych

kupców, ale bogactwa tego nie było znać ani po nim, ani po jego domu.

Dom ten urządzony był z niesłychaną prostotą, bez śladu nie tylko wyższej lecz jakiegokolwiek kultury. Ale bo też i nie miał gospodyni. Małżonka Michała Iwanowicza była nałogową alkoholizką. Piła samotnie od rana do nocy, zapijając nie wiadomo co, czy zawiedzione swoje nadzieje, czy melancholijne osamotnienie, czy nieszczęście rodzinne, którym był dorosły już, dwudziestoletni syn, niedorozwinięty umysłowo, pijanica i rozpustnik.

Dowiedziawszy się o tem, zrozumieliśmy, dlaczego Bażanow tak chętnie uciekał z domu i szukał naszego towarzystwa.

Polubiliśmy go też, mimo całej jego śmieszności, szczerze, a i on odpłacał nam za to rzadkiem przywiązaniem. Plotkarz z urodzenia, rozniósł też o nas szybko po mieście wiadomości, że jesteśmy jakimiś wyjątkowymi ludźmi, godnymi podziwu dla trybu swojego życia.

Żyliśmy tymczasem najzwyczajniej, zobowiązawszy się tylko pomiędzy sobą słowem do tego, iż życie nasze będzie tu czyste i przykładne, że nie będziemy szukali ani przygód erotycznych, o które w Rosji jest tak łatwo, ani żadnych rozrywek, które na wschodzie bez kieliszka obejść się nie mogą.

Dzień nasz był ułożony jak w zegarku. Pierwszy wstawał Antoś Śliwiński i budził nas swoim śpiewem. Jego miły, pełen uczuciowych brzmień tenor

nietylko wyciągał rozmaite melodje ale wyciągał także i nas po kolei z łóżek. Ostatni wstawał Edzio, największy z pośród nas śpioch ale też i największy nocny marek, zapisujący do późnej nocy w swoim pamiętniku „wszystkie nasze dzienne sprawy“. O ósmej samowar już kipiał na stole, Antoś zaparzał herbatę i zasiadaliśmy do śniadania. Po śniadaniu wychodziliśmy na krótką przechadzkę, podczas której Awdotja sprzątała nasze pokoje.

O 10-ej siedzieliśmy już każdy u siebie, przy „biurku“. Pisaliśmy przedewszystkiem listy. Potem rozpoczynało się czytanie książek i tłumaczenie ich dla wprawy z języka rosyjskiego i francuskiego na polski.

Przez stosunki Bażanowa otrzymaliśmy dostęp do biblioteki prywatnej niejakiej p. Jadłowkinowej. Jadłowkin, z pochodzenia żyd odeski, ale już „prawosławny“, zajmował w Orsku stanowisko inspektora podatkowego. Żona jego, również z pochodzenia żydówka, osoba młoda, dość urodziwa, należąca do gatunku „pań swowolnych“, odznaczała się żywą inteligencją i miała w domu sporo książek francuskich. Od niej to otrzymaliśmy komplet pism Alfonsa Daudet'a i Guy de Maupassant'a. Rzuciliśmy się na to łakomie. Szczególnie Oleś Karoli i ja zaczytywaliśmy się po całych dniach w tych niewątpliwych arcydziełach i *pour passer le temps* przetłumaczyliśmy cały szereg nowel maupassantowskich, co nie było bez korzyści dla naszego stylu.

Przez głowę mi jeszcze wówczas nie przechodziło, iż z czasem literatura stanie się moim zawodem. I kto wie, czy stałaby się nim istotnie, gdyby nie pobyt w Orsku, samotne tam rozmyślania, tęsknota za krajem i podnieta, jaką znajdowałem w czytanych książkach. Za tymi dwoma autorami poszedł Voltaire, którego „Candide'a“ Oleś Karoli przetłumaczył w całości, tak się nim zachwycił. Z kolei czytaliśmy „Confessions“ Rousseau'a — na tem jednak wyczerpała się francuska biblioteka p. Jadłowkinowej. W każdym razie około 50 tomów przeszło przez nasze ręce.

Teraz przyszła kolej na książki rosyjskie. Znaleźliśmy między innemi jakieś dzieło o Buddzie, tłumaczone z niemieckiego czy angielskiego. Pochłonęło nas ono tak dalece, iż omal nie staliśmy się wyznawcami Sakia Muni'ego. Było to pierwsze moje zetknięcie się z filozofją Wschodu, która tak dalece odpowiadała ówczesnemu nastrojowi mego umysłu, zapadającego na wygnaniu w bezwład pesymizmu, że z książki tej poczyniłem sobie obszernie wyciągi, które do dzisiejszego dnia starannie przechowuję i które nieraz oddały mi przysługę.

To już nie była lektura — to było prawdziwe studjum. Oczywiście, studjowaliśmy potem dobrze nam już znanych wielkich pisarzy rosyjskich Dostojewskiego, Tolstoja, Gleba Uspieńskiego, Daniłewskiego, Bielińskiego i in., również nie bez po-

żytku. Z nowszych autorów poznaliśmy Korolenkę i Czechowa. Ostatni doprowadził nas swojemi nowelami do entuzjazmu. Tak więc mieliśmy czas urozmaicony i zajęty bądź co bądź pracą do obiadu. Po obiedzie, podczas siesty, dzieliliśmy się wrażeniami literackimi i prowadzili nieraz bardzo ożywione dyskusje. Zaostrzało w nas to zmysł krytyczny i również nie było bez pożytku, zwłaszcza, że reprezentowaliśmy dość odrębne typy umysłowe i o zapatrywania odmienne nie było trudno. Najgłębiej rzeczy ujmujący umysł i najlepsze przygotowanie filozoficzne posiadał wśród nas Karoli. Nie lubił on dużo mówić. Był raczej milczący z usposobienia, skoro jednak jakaś kwestja go zainteresowała, to przemyślał ją już do głębi. Umysł miał analityczny i nastawiony raczej ku racjonalizmowi, podobnie, jak Edzio Uściński. Być może, przyczyniało się do tego to, iż obaj byli medykami z 3-go kursu i posiadali już dyscypliny przyrodniczo-lekarskiej metody myślenia. Natomiast my dwaj prawnicy, Antoni Śliwiński i ja, byliśmy czystej wody romantykami, uczuciowcami i obaj pisywaliśmy już wówczas w skrytości wiersze liryczne. Tak dopełnialiśmy się wzajemnie, nie spostrzegając nawet, jak zacieśniają się pomiędzy nami węzły przyjaźni zarówno przez częste rozmowy i wynurzenia, jak może jeszcze bardziej, przez to, o czym nie mówiliśmy wcale, nie chcąc w sobie podsycać tęsknoty i rodzącej się w naszych duszach nostalgii.

A tymczasem stawało się dokoła nas coraz smutniej i melancholijniej. Dni wrześniowe były jeszcze ciepłe, często nawet gorące. Po nich przychodziły chłodne wieczory. Z początku spędzaliśmy je na przechadzkach lecz dni stawały się coraz krótsze, zmierzch zapadał gwałtownie, bez szarej godziny. Ledwie skryło się czerwone słońce za horyzontem, osypując na pożegnanie jakby różowym pudrem małe domki miasteczka, ledwie muezzin wywołał z minaretu swoje przeciągłe O Ałłach, Akber Ałłach... a już zapadała zimna, gwiazdzista noc. Wobec zupełnego braku oświetlenia na ulicach, wracaliśmy więc coraz wcześniej do domu. W końcu zaś wyrzekliśmy się wieczornych przechadzek zupełnie.

Zbliżał się październik. Nadchodziła zima. Pierwszym jej zwiastunem były liczne karawany wielbłądów, ciągnące od strony Orenburga w drodze powrotnej ku Bucharze i Chiwie. Ponieważ ulica, przy której stał nasz dom, miała wylot na trakt stepowy, a raczej na bezdroże, znaczone tylko co kilkanaście kilometrów ocembrowanemi kamieniem studniami, gdzie wielbłąd i człowiek mogli się napić wody, przeto nieraz budziło nas rano porykiwanie wielbłądów, których całe długie łańcuchy przeciągały przed naszymi oknami. Pocziwe łby wielbłądziej budziły w nas sympatię. Wilgotne oczy tych zwierząt cierpliwych i dla tej cierpliwości tak wyzyskiwanych przez człowieka, patrzyły nieraz

ku nam jakby z niemym wyrzutem i z prośbą o litość. Tak się nam przynajmniej wydawało. Namawialiśmy je też w duchu do buntu i rewolucji, ale cóż! każdy wielbłąd miał nozdrze przebite stalowym kółkiem i połączony był liną lub łańcuchem z towarzyszem swej niedoli. Gdy więc jeden szarpnął się mocniej, odczuwała to cała karawana, niemal aż do ostatniego w niej galernika. W takich warunkach trudno było o zerwanie łańcuchów, podobnie zresztą jak i między ludźmi i narodami w ówczesnej Rosji.

Wreszcie jednak i te karawany przeszły. Ustał wszelki ruch. Życie stanęło jakby na martwym punkcie. Ludzie na gwałt zaopatrywali się w opał. Za radą Bażanowa i myśmy to uczynili zawczasu. W kraju tym jednak niema ani węgla, ani drzewa. W piecach pali się tam cegielkami ze słomy i z nawozu. Nie jest to opał aromatyczny i można przy nim zatęsknić do jasnego płomienia i wesołego trzasku smolnego polana sosnowego, a nawet i do czerwonego żaru węgla kamiennego, ale daje wystarczającą ilość ciepła, ogrzewając do syta ogromne, z gliny lepiące piece typu ukraińskiej „hruby“.

Cegielki te noszą miano „kiziak“u. Kiziak wytwarza się w ciągu letnich miesięcy w ten sposób, że na jakiejś kolistej przestrzeni rozrzuca się słomę. W środku tego słomianego koła stoi człowiek, który kolejno puszcza na lince dobrze wykarmione konie, biegające naprzód w długim, potem w coraz

krótszym promieniu. Konie te dostarczają nawozu a trając go kopytami, mieszają razem ze słomą. Operacja taka, powtarzana przez szereg dni, daje w końcu lepką masę, z której w drewnianych formach robi się cegielki. Cegły te schną przez kilka tygodni na słońcu i wietrze a gdy stwardnieją dostatecznie, mogą iść do pieca.

Nabyliśmy odpowiedni zapas „kiziaku“ i spokojnie już oczekiwaliśmy nadejścia zimy. Nie dała ona długo na siebie czekać. Przyszła gwałtownie, jak wogóle gwałtownie następują tu zmiany pór roku.

Było to 10-go października. Jasne dotąd niebo nagle pokryło się ciężkimi zwałami chmur. Zerwał się ostry wiatr i zaczął sypać gęsty śnieg. Przez trzy dni srożyła się ta śnieżycą, poczem wypogodziło się, nastały dni jasne i słoneczne, ale już mroźne. Z początku było jakieś 7°—8° R. poniżej zera, potem spadek temperatury dał się nam bardzo we znaki. Było — 20°, — 25°, — 30°, nawet — 42° R. Po kilku dniach nastąpiło przesilenie. Temperatura podniosła się do — 20° i w początkach listopada ustaliła się jasna, mroźna zima. W słońcu mróz nie był wcale dotkliwy. Łatwo znoszący zimno Kirgizi przyjeżdżali do miasta ze swoich „zimówek“ na oszronionych koniach lub wielbłądach, w kożuchach wprawdzie i baranich „małachajach“ (wielkie, stożkowate czapy z nausznikami), ale z pod tych kożuchów często wystawała zupełnie

naga pierś, której mróz się nie imał. Nic sobie tu z niego nie robiono. Przeciwnie nawet w słoneczne dni na ulicach było więcej ludzi, niż w lecie.

Szczególnie ożywiony ruch panował przed naszymi oknami w soboty. Cała ludność przechodziła lub przejeżdżała tamtędy na saniach do „bani“, położonej nad brzegami Uralu. W czwartki brali łaźnię mahometanie przed swoim świętem, które obchodzą w piątek, rosjanie natomiast wyprażali się w soboty. My czyniliśmy to w takie dni tygodnia, kiedy łaźnia była wolna. Raz jednak wybraliśmy się tam razem z innymi, zamówiwszy sobie uprzednio numer, aby zobaczyć na własne oczy, jak to kąpią się ludzie przy kilkunastu stopniach mrozu w przeręblach. Wydawało nam się to legendą — a jednak okazało się najrzeczywistszą rzeczywistością. Wybiega sobie taki sportsmen z bani, wyparzony i wychłostany brzożowym „wiankiem“, o skórze czerwonej, jak u raka, po wąskiej kładeczce drewnianej, wysłanej rogożą i nagle buch do przerębla. Zanurzy się i wyskakuje. Nad przeręblem czeka już na niego posługacz lub ktoś z krewnych z nastawionym kozuchem i butelką wódki. Otulony momentalnie w kozuch, amator zimnej kąpieli wychyla jednym haustem sporą ilość gorzałki i biegnie pędem napowrót do gorącej łaźni. Że obchodzi się to bez ataków apoplektycznych — to wydawało nam się dziwne, wiadomo jednak, że „co rosjaninowi na zdrowie, od tego niemiec umiera“.

Ponieważ zaś w dziedzinie takich eksperymentów ryzykownych czuliśmy, iż jesteśmy cywilizacyjnie bliżsi Niemcom, przeto kąpieli w przerębli żaden z nas nie spróbował, tembardziej, iż odczuliśmy już na sobie, iż zbyt gwałtowna zmiana temperatury nie jest dla organizmów naszych bezpieczna.

Było to pewnej niedzieli, kiedy sprawnik, Biekczurin, zaprosił nas na herbatę. Powtarzało się to co tydzień, i to była najdelikatniejsza i bezsprzecznie wytworna forma wykonywanego nad nami dozoru policyjnego. Piliśmy herbatę „s wardenjem“ (z konfiturami) lub sorbetami, gawędząc o rozmaitych sprawach. Po herbacie Biekczurin po kolei brał każdego z nas pod ramię i wyprowadzał do sąsiedniego pokoju, gdzie leżała na stole księga kontroli policyjnej. W tej księdze kładliśmy swoje podpisy i było już po ceremonji. Władze miały „czarne na białem“ dowód, iż jesteśmy, że zgodnie z regulaminem, nie wydaliśmy się poza miasto. Potem wracaliśmy znów do saloniku, gdzie ppułkownik był już tylko miłym gospodarzem i stęsknionym zapewne do rozmowy z inteligentnymi ludźmi „dobrowolnym wygnańcem“. Nieraz też wyczuwaliliśmy w tych rozmowach, iż pomimo zasadniczej różnicy w położeniu, łączy go przecież z nami nie jakiejś wspólnej niedoli, może takiej samej, jak nasza, tęsknoty do innego, lepszego środowiska.

Powiedzieć nawet można, że położenie jego było gorsze od naszego, my bowiem mieliśmy już wów-

czas towarzystwo na zawołanie, zdążyliśmy bowiem poznać cały Orsk i mogliśmy o każdej chwili odwiedzić tych lub innych znajomych, gdy on, jako przedstawiciel władzy, musiał stosunki swoje ograniczać do tych, które odpowiadały jego stanowisku, nie każde zaproszenie mógł przyjąć, nie w każdym domu mógł być gościem i nie każdego mógł do siebie zaprosić.

Tak n. prz. nas zapraszał w sposób ludzki do siebie, lecz u nas nie bywał, mimo, że z pewnością byłby to chętnie uczynił nieraz. Ale cóżby powiedziano? Sprawnik z „przestępcami politycznymi“ utrzymuje stosunki i przyjaźni się z nimi. Oczywiście, „kramoła“! I poszedłby „donos“ do gubernatora.

Odwiedzał nas za to dość często jego zastępca, kpt. Jerłykow, człowiek miły i kulturalny. Czynił to jednak z polecenia sprawnika, który wyjeżdżając na urlop, powierzył mu kontrolę nad nami. Był więc usprawiedliwiony w oczach donosicieli, których w Orsku, jak zresztą nigdzie w Rosji, nie brakło.

Oficer ten był nam szczerze życzliwy, o czem, zresztą, potem.

Na razie wracam do owej niedzieli. Otóż był wtedy na dworze tęgi mróz, ponad — 30°. Poszliśmy do sprawnika. Wchodzimy do bardzo gorącego pokoju, gdzie była temperatura przynajmniej + 17 R. i nagle Edzio Uściński pada w progu zemdlony. Nie wytrzymał tej nagłej zmiany, wy-

noszącej około 50°. Przeraziliśmy się bardzo, na szczęście jednak omdlenie minęło szybko.

A teraz o donosicielach. Było to tak. Nawiązaliśmy już korespondencje ze wszystkimi kolonjami wygnańcami i wymienialiśmy z nimi nadsyłane nam z kraju książki, otrzymując wzamian od nich to, co im przysyłano. Dwa razy na tydzień przychodziła do Orska poczta i za każdym razem otrzymywaliśmy sporo listów, gazet i książek.

Jakoż w końcu października Wł. Jabłonowski przysłał nam z Wierchnieuralska dwa ostatnie zeszyty „Ateneum“, które nam wielką sprawiły radość, miesięcznik ów bowiem, redagowany przez Piotra Chmielowskiego, chętnie był wówczas czytany przez młodzież.

Minęło kilka dni aż oto zjawia się u nas dość późnym już wieczorem kpt. Jerłykow¹ i oświadcza z pewnem zażenowaniem, że otrzymał rozkaz zrobienia u nas rewizji.

Ogarnęło nas zdumienie.

— Rewizji oczywiście nie będę robił — ciągnął dalej zafrasowany nasz przyjaciel, — jestem bowiem pewny, że panowie powiecie mi sami otwarcie i szczerze, co to za przesyłkę otrzymaliście od pozostającego pod dozorem policji w Wierchnieuralsku Władysława Juljanowicza Jabłonowskiego.

¹ Konstanty syn Walentyna Jerłykow, wówczas „stanowej przystaw“ w stancy Tanalyk, został później policmajstrem w Koływanii na Syberji.

— Ależ i owszem, z całą gotowością — odpowiedział Edzio, do którego kapitan żywił szczególną sympatię. — Były to dwa zeszyty wychodzącego w Warszawie pod cenzurą rewolucyjną miesięcznika p. t. „Ateneum“.

— Czy możecie panowie przedstawić na to jakiś dowód?

— Oto są owe zeszyty.

— A opasek, pod którymi przyszły, niema?

— Poszukamy.

Szczęśliwie jakoś zachowały się opaski. Kapitan sprawdził stemple pocztowe, datę, odbitą na nich, wymiar opasek z wymiarem książek i odetchnął z ulgą.

— To wystarczy do protokołu. A teraz powiem panom jakie jest źródło tej całej przygody, tak dla mnie niemiłej. Oto otrzymaliśmy z Wierchnieuralska od tamtejszej policji wiadomość, że korespondujący z panami Władysław Jabłonowski przesyła panom nielegalną literaturę. Rzecz naturalna, że policji tamtejszej doniósł o tem ktoś usłużny, w którego oczach każda książka, drukowana po polsku, była już książką nielegalną, rewolucyjną — i sprawa gotowa. Takie są u nas stosunki.

Że stosunki te „takie“ były istotnie, o tem przekonaliśmy się niebawem powtórnie.

W początkach listopada nadeszła do Orska późnym wieczorem wiadomość telegraficzna o śmierci cara Aleksandra III-go, który umarł był na Krymie

wskutek ciężkiej choroby nerek, wywołanej przez chroniczne pijaństwo.

Z wiadomością tą przybiegł do nas zadyszany Bażanow.

Była to dla nas wiadomość ważna, zorientowaliśmy się bowiem natychmiast, że wstąpieniu na tron Mikołaja II-go towarzyszyć będzie z pewnością amnestja, obejmująca oprócz zbrodniarzy i złodziei także i nas. Z tego powodu gawędziliśmy długo w nocy, snując rozmaite na ten temat przypuszczenia i ciesząc się nadzieją, że może za kilka tygodni będziemy wolni, wrócimy do kraju i do przerwanych studjów.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, otrzymaliśmy wezwanie do niezwłocznego stawienia się u sprawnika. Byliśmy przekonani, że to może już jest wiadomość o amnestji i serca nam mocno zabiły. Okazało się jednak zupełnie co innego.

Sprawnik przyjął nas z miną bardzo poważną. Miał już krepę na lewym ramieniu.

— Odgrywa rolę osieroconego wiernopoddanego — pomyśleliśmy.

Tymczasem sprawnik, nie wspominając nawet o zaszłych wydarzeniach, zwrócił się do nas ze słowami:

— Nie spodziewałem się tego po was, moi panowie.

Była to ostra za coś wymówka, ale nie mogliśmy się domyśleć za co. Sprawowanie nasze było bowiem naprawdę wzorowe.

— Ja wszystko rozumiem, ja rozumiem doskonale wasze położenie — ciągnął Biekczurin dalej już nieco łagodniejszym tonem — rozumiem, iż musicie od czasu do czasu rozerwać się, nawet zabić, od tego jesteście młodzi, ale, na miłość Boską, żeby z powodu śmierci Najjaśniejszego Pana urządzać baliki (piruszki) całonocne, to już przechodzi moje pojęcie!

Byliśmy niepomału zdziwieni tą sprawą. Opowiedzieliśmy więc rozżalonemu na nas sprawnikowi otwarcie i szczerze cały przebieg wczorajszego wieczoru, nie tając, że ten i ów spóźniony przechodzień mógł widzieć późną jeszcze nocą przedzierające się przez szpary naszych okiennic światło.

Zrozumiał i złagodził zupełnie. Przeprosił nas nawet za to, że nas wezwał do siebie tak wcześnie.

— Ale cóż było robić — mówił. — Był na was donos, panowie. Musiałem rzecz sprawdzić.

Okazało się później, że denuncjatorem był Zbojew, sekretarz policji, który prawdopodobnie uczynił to w przekonaniu, iż otrzyma za tak „ważną“ wiadomość awans. Zamiast awansu dostał jednak „nachłobuczkę“ i „wygovor“. Być może jednak kierowały nim inne pobudki. Mógł to być równie dobrze akt zemsty, wywarty na nas za to, że nie utrzymywaliśmy z nim stosunków towarzyskich, że nie bywał u nas w domu, gdzie wówczas bywała już cała niemal „elita“ orska.

W miarę bowiem jak ustalała się zima, rozsze-

rzało się koło naszych znajomych. Rzecz naturalna, że w długie, zimowe popołudnia i wieczory ludzie chętnie szukają ludzi, że radzi są pogawędzić, ogrzać się w ciepłym domu, wypić szklankę gorącej herbaty. Dotyczy to zwłaszcza wszelkiego typu samotników, do których „chandra“ ma w zimie daleko łatwiejszy przystęp niż na wiosnę i w lecie.

Do takich, odwiedzających nas często samotników, należał powiatowy kontroler akcyzy, niejaki Bejnar, Polak z pochodzenia, lecz nie umiejący już mówić po polsku.

Postać zgoła tragiczna. Pochodził z Rosсии na Litwie. W młodym jeszcze wieku wyjechał do Rosji, bo w kraju nie mógł znaleźć kawałka chleba. W miarę awansowania w służbie posuwano go, jako polaka-katolika, coraz dalej na Wschód aż znalazł wreszcie stałą przystań w Orsku. Był tam już od lat 20. Tu umarła mu żona i tu pomarły mu dzieci. Został sam, jak palec. Z tej samotności i z żalu po swoich najbliższych rozpił się. Rzadko można go było widzieć trzeźwym. Rzadko mówił wyraźnie — bełkotał raczej zupełnie niezrozumiale.

Kiedy też poraz pierwszy przyszedł do nas, trudno nam było zrozumieć kim jest i co go sprowadza. W końcu jednak dogadaliśmy się nieco. Opowiedział nam swoją historję, a że Edzio, który pochodził z Marjampola suwalskiego, znał Rossień, więc most bliższego porozumienia był już po-

między nami rzucony. Od tej chwili poszło gładziej i łatwiej.

Źle było tylko z polszczyzną. Bejnar rozumiał jako tako to, co mówiliśmy do niego po polsku, ale sam już wysłowić się inaczej, jak po rosyjsku, nie potrafił. Próbował wydobywać z mózgu zapomniane wyrazy, ale jakoś to nie szło. Nie przypuszczaliśmy nawet, że tak doszczętnie można zapomnieć ojczystego języka.

Wreszcie Edzio wpadł na pomysł czysto lekarski obudzenia jego odrętwiałej pamięci.

Przyniósł ze swego pokoju „Pana Tadeusza“ i zaczął czytać głośno:

„Litwo, ojczyzno moja“...

Po kilkunastu wierszach stary Bejnar zaryczał. Zatrzęśła się jego siwa głowa, zatrzęśła się jego rozłożysta broda, załkała jego starcza pierś. Było coś wstrząsającego w tym widoku. Powtórzyła się jakby scena z „Latarnika“, której Sienkiewicz nie mógł zaimprovizować, lecz musiał ją wziąć z takiej samej rzeczywistości, jak ta, którą mieliśmy przed oczami.

W życiu Bejnara był to moment przełomowy. Obudziły się w nim wszystkie dawne wspomnienia, stanął mu przed oczami cały „kraj lat dziecinnych“. Zaczął nam opowiadać o sobie i swoich żalonych dziejach. Kajał się przed nami, jak na spowiedzi. Oskarżał się o pijaństwo i zatrącenie duszy — ale to wszystko — mówił — z samotności! Nie miał tu z kim pomówić, nie miał się przed kim

pożalić, nie miał komu duszy i serca otworzyć. Więc na jednej i na drugim tworzyła się twarda skorupa aż w końcu oprócz tej skorupy nic już nie zostało. Dopiero teraz odżył, dopiero teraz powietrza polskiego zaczerpnął do płuc. Poprawi się. Zmieni tryb życia. Do emerytury już nie daleko. Jak tylko ją otrzyma, wróci do kraju, żeby przynajmniej stare i potierane kości złożyć na cmentarzu w Rossieniach, gdzie leżą wszyscy jego bliscy.

Niestety, nie wrócił. Jak dowiedzieliśmy się potem wkrótce po naszym wyjeździe z Orska umarł w opuszczeniu i w osamotnieniu, zapiwszy się na śmierć wódką, której szafunku pilnował w imieniu i na dobro skarbu rosyjskiego.

Innym gościem naszym, równie częstym a może częstszym jeszcze, bywał bardzo ciekawy staruszek, baszkir, tłumacz przysięgły w miejscowym sądzie pokoju.

W tym to sądzie, po długich staraniach i zabiegach, za protekcją Bażanowa i za zezwoleniem sprawnika, Karoli otrzymał skromne stanowisko przepisywacza papierów z pensją 12 rb. 50 kop. na miesiąc.

Był on w największej potrzebie, stosunki bowiem jego rodzinne tak się wówczas ułożyły, że nie mógł otrzymywać od rodziców żadnego zasiłku. Skromna ta pomoc przysłała więc w sam czas.

Na czele tego sądu stał niejaki Dreher, dymisjonowany generał, moskal niemieckiego pochodzenia,

człowiek szorstki ale niezły. Zgodził się więc pod naciskiem sprawnika przyjąć „przestępcę” politycznego“ i wpuścić go do biura, gdzie wypisywano wydane w imieniu Jego Cesarskiej Wysokości wyroki na biednych, nie znających przepisów prawa, baszkirów, do których jednak, jak do wszystkich obywateli państwa, stosowano z całą ścisłością zasadę, że „nieznajomością prawa tłumaczyć się nie można“ (*juris ignorantia nocet*).

Oleś, przepisując kiedyś jakiś wyrok, wyraził się ze współczuciem o skazanym baszkirze. To tak wzruszyło tłumacza przysięgłego, który przy sąsiednim urzędował biurku, że przylgnął od tej pory do „polskiego studenta“ i po paru dniach przyjaźni wyraził mu pragnienie poznania nas wszystkich.

Którejś niedzieli przyszedł do nas rzeczywiście. Ubrany był dostatnio. Miał na sobie naprzód zwierzcinnie futro żrebięce, potem suknem krytą lisiurę, wreszcie jakiś jedwabny „lejbik“, podbity królikami, zapięty od góry do dołu na jaspisowe guziki. Rozebraliśmy go z tych futer, tak, że został tylko w lejbiku. Był to już starzec, liczący lat ponad 70. Twarz miał pomarszczoną, jak cytryna. Na oczach duże okulary. W ruchach był powolny ale w rozmowie żwawy. Potoczyła się więc łatwo gawęda o stosunkach miejscowych, o niedoli baszkirskiej, o bezprawiu, jakie się tutaj dzieje „w imię prawa“.

Staruszek kazał do siebie mówić *per* „Wasilij Pietrowicz“. Kiedy jednak rozgadał się już na dobre, nagle, zwracając się do nas, zawołał:

— *Kakoj ja tam Wasilij Pietrowicz!* Ja prosto Machmed Ali Achmedżjan itd. Wyliczył pięć czy sześć mahometańskich imion.

I tu opowiedział nam swoją historję. Działo się to jeszcze za czasów Mikołaja I-go. Był wówczas nakaz dostarczania corocznie do Kazania kilkustu chłopców baszkirskich, w wieku od lat 10 do 12, którzy w charakterze stypendystów rządowych, naprzód uczyli się czytać i pisać, potem szli do gimnazjum, gdzie kończyli po kilka klas, aby w następstwie mogli piastować urzędy w swoim kraju.

Tak pewnego dnia był porwany ze swojego sioła (aułu) mały Machmed Ali i zawieziony do Kazania, gdzie spędził lat kilkanaście, zanim otrzymał świadectwo z ukończenia 4-ch klas gimnazjalnych. W jakiejś bursie, gdzie go umieszczono, powiedziano mu, że będzie się odtąd nazywał „Wasilij Pietrowicz“. I tak już zostało na całe życie. W stosunkach urzędowych używa tego miana, pod spodem jednak był, jest i będzie do końca życia Machmedem Ali Achmedżjanem itd.

Przyjęliśmy to do wiadomości nie bez wzruszenia.

Pierwsza wizyta wywarła widać na staruszkowi dobre wrażenie, bo odtąd zjawiał się u nas niemal co niedzielę, gawędził z nami zawsze pełen ochoty

i uskarżał się coraz otwarciej na niedolę tego pięknego kraju, który zaborca niszczył i wyjaławiał w sposób barbarzyński.

I była rzecz bardzo ciekawa. Ten właśnie przedstawiciel o setki mil odległego od cywilizacji europejskiej szczepu mongolskiego, zarzucał brak cywilizacji i barbarzyństwo wielkiemu państwu, które sobie rościło pretensje do misji cywilizacyjnej na Wschodzie.

Uspokoiłszy go, że tak samo Rosja zachowuje się i na Zachodzie, u nas, stosując metodę niszczenia i grabienia.

Z uwagą słuchał o tem i znać było, że na tych właśnie drożdżach rośnie coraz większa jego ku nam sympatja.

Staruszek z wolna przywiązywał się do nas, a my do niego.

Rozmowy nasze, gdyby je był słyszał któryś z naszych urzędowych opiekunów, uznane byłyby z pewnością za nieprawomyślne i niebezpieczne dla państwa. Co tu bowiem tać? „Rewolucjonizowaliśmy“ po prostu staruszka, jak mogliśmy i umieli, a i on ze swej strony dolewał oliwy baszkirskiej do naszego polskiego, przeciw rządowego ognia. Że jednak mówiliśmy o tych rzeczach zwykle bez świadków obcych, najzupełniej poufnie, przeto ani nam ani naszemu przyjacielowi żadne z tego tytułu nie groziło niebezpieczeństwo. Zacieśniały się tylko przez to węzły wzajemnej pomiędzy nami

sympatji. Polubił nas, może nawet przywiązał się do nas. Był też stałym gościem na naszych „rautach“ niedzielnych, gdzie oprócz niego schodziło się jeszcze wiele osób na gawędę przy szklance herbaty.

Poza tem nie było dnia, żeby ktoś do nas nie wpadł, choćby na chwilę. Więc oprócz nieodzownego Bażanowa odwiedzał nas codziennie, miejscowy rejent, Franciszek Braun, pochodzący z Łucka na Wołyniu, uważający się za Polaka, chociaż nie tęgą mówił polszczyzną. Był to człowiek dobry, a chociaż znacznie starszy od nas, tak całkowicie poddany naszym wpływom, że po dwóch miesiącach obcowania z nami, zaczął już myśleć naszemi „rewolucyjnymi“ kategorjami.

Życzliwość, jaką żywił dla nas, o mało nie przypawiła go o utratę rejentury.

Było to tak. W ciągu zimy wyjechał on do kraju, gdzie w Brześciu litewskim miał narzeczoną. Chciał się ożenić i z żoną wrócić do Orska. Na ten sześciotygodniowy swój urlop musiał jednak, zgodnie z przepisami, zostawić zastępcę. Tymczasem w Orsku nie było nikogo, kto mógłby go w czynnościach rejentalnych zastąpić. Mógł to uczynić od biedy tylko któryś z nas. Wybór Brauna padł na Antosia Śliwińskiego, który nosił długą, czarną brodę i miał przez to ponad swój wiek poważny wygląd. Zameldował to piśmiennie prezesowi Sądu okręgowego w Orenburgu, uzyskał zatwierdzenie i spokojnie wyjechał.

Nazajutrz po jego wyjeździe zainstalowaliśmy się obaj z Antosiem w kancelarii notarialnej i zaczęliśmy z powodzeniem pełnić obowiązki, których nie było nadmiaru. Przeważnie polegały one na legalizowaniu podpisów i wypełnianiu blankietów wekslowych, których interesanci, mało biegli w tego rodzaju sprawach, sami wypełniać nie umieli.

Aliści stała się rzecz nieprzewidziana. Ktoś doniósł do Orenburga, że oficjalnym zastępcą rejenta jest w Orsku „przestępca polityczny“. Na skutek tego „nadużycia“ gubernator skazał Śliwińskiego na 24 godziny aresztu, a jednocześnie przyszedł od prezesa sądu telegram, zawieszający go w czynnościach. Kancelarię opieczetowano, a my wróciliśmy, jak niepyśzni, do domowego życia.

Brauna, po powrocie, pociągnięto za to do odpowiedzialności i o mały włos nie pozbawiono go notariatu. Jakoś się jednak wykręcił i został.

Przygoda ta zbliżyła nas, jako „wspólników przestępstwa“. Bywaliśmy więc częstymi gośćmi w domu pp. Braunów, a i on odwiedzał nas, kiedy tylko mógł.

Nie był to człowiek większego rozumu ani nawet wyższego wykształcenia. Studjów prawniczych nie miał za sobą, a do notariatu doszedł drogą długoletniej praktyki, co w Rosji wówczas było jeszcze możliwe. Od młodego chłopca był pisarzem u rejenta w Łucku, a potem w Brześciu litewskim

i tak się wyrobił, że mógł samodzielnie prowadzić kancelarię.

Nadzwyczajnych jednak z tego źródła dochodów w Orsku nie miał. Dostatnią egzystencję i kilkaset rubli nadto, które wystarczały, aby pojechać do kraju i sprawić sobie trochę ubrania „europejskiego“. Tak też czynił i do roku 1914-go widywaliśmy go niemal co rok w Warszawie. Zawsze nas odwiedzał i cieszył się z tych odwiedzin. Co się z nim stało po przewrocie bolszewickim, trudno wiedzieć.

Również częstym, jak Braun, gościem bywał u nas „towarzysz naszej niedoli“, rosjanin, Aleksander Matow.

Z pochodzenia włościanin (krestjanskawo słołwja), z wykształcenia „seminarzysta“, który studjów nie ukończył i popem nie został, był wolnym słuchaczem na uniwersytecie w Kazaniu, kiedy zamieształ się w jakąś sprawę polityczną. Grupa rewolucyjna, do której należał, wydała broszurę Jana Młota pod tytułem: „Kto z czego żyje“. Była to rzecz wysoce niecenzuralna. Żandarmi wpadli na trop wydawców i aresztowali ich. Matow przesiedział 5 lat w „Krestach“, słynnem więzieniu petersburskiem, poczem zesłano go na drugich 5 lat do Orska.

Był to typowo rosyjski rewolucjonista, naszpikowany marksizmem i marzący o przewrocie w Rosji za wszelką cenę. Mimo krwiożerczych jednak teo-

ryj, miał usposobienie łagodne. Blondyn o dużych, pełnych wyrazu, niebieskich oczach, czynił wrażenie człowieka raczej spokojnego, któryby się doskonale czuł w ramach życia burżuazyjnego na łonie rodziny, przy stole, na którym kipi samowar i dokoła którego siedzi dwoje lub troje dzieci.

Temu powołaniu do życia rodzinnego dał zresztą folgę jeszcze w Orsku, żeniąc się z córką miejscowego protojereja, starzejącą się już panną, nie z miłości, ale, poprostu, „ot skuki“.

Na razie jednak był jeszcze „kawalerem“ i po koleżeńsku wpadał do nas o rozmaitych porach dnia na krótszą lub dłuższą pogawędkę.

Rozmowy nasze zaczynały się zwykle od zapytania z naszej strony: „co nowego?“

— „*Niczewo* — odpowiadał stereotypowo Matow — *pieregoniajem chlieb na g...o*.”

To drastyczne nieco określenie malowało jednak w sposób dosadny istotne położenie i zajęcie zesłańców politycznych. Do tego bowiem trywialnego procesu sprowadzało się w rzeczywistości całe nasze i jego w Orsku bytowanie.

Po takim wstępie rozpoczynało się wyrzekanie na rząd, krytyka istniejącego ustroju, motywowanie konieczności rewolucji, obalenia samowładztwa, rzezi biurokracji etc. Były to jednak frazesy, frazesy i tylko frazesy, poza którymi nie stała żadna realna koncepcja przyszłości. Słuchaliśmy tego zrazu cierpliwie, potem zaczęło nas to nudzić, że jed-

nak odczuwaliśmy, iż to „wyładowywanie“ się jest Matowowi potrzebne do życia, przeto słuchaliśmy nadal cierpliwie jego wynurzeń.

Unikaliśmy tylko rozmowy z nim o sprawie polskiej. Tej nie mógł zrozumieć zupełnie. Nasze aspiracje narodowe wydawały mu się czemś małym i drobnym, nie wartym zgoła zachodu tam, gdzie chodziło o szczęście człowieka, o szczęście całej ludzkości. Oszołomiony rajem na ziemi, który stwarzała w sposób dość naiwny z dzisiaj na jutro jego podniecona wyobraźnia, uważał, że Polska nieustannem wysuwaniem swoich narodowych postulatów, hamuje postęp świata, który ponad kwestją narodowości i ojczyzn powinien jaknajrychlej przejść do porządku.

Takie stanowisko było dla nas nie do tolerowania, starliśmy się więc kiedyś ostrzej w dyskusji. Edzio wypowiedział mu nawet w kulturalnej formie dość ostry *pater noster*. Matow zmiarkował się, że obraził nasze uczucia i spuścił z tonu. Od tej pory jednak unikaliśmy starannie rozmów na ten temat.

Poza tem raczej łączyło nas wszystko, niż dzieliło. Byliśmy w jednakowym położeniu. „*Sud'ba swiazala nas*“, jak lubił powtarzać nasz towarzysz za Puszkinem. Drobne przykrości życia i drobne jego radości były te same dla nas, co i dla niego. Nudziliśmy się i tęsknili razem. Nadzieje nasze na lepszą przyszłość były te same. Rozumieliśmy się

więc i odczuwali pomiędzy sobą z pewnością lepiej, niż ktokolwiek inny mógł nas tu rozumieć i odczuwać. Powoli też, mimo różnic w poglądach, żyliśmy się tak, że to życie się można było nazwać przyjaźnią. Szczególnie Matow nie mógł się bez nas obejść. Nas było czterech i ostatecznie mogliśmy sobie sami wystarczyć, zwłaszcza, że wytworzył się pomiędzy nami zupełnie braterski stosunek. On był sam jeden i nie miał tu literalnie z kim myśli i zapatrywać swoich podzielić. Nadto nas uważano tu za coś „lepszego“. Traktowano nas trochę jak cudzoziemców, z pewną kurtuazją i z wyraźną chęcią wywarcia na nas dobrego wrażenia. Jego, jako rosyjanina, uważano rzeczywiście za „przestępcę“, za tę „parszywą owcę“, która może „zarazić stado“. Daleko mu więc trudniej było o stosunki towarzyskie, niż nam. Rzecz tedy naturalna, że lgnął do nas więcej, niż do własnych swoich rodaków.

W położeniu materialnem Matow był dość ciężkiem. Zarabiał jednak na ubogie życie coś niecoś korespondencjami do „Gazety samarskiej“, która płaciła wcale nieźle, bo po 10 kop. od wiersza. Że jednak niewiele można było z Orska i o Orsku napisać, więc ratował się tłumaczeniem krótkich opowiadań z jakiejś chrestomatji angielskiej. W więzieniu nauczył się trochę po angielsku — oczywiście bez wymowy, ale tak, że ze słownikiem mógł treść przeczytanego zrozumieć. Te drobne historjki, zawsze z morałem, często pełne anglosaskiego

humoru, miały powodzenie i dostarczały mu tych kilkunastu rubli na miesiąc, które były niezbędne do tego, aby jako tako mieszkać i nie być głodnym.

Na korzyść Matowa muszę zaznaczyć, że żył skromnie i przyzwoicie. Nie pił i starał się zawsze zachowywać jak można najkulturalniej, mimo że tresury towarzyskiej, którą daje dobre wychowanie domowe, nie miał.

Wykształcenie jego było powierzchowne, ale dość rozległe. Znać było, że pochwytał mnóstwo wiadomości, ale że to wszystko leży nieuporządkowane w jego mózgu, jak rupiecie w jakimś litewskim lamusie. Miał natomiast bystrą inteligencję wrodzoną. Orientował się szybko i łatwo.

Pisał po rosyjsku dobrze i nie bez literackich uzdolnień. Oczywiście jednak tego, co chodziło mu po głowie, pisać a przynajmniej drukować nie mógł.

Zostawiliśmy go w Orsku już żonatego z popadanką, na łonie rodziny. Po naszym wyjeździe udało mu się, na skutek starań, przenieść do Samary, gdzie, jak mi to sam potem opowiadał, został jednym z filarów tamtejszej gazety.

Widziałem go potem jeszcze tylko raz jeden w życiu. Było to w r. 1902-im. Byłem wówczas już żonaty i mieszkalem w Warszawie. Pewnego dnia lipcowego zjawił się u mnie Matow. Przejeżdżał przez Warszawę, wracając z Brukselli, wyszukał mnie przez biuro adresowe i odwiedził. Byliśmy sobie obaj bardzo radzi. Zaprosiłem go na obiad na

dzień następny. Przyjął zaproszenie bardzo chętnie. Przyszedł w długim czarnym surducie. Pod pachą dźwigał grubą, wypchaną papierami tekę skórzaną.

— Cóż ty masz w tej tece? — zapytałem.

— Rewolucję — odparł i zaczął mi wykladać, że podczas pobytu w Belgii zebrał całe mnóstwo wycinków z gazet, że wszystko to razem wzięte stanowi bezcenny materiał do uzasadnienia konieczności rewolucji w Rosji, że wytyczne tej rewolucji znajdują się tam również i że natychmiast po powrocie do Samary zabierze się do wcielania tego w życie.

Wydało mi się to zupełną naiwnością, ale znając jego *idée fixe*, gawędziłem z nim na ten temat podczas całego obiadu.

Żona moja, która nie знаła wcale języka rosyjskiego, siedziała, oczywiście, jak na niemieckiem kazaniu. Żadnego w tej rozmowie udziału brać nie mogła, bo Matow, pomimo, że wracał z zagranicy, nie mówił żadnym obcym językiem. Żenowało go widocznie to, że z gospodynią domu nie może słowa zamienić i pragnął dać jej przynajmniej świadectwo swojej dobrej woli, bo kiedy po obiedzie wstawaliśmy od stołu, zwrócił się do niej z ukłonem i wyrecytował:

— *A wot ja znaju i po polski: Mersis, Madame.*¹

¹ W Rosji, zwłaszcza w sferze kupieckiej, dla „elegancji“ dodaje się „s“ na końcu wyrazów. W ten sposób z *merci* powstało *mersis*.

Przegawędziliśmy jeszcze dobrych kilka godzin, wspominając Orsk i naszą tam niedolę. Rozstaliśmy się, jak starzy, dobrzy przyjaciele. Nazajutrz odprowadziłem mego gościa na kolej. Pojechał. Od tej pory nie widziałem go więcej. Przypuszczam, że podczas rewolucji 1905/6 musiał odegrać w Samarszczyźnie jakąś wybitną rolę. Jeżeli wyszedł wówczas cało, to również nie zabrakło go w rewolucji 1917-go roku. Żyje, czy nie żyje — nie wiem. Najprawdopodobniej jednak zginął, bo był czystej wody es-erem i wątpię, żeby został bolszewikiem. Ale w mózgach rosyjskich wszystko jest możliwe, nie jest więc wyłączona i zmiana przekonań, zależnie od wiatru, który wieje.

Drugim naszym „kolegą“ rosyjskim, zesłanym również na lat 5 do Orska, był niejaki Władimirow, figurka dość nędzna i niewątpliwy psychopata.

Małego wzrostu, o wątłej budowie ciała, miał lat 26—27. Nie więcej.

Był urzędnikiem policji w Niżnim Nowogrodzie i należał do jakiejś miejscowej grupki terrorystów, która postanowiła zgładzić gubernatora niżnionowogrodzkiego, gen. Baranowa. Los padł na Władimirowa. On miał dokonać zamachu. Uzbrowiwszy się tedy w rewolwer, wyjednał sobie audjencję u gubernatora i został przez niego przyjęty sam na sam. Podczas rozmowy wy dobył rewolwer i zmierzył do gubernatora.

— *Tut on strusił i ja strusił* — opowiadał o tym

decydującym momencie. Gubernator — ciągnął dalej — zasłonił się arkuszem papieru, ja zaś widząc przed sobą człowieka, tchórzem podszytego, nie miałem sumienia strzelać i opuściłem rewolwer. Tymczasem „chitric“, widząc, że nie strzelam, pocisnął guzik leżącego na biurku dzwonka elektrycznego. Wpadł woźny, narobił alarmu, rozbrojono mnie i aresztowano. Sprawą zajęli się żandarmi. Od nich dowiedziałem się, że Baranow wstawił się za mną. Zabiegał nawet o to, żeby mnie uniewinniono zupełnie. Nie dało się. Trudno. Ale nie żałuję, iż go wówczas nie zabiłem, bo był to widać „dobry człowiek“.

Władimirow był typowym rewolucjonistą rosyjskim o „czteroklasowym wykształceniu“, niedoukiem, który chciał świat przebudowywać.

W Orsku prowadził życie spokojne, anachoretyczne. Z nikim nie utrzymywał bliższych stosunków, nawet z nami.

— Co pan robi po całych dniach? — zapytaliśmy go kiedyś.

— Piszę metafizykę — odpowiedział z dostojną powagą i wyciągnął z bocznej kieszeni palta gruby, w ceratę oprawny zeszyt, zasmarowany już w połowie drobnym, ołówkowym piśmem. — Co dzień rano — ciągnął dalej — idę w step i tam pod gołym niebem pracuję do obiadu. Dzieło rośnie niespostrzeżenie. Będzie to rzecz zupełnie nowa, nawskróś oryginalna. Ale jeszcze daleko do końca.

To mówiąc, schował zeszyt zazdrośnie na powrót do kieszeni, nie podejrzewając wcale, że do jego „metafizyki“ nie mieliśmy żadnego zaufania.

Był to objaw niewątpliwy oblędu, w jaki często wpadali w Rosji ówczesnej więźniowie polityczni, spędzający lata całe w samotnej celi.

Czy biedny Władimirow skończył kiedy swoją metafizykę? Zapewne pisał ją do końca swojego krótkiego życia, bo wyglądał na zdecydowanego gruzlika. Chyba, że uleczył go cudowny klimat stepów orenburskich.

Do koła naszych znajomych należał także niejaki Sadzewskij, podobnie, jak Bażanow, sąsiad nasz z przeciwka i, również jak on, kupiec zbożowy.

Był on polskiego pochodzenia, ale Polakiem już nie był. Syn żołnierza polskiego z roku 1831-go, zesłanego do bataljonu karnego w Orsku, wiedział o ojcu tylko tyle, że pochodził z tej części Polski „gdzie jest” przewoschodnyja gruszi-kalebasy“. Odgadliśmy, iż to ziemia plocka.

Związany wspomnieniami swojego pacholeństwa z bataljonem orskim, opowiadał nam on, że pamięta służącego tu także Tarasa Szewczenkę, poetę ukraińskiego, nie jednak o nim bliższego, po-zatem, że zapijał swój smutek gorzalką, powiedzieć nam nie umiał. Na żadne inne ślady pobytu w Orsku Szewczenki nie natrafiliśmy. Tułała się tylko jeszcze tradycja, iż był tu taki.

Poza wymienionymi, mieliśmy jeszcze „przyjaciela” rzeczywistego na prowincji, który nawiedzał nas za każdą swoją bytnością w powiecie. Przyjacielem tym był niejaki Petrow, rosjanin z nazwiska, ale katolik i Polak całą duszą, urodzony i wychowany w Królestwie, kolega Bolesława Prusa i gorący jego wielbiciel.

Petrow był przez czas dłuższy nauczycielem gimnazjalnym w Królestwie, tak jednak obrzydził sobie ten zawód a przede wszystkim atmosferę moralną szkoły rosyjskiej w Polsce, że, mając już lat pod 50, podał się do emerytury i wyjechał na Wschód, gdzie otrzymał stanowisko t. zw. „ziemskiego naczelnika”, czyli urzędnika do spraw agrarnych. Na tem stanowisku służył prawdzie i sprawiedliwości, broniąc baszkirów przed wyzyskiem i oszustwami.

Był to człowiek światły i zacny. Posiadał dużą wiedzę, którą mógł zużytkować w pracy naukowej. Interesowała go zwłaszcza archeologia. Ale ponad to wszystko przekładał widocznie samotność, która była dla niego ukojeniem po długoletniej męce pedagoga-Polaka, któremu kazano rusyfikować młodzież polską. Uciekł więc od świata i ludzi i zakopał się w pustce, gdzie oprócz Boga i własnego sumienia nie miał nad sobą żadnej kontroli.

Darzył nas niekłamaną przyjaźnią.

Do dalszego już koła naszych znajomych nale-

żeli oprócz wspomnianych już Jadłowkinych i *attaché* pani Jadłowkinowej, sędziego śledczego Kołyszki, jeszcze niejacy pp. Mrozowscy.

Mrozowski, zrosyjszczony Polak, szlachcic gub. smoleńskiej, co z dumą zaznaczał, był powiatowym „naczelnikiem wojennym”. Miał żonę, Raisę Iwanownę, kobietę wykształconą i dość wykwintną, zmiażdżoną jednak nieszczęściami rodzinnymi. Mrozowscy po przyjeździe do Orska, stracili dwoje dzieci na szkarlatynę. Cios ten zupełnie zachwiał równowagą umysłową nieszczęśliwej matki. Minęły już od tej pory lata, a ona wciąż jedną tylko żyła myślą. Odwiedzała codziennie cmentarz i opłakiwała przedwczesną śmierć swoich córek. Odsunęła się zupełnie od ludzi, nikogo nie chciała widywać, nie bywała nigdzie i u siebie nie przyjmowała. Nas tylko jednych zapragnęła poznać, złożyliśmy więc jej wizytę.

Oboje Mrozowscy, ludzie dość mili, wywarli jednak na nas wrażenie smutne rozbitków życiowych. Co ich zagnało aż na ten kraj świata — trudno wiedzieć. Byli zamożni. Posiadali rodowy majątek w smoleńszczyźnie i łatwo bez pensji pułkownika mogli byli się obejść. Tymczasem przyjechali tutaj po swoje nieszczęście. W tem nieszczęściu, zdala od cywilizacji, zdala od wszelkiej kultury, zdziwaczeli doszczętnie. Byli, zdaje się, małżeństwem przywiązaniem do siebie bardzo i pocieszali się wspólnie... alkoholem.

Rzecz w Rosji tak pospolita! A jednak odrobinę czynniejsze życie mogło być ich uratować, gdy w bezczynności osuwali się w przepaść.

Cała „służba“ Mrozowskiego ograniczała się do krótkich momentów jesiennego poboru. Wówczas nowozaciężni rekruci przechodzili przez jego ręce. Wyprawiał ich na punkt zborny do Orenburga. Ale rekrutów tych była ilość niewielka, bo kozacy mieli swoją organizację wojskową, a w powiecie niewiele było ludności niekozackiej. Poza tem roboty żadnej.

Jedyną jego rozrywką były zimowe polowania na białe zające, których w stepie jest zatrzęsienie. Wyprowadzał wówczas z koszar całą rotę żołnierzy i urządzał z nimi obławy. Padało po kilkaset sztuk zające. Ponieważ zaś mięso ich jest na wschodzie w pogardzie, uważają je bowiem za mięso „kocie“, przeto po obławie zające obdzierało się ze skóry, mięso porzucało się dzikiemu ptactwu na pożarcie a zabierało się, jako trofea myśliwskie, jedynie skóry, które mają chętnych nabywców.

Jako „naczelnik wojenny“ pułkownik Mrozowski odegrał w życiu naszym dość poważną rolę, przeszliśmy bowiem „urzędowo“ przez jego biuro.

Będąc wydalonymi z uniwersytetu, utraciliśmy odroczenia wojskowe, udzielone nam do czasu ukończenia wykształcenia. Przysłano więc tu z naszych okręgów rozkazy poddania nas su-

perrewizji i wcielenia do szeregów armji. Było to już po poborze jesiennym, zwołano więc dla nas specjalnie komisję poborową, przed którą stanęliśmy wszyscy czterej. Przewodniczącym komisji był jen. Dreher. Zasiadali w niej dwaj znajomi nam lekarze, przebywający stale w Orsku: Czernow, kozak, młody 35-cio-letni człowiek, pozostający z nami prawie na stopie koleżeńskej, był lekarzem wojskowym. Oprócz niego, Hurwicz, żyd prawosławny, lekarz szpitala miejskiego, człowiek już starzejący się, trwożliwy i unikający nas z obawy o to, aby nie posądzono go o nieprawomyślność. Oczywiście, z urzędu członkiem komisji był także Mrozowski.

Szliśmy na ten pobór, jak na ścięcie, wcale bowiem nie uśmiechała nam się służba w wojsku. Fatalnie zaciężałaby ona w owej chwili na całą naszą przyszłość. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Aliści los szczęśliwy zaopiekował się widocznie nami. Karoli, Uściński i Śliwiński — wszyscy trzech otrzymali odroczenia na rok „dla poprawy zdrowia“ a ja zostałem zupełnie uwolniony od służby w wojsku na podstawie, iż zadeklarowałem, że jestem chory na serce. Badano, słuchano i opukiwano mnie gruntownie. Naprzód Czernow, potem Hurwicz, który podszedł do mnie ze słowami „ja choroszo znam z porokami serca“ i przyłożył swoje zimne ucho do mojej rozpalonej piersi. Tak byłem przejęty oczekiwaniem na wy-

rok, że serce waliło we mnie, jak młotem. Zdumiony tem Hurwicz, chwycił mnie za puls i liczył, liczył, aż naliczył 140 uderzeń na minutę. Było to, oczywiście, silne podniecenie. On jednak potraktował to poważnie i oświadczył głośno:

— Sto czterdzieści na minutę.

Dreher machnął wówczas ręką i wypowiedział pamiętne do dzisiaj dla mnie słowa:

— *Trata byłaby kaznie.* Skarb państwa straciłby na tem.

Poszeptano jeszcze coś pomiędzy sobą, naradzając się nad tem, czy posłać mnie do szpitala do Orenburga na obserwację, czy uwolnić odrazu. Ta druga opinja przeważyla, również widocznie ze względu na Skarb państwa, który musiałby za moją podróż zapłacić, i dostałem „biały bilet“.

Była to zupełna niespodzianka, z pośród nas czterech bowiem byłem najlepiej zbudowany, najtęższy, miałem najlepszą cerę i wygląd zupełnie zdrowego, wychowanego w dobrobycie i nie obciążonego żadnem złem dziedzictwem, młodzieńca.

Nie umiem sobie dotychczas wytłumaczyć tego szczęśliwego dla mnie obrotu sprawy. Przypuszczam jednak, że wszyscy członkowie komisji kierowali się sympatją i współczuciem dla nas, że poprostu nie mieli sumienia łamać nam kariery życiowej przez dwuletnią służbę w wojsku i szukali tylko motywów do uwolnienia nas, a ponieważ ja sam dostarczyłem im tego motywu, skar-

żąc się na wadę serca, której nie miałem, przeto oparli się na tem całkowicie i potwierdzili moje kłamstwo.

Wracaliśmy do domu zadowoleni.

Po tej emocji nastąpiły znów monotonne szare dni. O amnestji nie było nic słyhać, należało więc przypuszczać, że ogłoszenie jej odroczone do manifestu koronacyjnego.

Tak dotrwaliśmy, wśród ostrej zimy, do Bożego Narodzenia.

Im bliżej było świąt, tem większa ogarniała nas melancholja i tem częściej chwytalo nas za gardło męczące uczucie nostalgji. Najostrejsze jej ataki miewał Oleś Karoli, tak, że nawet zaniepokoiiliśmy się bardzo o niego z tego powodu. Ni stąd ni zowąd znikał nam czasem z domu i błądził samotnie nad Uralem, wśród głębokich śniegów. Wiedzieliśmy, że samotność nie jest lekarstwem na takie stany duszy. Wychodziliśmy więc wszyscy, aby go odszukać. Czasem udawało się nam to łatwiej, czasem było trudniej. Nadto trzeba było postępować bardzo ostrożnie, aby nie zdradzić przed nim ani naszego niepokoju, ani tego, że go śledzimy. Musieliśmy to tak urządzać, aby spotkanie nie było zawsze przypadkowe.

Rozumieliśmy jednak, że, jeżeli żadna zmiana nie zajdzie w naszym położeniu, to niedługo wszyscy zaczniemy tu chodzić, jak odyńce, unikając się wzajemnie, aby nie dotykać bolących dusz.

W takim nastroju zastał nas dzień wigilji Bożego Narodzenia 1894-go roku.

Na kilka dni przed tem otrzymaliśmy już z domów, od rodziców naszych, posyłki. Nie otwieraliśmy ich jednak umyślnie, wiedząc, że przeznaczone są na Święta. Uczyniliśmy to dopiero w dzień Wigilji, każdy u siebie w pokoju, aby w skupieniu obcować z tem, czem nas obdarzali nasi najbliżsi.

Widocznie jednak w Polsce serca wszystkich matek są jednakowe, poza bowiem drobnymi upominkami i „smakołykami“, które mogły wzbogacić i urozmaicić nasz skromny wygnańczy stół wigilijny, każdy z nas otrzymał gałązkę choinki i wiązkę białych, symbolicznych, jakże w owej chwili drogich nam — opłatków!

Przez łyzy porozumieliśmy się z sobą, znosząc te dary na wspólny stół, i zasiedliśmy do wieczerzy.

Dzięki inicjatywie kulinarnej Edzia, była to wieczerza możliwie zbliżona do tego, co zwykle spożywa się w Polsce. Ale jednocześnie bardzo od tego daleka! Tradycji jednak stało się zadość. Pod obrusem była garstka siana, a po wigilji przy zapalanej świeczce i gałązkach choinki śpiewaliśmy „W żłobie leży, któż pobieży“ i cały szereg innych kolend.

Czuliśmy, że jesteśmy przez to w tej chwili złączeni z krajem i z naszymi domami rodzinnymi.

Wraz z temi prostemi, naiwnemi pieśniami spływało nam w dusze jakieś ucieszenie, coś, niby słodczy ukojenia i pojednanie z losem.

Tego wieczora odrodziliśmy się wewnętrznie i nabrali mocy duchowej do wytrwania.

WESELE TATARSKIE · PRZYSIĘGA

I znów rozpoczął się szereg dni tak jednakowych, że w notatnikach naszych nie było ich czem uwidocznić. Nizały się one jeden za drugim na różaniec naszej tęsknoty, urozmaicane tylko zrzadka jakimś wydarzeniem, które wyraźniej zapisywało się w pamięci. Jednym z takich wydarzeń było zaproszenie nas na wesele tatarskie. Żenił się tatar, „prikazczyk“ Bażanowa, człowiek prosty lecz widocznie nam życzliwy, skoro przyszedł prosić, abyśmy „zaszczycili“ swoją obecnością jego ucztę weselną. Czy zapraszał nas w charakterze owych „jenerałów do ozdoby stołu“, jak to było we zwyczaju wśród kupiectwa rosyjskiego, czyli też z pobudek czysto uczuciowych, trudno nam było wiedzieć. Raczej jednak to drugie. Stół bowiem mógł ozdobić choćby „uradnikiem“ miejscowej policji w mundurze i przy szabli.

Tak czy inaczej, zaproszenie przyjęliśmy z radością, że zobaczymy coś nowego.

Oznaczonego wieczoru nowożeńiec przysłał po nas sanie i pojechaliśmy na przedmieście, zwane „Vorstadt'em“ od czasów Katarzyny II-ej. Na tem przedmieściu gnieźdźdźli się przeważnie tata-

rzy w niskich domkach z gliny i chróstu, z płaskimi, czasem zaokrąglonemi w kształt niezgrabnej kopułki dachami.

Weszliśmy do wnętrza jednego z takich domków, przedzielonego sienią na dwie połowy. Gospodarz poprosił nas do izby na prawo, gdzie zebranych było kilkunastu mężczyzn, przyjaciół pana młodego. Był także i Bażanow, jego chlebowdawca.

Kobiety znajdowały się osobno, w izbie na lewo, zwyczaj bowiem nie pozwala na wspólne zebrania obu płci. Przepisy religji mahometańskiej są dla kobiet surowe i pilnie baczą na to, aby pożądlive czyjeś oko nie spoczęło na wdziękach (osłoniętych zresztą) kobiety, należącej już do jednego mężczyzny.

Na powitanie nasze wszyscy, siedzący półkolem w kucki mężczyźni powstali. Ściskaliśmy ich za ręce i wymieniali swoje nazwiska, z których im nic nie przyszło. Po tej ceremonji zaproszono nas, abyśmy usiedli z podkulonemi nogami na rozestłanym na podłodze, dość nawet puszystym, choć w barwach skromnym, dywanie bucharskim.

Kiedyśmy to uczynili, podano nam w szklankach kumys, który wychyliliśmy duszkiem za pomyślność młodej pary. Po chwili zaczęto wnosić z kuchni potrawy. Było ich co niemiara, w małych ilościach, ale przyrządzonych jakby według chińskiego *menu*. Liczba podawanych potraw zastępo-

wała tu ich jakość. Były jednak wśród nich i wcale smakowite, jak *pilaw* barani z ryżem i na końcu podana jakaś wysoka na dobre pół metra piramida, ułożona z okrągłych małych kulek z mąki pszennej, zlepionych pomiędzy sobą miodem. Kosztowaliśmy wszystkiego, posługując się palcami, narzędzi bowiem stołowych nie było wcale. Gęsto przytem popijaliśmy kumys, który gospodarz ustawicznie dolewał nam do szklanek. Poczuliśmy wreszcie, że nam, nieprzyzwyczajonym, ten napój niewinny zaczyna uderzać do głowy.

Podobnie ucztowały kobiety w sąsiedniej izbie, od czasu do czasu strzelając ku nam przez otwarte drzwi wcale zalotnymi spojrzeniami.

Wieczera odbyła się w ciszy i skupieniu, z jakąś powagą i dostojnością. Rozmawiano mało.

Dopiero po skończonej uczcie rozwiązały się języki, że jednak tatarzy mówili pomiędzy sobą po tatarsku, więc nic nie rozumieliśmy. Co chwila tylko ktoś zwracał się do nas ze szklanką kumysu i mówił: „*moja liubit twoja*“, poczem duszkiem wychylał zawartość szklanki.

W końcu przysiadł się do nas jakiś stary tatar, jak się okazało, teść naszego gospodarza i łamanym językiem rosyjskim zaczął nas wypytывать o Lechistan. Wiedział, że prowadziliśmy kiedyś uparte wojny z nimi i z turkami, wiedział także, że zakończyliśmy te wojny wieczną przyjaźnią (traktatu karłowickiego nie umiał nazwać, ale

miał świadomość, że coś podobnego zaszło w naszej historii).

Z kolei my zaczęliśmy go wypytывать o tatarów, ubolewać nad ich losem i wyrażać swoją dla nich sympatię.

Staremu rozbłysły oczy radością. Może poraz pierwszy w życiu on, pogardzany tatar, słyszał od ludzi, należących do innego narodu i do innej sfery, słowa życzliwe i przyjazne. Zaczął nam ścisnąć ręce, poczem poszeptał coś z towarzyszami i uśmiechnął się w naszą stronę.

Za chwilę podano mu jakiś instrument muzyczny, mocno brzęczący, coś w rodzaju drumli ukraińskiej.

Uciszyło się w obu izbach. Tatar zaczął brzdąkać jakąś przygrywkę, poczem monotonnym, żalonym głosem zaśpiewał pieśń. Nie rozumieliśmy treści, ale że słuchano tej pieśni w wielkim skupieniu, domyśliliśmy się, że ma ona jakieś głębsze znaczenie dla zgromadzonych.

Kiedy skończył, objaśniono nam, że była to pieśń o zdobyciu Kazania, rapsod historyczny, opowiadający o barbarzyńskim napadzie Iwana Groźnego na miasto, o rzezi, której dokonano wśród jego mieszkańców, o pożarach, które wznieciło wojsko rosyjskie i o grabieżach, których się dopuściło.

Pod wpływem tej pieśni podniosło się w górę

kilka zaciśniętych pięści i odezwał się zły pomruk:
*Urus! Urus!*¹

Ta chwila dała nam poznać, że jednak wśród tatarów żyje patryjotyzm, że go przechowuje i podsyca tradycja narodowa, przechodząca z pokolenia na pokolenie. Spostrzegliśmy także, że wśród tych ludzi, mimo pozorów zupełnej uległości, żyje nienawiść do zaborców i ciemieżców w postaci pamięci o doznanej krzywdzie, kto wie, może także i w postaci dalekiego wspomnienia o tem, że kiedyś oni byli górami, że w księstwie moskiewskim i w innych księstwach ruskich rządili baskakowie tatarscy a kniaziowie musieli bić pokłony przed chanem Kipczackim i wozic do hordy daniny i okupy.

Godzina była dość późna, więc pożegnaliśmy naszych nowych przyjaciół tatarskich i odjechaliśmy do domu po skrzypiącym śniegu, wśród roziskrzonej gwiazdami nocy.

W tym czasie zaprzyjaźniliśmy się też z Kirgizem, który miał zimówkę w ziemi Turgajskiej, po drugiej stronie rzeki Or', wpadającej pod Orskiem do Uralu. Przyjeżdżał on często konno do miasta za sprawunkami, po tytuń, herbatę i cukier. Zdarzyło się jakoś, że spotkaliśmy się z nim na bazarze, przy kramie Bażanowa. Podczas gawędy

¹ *Urus* znaczy po tatarsku *rosjanin*.

prosiliśmy, aby kiedy zajrzał do nas. Nie kazał długo na siebie czekać. Pierwszej zaraz niedzieli, od zawarcia z nami znajomości, zajechał przed nasz dom, konia przywiązał do słupa u ganku i zapukał do nas. Przyjęliśmy go radzi. Wnet samowar znalazł się na stole i gawędziliśmy, popijając herbatę. Nagle nasz Kirgiz dostaje przeraźliwej czkawki. Złękliśmy się, czy nie zachorował. Pytamy więc, co mu dolega, a on dalej, skądś aż z głębi samego żołądka wydobywa głębokie odbijanie. Dowiedzieliśmy się dopiero po tem, że zwyczajem kirgizkim w ten sposób wyraża się swoje zadowolenie z poczęstunku i że nie okazać tego gospodarzowi w ten sposób, jest rzeczą wprost niedopuszczalną — ciężki to grzech przeciw dobremu wychowaniu.

Kirgiz, odjeżdżając, zaprosił nas do siebie. Obiecaliśmy odwiedzić go wiosną, zobaczyć jego tabun i kierdel jego baranów. Na razie zaś prosiliśmy go, aby nas odwiedzał za każdą swoją bytnością w mieście. Czynił to chętnie, trudno tylko było z nim rozmawiać. Rozumiał po rosyjsku prawie wszystko, ale sam wypowiedzieć się w tym języku nie umiał. Musiał dopomagać sobie gestami, których jednak znaczenie odgadywaliśmy niezawsze trafnie.

Zima tymczasem wciąż trwała, surowa i ostra, na ogół jednak nie dotkliwa, bo bez wiatrów. Zdarzały się przecież dni wietrzne i wówczas nie mo-

zna było nosa z domu wychylić. Wiatr taki przy mrozie sprawia dziwne wrażenie: jakby kto rozpalone szpilki wbijał pod skórę. Kilka razy nawiedziły także Orsk burany, t. j. burze powietrzne, podrywające z ziemi masy śniegu i wprawiające je w piekielny taniec. Z człowiekiem, którego taki buran zaskoczy na ulicy, dzieje się coś dziwnego — w jednej chwili traci świadomość, gdzie się znajduje i w jakim ma iść kierunku. Sprawdziliśmy to sami na sobie. Byliśmy u Bażanowa naprzeciwno i wyszliśmy stamtąd podczas buranu, aby przejść tylko przez ulicę do domu. Tak jednak nami zakręciło, że to przejście trwało dobrych ro minut, zanim trafiliśmy do naszego obejścia i domacali się z zupełnie oślepleni oczami drzwi. Zrozumieliśmy wówczas, co znaczyło wyrażenie Puszkina: „Wjuga mnie slipajet oczi, wsiu dorogu zaniesło“. Istotnie, o odnalezieniu jakiegokolwiek drogi w takich warunkach mowy być nie może. Biada podróżnym!

Na szczęście nie podróżowaliśmy, a jedyna nasza podróż, jakiej dokonaliśmy po nowym roku, odbyła się przy jasnej, słonecznej pogodzie, w postaci przeprowadzki na inne mieszkanie.

Mieszkanie, które zajęliśmy po Jadłownikich, było lepsze a w tej samej cenie. Przenieśliśmy się więc chętnie z całym taborem, to znaczy z rzeczami, Awdotją, jej mężem i pięciorgiem ich dzieci. Było nam trochę obszerniej i wygodniej.

Nadto ulica była weselsza, bo znacznie ruchliwsza. Bażanowowi wypadało to po drodze na bazar i z powrotem, więc w dalszym ciągu odwiedzał nas dwa razy dziennie. I tak życie nasze po przenosinach popłynęło dawnym, niezmiennym trybem.

Było to jakoś pod koniec lutego albo w początkach marca, kiedy z Orenburga przyszło od gubernatora polecenie do sprawnika, aby wezwał nas do przysięgi „na wierność“ nowemu Cesarzowi.

Kiedy sprawnik zakomunikował nam to, odpowiedzieliśmy: „dobrze, ale jesteśmy katolikami i prosimy, aby ksiądz katolicki odebrał od nas przysięgę“.

— To znaczy, że panowie chcą, żebym albo ich wysłał stąd do Orenburga, albo sprowadził dla nich z Orenburga księdza? To niemożliwe!

— Niczego nie chcemy. Prosimy tylko, żebyśmy mogli przysięgać przed duchownym naszego wyznania.

Sprawnik stropił się tą odpowiedzią, wyczuwając pewien zdecydowany opór z naszej strony.

— *Uż wy mnie etawo nie dielajtie! Ja was proszu!* Nie róbcie mi tego, panowie! Proszę was o to — mówił tonem bardzo łagodnym i zaczął nam przekładać, ile to z tego wyniknie kłopotu, gdy chodzi tu tylko o rzecz błahą, o formę. W głosie jego brzmiała prośba. Był rzeczywiście zafrasowany naszym żądaniem, do którego zastosować

się znaczyło odwlec całą sprawę na dwa przynajmniej miesiące a gubernator naglił, bo rozkaz pociągnięcia do przysięgi wszystkich opryszków, złodziei i przestępców politycznych w oznaczonym dniu, pochodził od ministra spraw wewnętrznych.

Obecny przy tem Konstanty, syn Walentyna, Jerłykow, nasz pocziwy przyjaciel, poparł sprawnika ze swojej strony.

— Nie będziemy panów zmuszali do niczego, ani do całowania krzyża ani do całowania Ewangelji. Powtórzcie rotę przysięgi i po wszystkim. Pop czy ksiądz to przecież wobec Pana Boga jedno i to samo.

Usiłowaliśmy jeszcze oponować, że to wcale nie jedno i to samo.

Tu sprawnik wtrącił, że chociaż sam mahometanin, jednak uważa, iż pocałowanie Ewangelji jest w tym przypadku rzeczą konieczną.

— *Tak wy chotia poniuchajcie Jevangelje.* W takim razie powąchajcie panowie chociaż Ewangelję— dodał z humorem Jerłykow.

Rozśmieszyło nas to. Widząc, że sprawnikowi bardzo zależy na tem, aby sprawę szybko załatwić i że nas, rezygnując ze swojej władzy nad nami, prosi o ustępstwo, ulegliśmy, biorąc pod uwagę, że był to człowiek dobry i szczerze nam życzliwy.

Postawiliśmy jednak za warunek, że nie pop będzie nam czytał rotę przysięgi, lecz Jerłykow.

Zgodzono się na to. Sprawnik był zadowolony

z takiego obrotu rzeczy i, o dziwo, dziękował nam nawet za uczynione sobie ustępstwo i grzeczność. Tymczasem ani do jednego ani do drugiej wcaleśmy się nie poczuwali.

Wiedzieliśmy dobrze, że przysięgi odmówić nie mogliśmy, bo byłby to kryminał. Pociągnięto nas za to do odpowiedzialności i, zamiast spodziewanej amnestji, mielibyśmy z pewnością karę podwojoną. Zdecydowani zaś na zastosowanie się do tej „formalności“, byliśmy radzi, że przysięga, złożona na ręce policji w obecności popa będzie w naszych sumieniach nieważna.

Istotnie odbyło się to wszystko w dniu oznaczonym w sposób niemal humorystyczny.

Rano, już przed 9-ą, przygalopował po nas na koniu Mitrofan i pod jego eskortą udaliśmy się do policji. Tam zastaliśmy już Matowa i Władimirowa. W chwilę potem drugimi drzwiami wprowadzono do sali opryszków, odsiadujących karę w miejscowym więzieniu. Wśród nich zwrócił naszą uwagę człowiek stosunkowo jeszcze młody, w łachmanach, przypominających jednak ubiór inteligenta.

— Co to za jeden? — zapytaliśmy Jerłykova, który wszedł był właśnie na salę w galowym mundurze i przyjaźnie witał się z nami.

— Bardzo interesujący typ „brodiagi“ (włóczęgi). Przewędrował już całą niemal Rosję. Przysłano nam go tu z Petersburga, badany tam bowiem ze-

znał, że pochodzi z Orska, że jest stałym mieszkańcem tutejszej gminy, że posiada tu krewnych. Zamiast zapytać nas, czy to prawda, przysłano nam go tutaj etapami. Ze swojej strony, trzymając się tej samej metody, odeślemy go niebawem do Orszy w mohylowskiej gubernji, twierdzi bowiem, że mówił on o Orszy a nie o Orsku, że protokulant musiał go źle zrozumieć lub niedosłyszeć i stąd powstało nieporozumienie. Ale i to nieprawda. Z Orszy odeślą go znów do jakiegoś innego miasta i tak będzie wędrował bez końca, jak Ruś szeroka i długa, z etapu na etap, z dłuższymi wypoczynkami po więzieniach. Taki już obrał sobie zawód. Jest to specjalna rosyjska psychoza, wobec której prawo i policja są bezsilne. I pomyślcie panowie, że takich ludzi, wędrujących po Rosji — co prawda w niezbyt wygodnych warunkach, bądź co bądź jednak na koszt rządu — mamy tysiące. Pełno ich zwłaszcza na traktach sybirskich. Część ich, ale niewielka, rekrutuje się ze zbiegłych katorżników i osiedleńców. Reszta — to „brodiagi“ — zawodowcy, których jakaś siła fatalna pędzi w świat.

Na dalszą rozmowę nie było czasu. Wszedł sprawnik z popem i rozpoczęła się ceremonia. My poszliśmy na pierwszy ogień. Jerłykow, łypiąc z humorem oczami z poza papieru, który trzymał w ręku, czytał powoli rotę przysięgi, której wyrazy powtarzaliśmy bez żadnego przekonania za nim, podniósłszy dwa palce do góry, jak tego przepis wy-

magał. Kiedy to się już skończyło, sprawnik wskazał nam leżącą na stoliku wśród dwóch płonących świec Ewangelię. Zgodnie z umową pochyliliśmy się nad tą księgą, nie dotykając jej ustami i było po wszystkim.

Od Matowa, Władimirowa, tudzież od opryszków i od brodiagi przysięgę odbierał już pop. Wszyscy oni całowali nie tylko Ewangelię ale i złoty krzyż, który im protojerej podawał z namaszczeniem. Na powierzchni jego spotkały się wargi, które w inny sposób nigdy w życiu nie zbliżyłyby się do siebie. Byliśmy więc radzi, że nas to ominęło.

Po przysiędze, kiedy już opryszków, złodziei i brodiagę wyprowadzono, rozpoczęliśmy na nowo przerwana rozmowę.

— Rzecz ciekawa, — mówił Jerłykow — że ludność Rosji a zwłaszcza ludność Syberji otacza włośców jednej i drugiej kategorii sympatją. Wypływa to z jej chrześcijańskiego stosunku do wszelkiego nieszczęścia ludzkiego. Zbrodniarza lud nazywa „nieszczęsnym“, nawet pieszczotliwie „nieszczęstnieńkim“. Współczucia dla tych — w naszym rozumieniu — wyrzutków społeczeństwa jest tak dużo, że po wsiach i miasteczkach, leżących w pobliżu głównych traktów lub bezpośrednio przy nich, na skrajach tych osiedli ludzkich znajduje się zwykle szałas, do którego miłosierne baby znoszą wieczorami resztki jadła. *Awoś* — rozumują — będzie tędy przechodził w nocy „nieszczęstnieńkij“ —

niech ma nocleg i łyżkę strawy. I zdarza się nieraz, że tak bywa istotnie. Nazajutrz postawiony garnek z jedzeniem jest próżny. Ktoś więc odwiedził szafas i popasał w nim. Może go nawet i widziano we wsi, ale solidarność ludu prostego z brodiagami jest taka, że nikt ich pobytu nie zdradzi przed policją, nikt nam w ściganiu tych mętów nie pomoże, przeciwnie, wprowadzą nas jeszcze w błąd, zmylą ślady, żeby tylko dać „brodiadze“ ujść bezpiecznie. Zastanawiałem się nieraz nad motywami tej solidarności i myślę, że trzeba ich szukać bardzo głęboko, na samym dnie duszy rosyjskiej. Ta skłonność do włóczęgi jest we wszystkich nas. Może to są dalekie echa koczowniczego życia naszych przaprzodków. Nie wiem. Wiem jednak, że pół Rosji poszłoby chętnie na włóczęgę, gdyby miało gwarancję, że policja ich nie przychwyci. Ale i tak pielgrzymują przecież stąd ludzie do Ławry Peczerskiej w Kijowie i do Monasteru Solowieckiego, nie licząc się wcale z przestrzenią i czasem. A iluż włóczy się po Rosji „jurodiwych“, wobec których jesteśmy bezsilni, jak wobec nieszkodliwego obłądu, który podsycą także duchowieństwo podejmowanymi przez siebie wędrówkami „dla dochodu“. Ot, zobaczycie panowie w lecie i tutaj „Kazanskuju Bożju. matier“ i błogosławienie cudownym obrazem wszystkich domów, które, naturalnie, płacą za to haracz. Rzecz prosta, jest to fałszywa Matka Boska Kazańska, jej kopia, ory-

ginału bowiem poza obręb cerkwi, w której się znajduje, wynosić nie można.

Jerłykow tak się rozgawędził na ten temat, że odprowadził nas do domu i z dobrą jeszcze godzinę wykladał nam o dziwolągach życia rosyjskiego. Sąd jego był trzeźwy i oparty na liberalnych poglądach — ale mógł tak „otkrowienniczat“ (wynętrzać się) chyba tylko przed nami.

K U P R Z E Ł O M O W I

Karnawał dobiegał końca. Nie miał on nic wspólnego z karnawalem „studenckim“, jaki miewaliśmy zwykle w Warszawie, obtańcowując panny na niezliczonych wieczorkach prywatnych i popisując się wreszcie mazurem na dorocznym balu studenckim w Sali ratuszowej, gdzie gromadziło się najlepsze towarzystwo, aby dopomóc Bratniej pomocy w jej szeroko zakrojonej akcji zapomogowej „na wpisy“.

W Orsku mieliśmy raczej przez całą zimę wielki post. Zresztą, nietylko my, ale nikt się w tem małym miasteczku nie bawił. Ani muzyki ani tańców tam nie znano. Jedynym wyrazem tego, że znajdujemy się w najweselszym okresie roku, były zapusty, t. zw. *maślanica*, obchodzone jednak raczej szlichtadą po ulicach miasta, niż zabawami i przyjęciami w domach. Kto miał konia, choćby jednego, ten zaprzęgał go do sań i jeździł po mieście do upadłego. Takich sań tworzyły się całe korowody i na tem polegała zabawa. Urozmaicało ją chyba to, że, mijając inne sanie, ktoś komuś rzucał ostrzeżenie: „nos“ albo „uszy“. Ostrzeżony schylał się wówczas ku ziemi, bo sanie były bardzo niskie, chwycił ręką grudkę śniegu i nacierał sobie nos albo uszy, zapobiegając w ten sposób odmrożeniu.

Jedyną, w „większym stylu“ rozrywką naszą w tym sezonie było przyjęcie, urządzone przez Bażanowa. Sprosił on do siebie ze trzydzieści osób z pośród miejscowej elity kupieckiej, tak, że w małym jego domu nie pomieściłoby się tak liczne towarzystwo, gdyby nie miejscowy zwyczaj oddzielnego gromadzenia się dla zabawy kobiet, a oddzielnego mężczyzn. Pomimo, że Bażanow uważał się już za Europejczyka, przestrzegał jednak pilnie tego, co mu Wschód w tradycji przekazał, i wspólne obcowanie obu płci pod swoim gościnnym dachem uważał za „shocking“.

W rezultacie więc było to nudne zebranie, którego cel właściwy polegał na wypróżnieniu całej baterji butelek i zjedzeniu obfitej zastawy stołów.

Stołów takich było dwa. Jeden w pokoju męskim, drugi — w damskim. Każdy z nich wyglądał, jak u nas stół wielkanocny. Piętrzyły się na nim najrozmaitsze przekąski i zimne mięsiwa, przyrządzone w sposób dość prostacki, ale, bądź co bądź, o wiele wykwintniej i smakowiciej od naszego powszedniego jadła.

Gospodarz, dbały o to, aby goście nasycili się, podchodził ustawicznie od jednej grupy rozmawiających do drugiej, zapraszając uprzejmie:

— *Nie ugodnoli wam wypit', zakusiť! Pożatujsta, sostaw'tie kompanju.*

Goście szli za tą radą, w czterech lub pięciu zbli-

zali się do stołu, przepijali do siebie i podjadali obficie.

Kiedy już jedna partja zaspokoila swoje pragnienie i głód, zastępowała ją druga, potem trzecia, aż wreszcie znów przychodziła kolej na pierwszą — i tak do końca, to znaczy do chwili, kiedy pokazało się dno w ostatniej butelce.

To samo odbywało się w pokoju damskim. Ani tu ani tam osuszenie tyłu butelek nie wywołało jednak wcale dobrego humoru. Odbywało się to wszystko „na ponuro“, chociaż język dobrze się już plątał niejednemu.

Ponieważ my z Braunem należeliśmy w tem grodzie do wstrzemięźliwych, przeto nudziliśmy się setnie, nie wypadało nam jednak opuścić towarzystwa przed zakończeniem „zabawy“. Dotrwaliśmy więc do końca.

Po takim zakończeniu karnawału nie mieliśmy oczywiście nic przeciw temu, że nadszedł prawdziwy wielki post.

W stosunku do utrapień, jakim poddawała się z tego tytułu miejscowa ludność prawosławna, umartwiając się w sposób prawdziwie niemiłosierny, bo jedząc wszystko na oleju z wyłączeniem zupełnem nie tylko potraw mięsnych lecz i nabiału, a więc mleka, masła i jaj, nasza kuchnia domowa była wprost rozpustna. Z powodu zupełnego braku jarzyn i ryb — chociaż mieszkaliśmy nad rzeką — musieliśmy odżywiać się w dalszym ciągu mięsem.

O ile jednak tego mięsa wystarczało na codzień, o tyle gorzej było z przygotowaniem sobie święconego na Wielkanoc. O szynce nie było mowy, bo byliśmy daleko poza linią graniczną wieprzowiny, wśród ludności przeważnie mahometańskiej, która świń nie hoduje, bo mięso ich, zgodnie z Koranem, uważa się za nieczyste. Jedyną znaną w Orsku wędliną była kielbasa tatarska z końskiego mięsa, ale tej nie mogliśmy jadać, prawdopodobnie przez sympatję dla koni. Rosjanie, którzy się do niej przyzwyczaili, twierdzili, że to nawet rzecz wcale smaczkowita. Nam jednak brakło odwagi do stwierdzenia tego osobiście.

Gdy więc nadeszła Wielkanoc, nasz stół przedstawiał się niesłychanie ubogo. Poza jajkami, ugotowanymi na twardo i ukolorowanymi przez Awdotję, nie było na nim nic. Wprawdzie otrzymaliśmy w wielkim tygodniu przesyłki z domu, ale zawarte w nich babki i mazurki doszły do nas w stanie żalnym. Były to raczej same okruszyny i nie mogły odgrywać już żadnej innej roli ponad rolę symbolów tego, co miały przedstawiać. Nie mniej, zanim oddaliśmy to na strawę gołębiom, gnieźdzącym się pod dachem cerkiewnym na wzór św. Marka w Wenecji, cieszyliśmy się widokiem tych słodkich resztek, jako dowodem daleko słodszej dla nas pamięci naszych matek.

Wielkanoc obchodziliśmy jeszcze wśród pełnej zimy. W Polsce ma ona już charakter święta

wiosennego, święta pierwszych przeblysków zieleni, choćby w postaci rzerzuchy na stołach lub pasa św. Piotra, którym opinają obrusy. W najgorszym razie i jedną i drugą zastępują zielone gałązki bukszpanu, zdobiące „święcone“ albo cieplarniane hiacenty.

W Orsku nie mieliśmy jeszcze nic zielonego. W domu było szaro a za oknami biało, jak w styczniu. Nie wyczuwaliśmy zupełnie, że to już była pierwsza niedziela po pierwszej pełni, przypadającej po wiosennem porównaniu dnia z nocą.

Dni były wprawdzie dłuższe i jaśniejsze, słońce w południowych godzinach przygrzewało nawet dobrze, podobnie, jak u nas w Zakopanem, mróz jednak jeszcze nie folgował.

Jak zwykle zdarza się to Polakom na obczyźnie, uczuliśmy w tych dniach świątecznych nagły przypływ tęsknoty do dusz. Nastąpił znów silniejszy, niż zwykle, atak nostalgji. Mieliśmy już dość Orska, wygnania, samotności i wogóle wszystkiego, co nas tutaj dręczyło.

Na domiar złego szarpało nam nerwy nieustanne, rozpoczęte od północy w wielką sobotę, dzwonienie dzwonów cerkiewnych. Ta siekanina drobnych uderzeń, od czasu do czasu wzmacniana silnym dźwiękiem wielkiego dzwonu, nie dawała nam ani na chwilę spokoju. Nie można było przed nią uciec, nie można się było nigdzie przed nią schronić. Ściagała nas wszędzie — w dzień i w nocy.

Wśród ludności prawosławnej na całej przestrzeni

Rosji panuje zwyczaj, że w święta wielkanocne każdy prawosławny uważa za swój obowiązek szarpnąć chociaż kilka razy za sznur dzwonu cerkiewnego i w ten sposób dać znać Panu Bogu o swoim istnieniu. Zwyczaj ten jest już nietylko religijnym, ale narodowym zwyczajem, dzwonili bowiem nietylko „bywalczy cerkiewni“ z pośród kupiectwa, lecz dzwonił także Matow i dzwonił Władimirów, którzy bardzo daleko byli od religji i nigdy na nabożeństwach nie bywali.

Trwało to dzwonienie 48 godzin, poczem wszystko ucichło i życie wróciło do dawnego trybu. Doznaliśmy wielkiej z tego powodu ulgi. Przynajmniej można było spokojnie czytać a raczej zaczytywać się, bo pochłaniałmy książki, jak prawdziwi ich pożeracze. Dwa razy tylko w życiu miałem takie okresy pożerania drukowanego słowa. Naprzód, jako chłopiec, pomiędzy 12-ym a 14-ym rokiem, kiedy połknąłem wprost nieprawdopodobną ilość książek, po raz drugi — w Orsku. Gdyby nie książki, gdyby nie przenoszenie się za ich pośrednictwem do innych krajów i innych środowisk, gdyby nie obcowanie z bohaterami romansów i powieści i przeżywanie wraz z nimi ich doli i niedoli, zabiłaby nas była z pewnością melancholja naszej rzeczywistości. Książki tymczasem odrywały nas od tej rzeczywistości, dając w jej zamian rzeczywistość urojoną. Nic więc dziwnego, że czytaliśmy po 12 i 14 godzin dziennie, narkotyzując się tą lekturą.

Tak biegł nam czas.

Jedynym urozmaicheniem tego okresu był pies, którego zyskaliśmy, jako towarzysza.

Oszczeniła się w sąsiedztwie, u tataru, suka. Wyprosiłem sobie jedno szczenię i przyniosłem do domu. Ucieszyli się wszyscy. Nadaliśmy temu szczenięciu miano „Baszkira“, był to bowiem istotnie pies baszkirski, kudłaty, jasnobronzowej maści, z rasy, używanej do pilnowania baranów, czujnej i mądrej.

„Baszkir“ rósł, jak na drożdżach. Można nawet powiedzieć, że rósł w oczach, bo po każdym jedzeniu, skoro tylko wychleptał swoją miseczkę mleka, pęczał tak, że podwajał się w swej objętości.

Byłem wychowany wśród psów, od dzieciństwa miałem zawsze dobrą z nimi komitywę, więc stosunek mój z nowym przybyszem, chociaż stanowił on wspólną naszą własność, był najbliższy. W miarę podrastania zaczął to także miarkować „Baszkir“, uznając mnie najwidoczniej za swojego pana. Sypiał przy moim łóżku na dywanie, a nad ranem, kiedy mu dokuczył chłód, nie na czyje inne tylko na moje wskakiwał łóżko i z właściwym psom sybarytyzmem wgrzebywał się pod moją kołdrę.

Pozwalałem mu na to, bo sprawiało mi to nawet pewną przyjemność, przypominając dom, gdzie nieraz budziłem się rano w towarzystwie rozkochaney we mnie wyżlicy, która wabiła się „Lira“ i czuła do mnie jakiś niewysłowny pociąg, mimo

że nic jeszcze wspólnego wówczas z lirą poetycką nie miałem. „Baszkir“ rozwijał się szybko. Był psem inteligentnym i pojętnym. Zaczął też niebawem otrzymywać „europejskie wykształcenie“, to znaczy, nauczył się leżeć na zawołanie, aportować, nawet chodzić za nogą. Gdy tylko podrósł braliśmy go z sobą na przechadzki, gdzie bawił się doskonale. W domu natomiast bawił nas swojemi przysłowiami „psiemi figlami“, co nieraz wprawiało nas w dobry humor. Byliśmy mu za to wdzięczni i polubiliśmy go bardzo. A i on nie skąpił nam objawów i dowodów swojej sympatji. Rychło też psi instynkt kazał mu pełnić rolę naszego obrońcy. Gdy zbliżał się ktoś obcy do naszego domu, ostrzegał nas o tem głośnem szczekaniem, a postanowienie pilnowania nas przed niebezpieczeństwem miał tak silne, że nawet leżąc w słodkim, półsennej odrętwieniu, zawsze miał jedno ucho czujnie nastawione ku drzwiom wejściowym. Co nam jednak najbardziej imponowało, to to, że pies ten był zupełnie „spolonizowany“. Rozumiał tylko po polsku. Na wezwania rosyjskie nie reagował wcale. Śmiali się z tego nasi znajomi, Matow twierdził, że nawet tutaj wnieśliśmy swoją „ciasną, nacjonalistyczną politykę“, a mnie sprawiało to przyjemność. „Baszkirowi“ zaś byliśmy naprawdę wdzięczni, że nam chociaż trochę urozmaicił monotonne i smutne życie.

W I O S N A

Kwiecień dobiegał już do połowy a zima wciąż jeszcze trwała. Coraz łagodniejsza wprawdzie, ale zima.

— Kiedyż nareszcie się to skończy? — mówiliśmy do siebie, z tęsknotą wybiegając myślą ku naszemu, zielonemu już o tej porze, polom.

Aż wreszcie 28-go kwietnia (według nowego stylu) przyszła nagła odwilż. Powiał ciepły wiatr i w ciągu jednej doby temperatura tak się podniosła, że ogromne masy śniegu zaczęły topnieć z godziny na godzinę, jakby ktoś rozpałił pod nimi olbrzymie ognisko. Tymczasem żar szedł z góry. Słońce zaczynało tak prażyć, że od razu przyszły dni nie już ciepłe lecz gorące.

Ulicami szorowały potoki wody, spływając ku Uralowi, którego pokrywa lodowa pękła. Rzeka momentalnie wezbrała i wystąpiła z brzegów, rozlewając się szeroko i majestatycznie. Z krą załatwiła się szybko i teraz niosła już na swoim grzbiecie drzewo, spławiane z górskich lasów. Wylawiano je bosakami i gromadzono na brzegu. Czego nie schwytano, to płynęło dalej, ku niżej położonym stanicom kozackim i ku Orenburgowi. Wszędzie czatowali na budulec kupcy. Jak załatwiano po-

tem rachunki z tymi, którzy to drzewo spławiali — tego nie mogliśmy się dowiedzieć. Można było tylko stwierdzić, że transport był za darmo.

Proces przewalania się przez łożysko Uralu tej ogromnej masy wód trwał około dwóch tygodni. Wreszcie woda poczęła opadać. Jednocześnie step podsycał niemal w oczach. Kiedy już wysechł zupełnie, na horyzoncie zaczęły się pojawiać wieczorami krwawe łuny. To palono zeszłoroczne trawy. Po takim pożarze błyskawicznie zjawiała się na użyźnionych przez popiół obszarach nowa roślinność.

W połowie maja a więc w niespełna trzy tygodnie od chwili nagłego wybuchu wiosny, step wyglądał, jak jeden wzorzysty dywan. Kwitła na nim masa dzikich tulipanów o barwach czerwonej, różowej i złotej. Wystarczyło schylić się, aby nazbierać pełną naręcz tych pięknych, chociaż pozbawionych zapachu kwiatów. Czyniliśmy to na każdej przechadzce i wewnątrz naszego domu wyglądało wówczas, jak żardinjera. Oprócz tego, co przynosiliśmy sami, nieraz przez otwarte okno wpadał do tego lub innego pokoju pęk rozkwitniętych tulipanów. To przechodzące dziewczęta wrzucały je na znak sympatii dla nas.

Krótko jednak trwał okres kwiatów na stepie. Okwitły, a na ich miejsce poczęła rosnąć, jak na drożdżach, bujna trawa, zwana k o w y l e m. Zналиśmy jej nazwę ze „Słowa o pułku Ihora“, poraz

pierwszy jednak widzieliśmy ją w jej krasie rzeczywistej. Trawa ta w okresie dojrzewania „wypierza się“, to znaczy wypuszcza pędy, przypominające pióra, zwane „rajerami“.

Oprócz kowylu rośnie w stepie całe mnóstwo innych traw. W miarę rozrastania się, tworzą one splecione gęszcze, przez które trudno się przedostać. Trawy te są tak wysokie, że jeździec łatwo się w nich ukryć może wraz z koniem. Cóż dopiero człowiek, idący pieszo.

Podczas naszych przechadzek zapadaliśmy nieraz w te trawy, moszcząc sobie wśród nich legowiska, które były, jak cieniste altany. Dawaly nam one jednocześnie miękkie poślanie i schron przed słońcem. Cóż było miłszego, jak leżąc w takim schronisku z książką, słuchać brzęku owadów i spoglądać od czasu do czasu w jasny, bezchmurny błękit nieba.

Niedługo jednak trwały te rozkosze. Już w pierwszych dniach czerwca upały były takie, że bujna i soczysta zieleń stepowa poczęła żółknąć. Wysokopienne trawy załamywały się w połowie i smętnie pochylały ku ziemi. Kto chciał i kto mógł, kosił wówczas do upadłego, to bowiem czego nie zdołano skosić, przepadało. W ciągu dwóch, trzech tygodni słońce dokonać tu miało dzieła zniszczenia — spalić wszystko i z zielonego stepu uczynić step martwy, pustynię, po której już tylko wielbłąd może spokojnie wędrować.

Wiedząc o tem, że stanie się to niebawem, postanowiliśmy skorzystać jeszcze z „zielonego“ sezonu i odwiedzić naszego przyjaciela — Kirgiza.

Do zamierzonej przez nas wycieczki przyłączył się Matow. Wynajęliśmy tarantas w jednego tylko zaprzężony konia, usadowiliśmy się tam w pięciu i — pojechaliśmy. Powoził Matow. Nie mogliśmy mu tego odmówić, tak się do tego rwał.

Tuż za miastem przebyliśmy wbród rzekę Or' i byliśmy poza granicami gub. orenburskiej, w ziemi, zwanej Turgajską.

Na lewo mieliśmy obwiedzione murem zabudowania rządowej hodowli koni („konnyj zawod“), prowadzonej tu wzorowo, na prawo — bezdroże. Wiedzieliśmy, że trzeba wziąć się na prawo i tak pojechaliśmy, prowadził nas jednak raczej instynkt, niż świadomość dobrze obranej drogi, której właściwie nie było przed nami żadnej. Ani śladu kolein, ani śladu kopyt końskich. Pojechaliśmy jednak.

Był wczesny ranek, ale słońce już dobrze dokuczało. Że jednak powietrze pachniało, od stepu szło ku nam swobodą a humory mieliśmy dobre, przeto jechało się nam cudownie. Koń nasz pracował bez bata uczciwie i nie spostrzegliśmy, kiedy zbliżyło się południe. Tymczasem nic jeszcze przed nami nie było widać.

— Zbłądziliśmy — zauważył któryś z nas.

— Nie obawiajcie się, dobrze jedziemy — uspokajał Matow.

Jakoż jechaliśmy rzeczywiście dobrze, po upływie bowiem jeszcze godziny zobaczyliśmy w oddaleniu samotną jurte a obok niej jakieś wątle, podłużne zabudowania z chróstu.

— Oto i „zimówka“ naszego Kirgiza — zawołał z triumfem Matow.

Miał słuszość, dojechaliśmy.

Gospodarza zastaliśmy w domu. Witał nas bardzo serdecznie, znać ucieszony tem, że dotrzyimaliśmy obietnicy.

Uchylił wołokowej zasłony i wprowadził nas do wnętrza okrągłej jurty, pośrodku której żarzyło się ognisko. Zaznajomił nas ze swoją żoną, nieurodziwą, starszą już i mocno spracowaną kobietą, u Kirgizów bowiem cały ciężar pracy domowej spada na kobiety. Mężczyzna palcem nie ruszy przy domowem gospodarstwie. Zajmuje się tylko końmi i baranami. Nawet kiedy „odkoczowuje“ z jednego miejsca pobytu na drugie — trud zwinięcia jurty i postawienia jej na nowo z czystem sumieniem pozostawia kobiecie. Dla tego, wskutek pracy nadmiernej, kobiety kirgiskie starzeją się prędko. Żona naszego przyjaciela nie miała jeszcze lat 40-tu a wyglądała już na „babę“. Twarz miała pomarszczoną, oczy przygasłe, w nikłych, splecionych po obu bokach głowy, warkoczykach przewijały się już pasma siwizny. Za to jedenastoletnia jej córka,

którą ojciec gwizdnięciem sprowadził do jurty, była już zupełnie rozwiniętą i dojrzałą dziewczyną.

Chłopców nie było w domu, bo zajęci byli przy tabunie.

Na zaproszenie gospodarza usiedliśmy na ziemi, w kucki, i, popijając podany nam w zielonych z grubego szkła szklankach kumys, próbowaliśmy zawiązać rozmowę. Nie było to jednak łatwo. Porozumiewaliśmy się więc raczej na migi, usiłując dać sobie dowody wzajemnej sympatii.

Kiedy szklanki nasze były już próżne, Kirgiz odebrał je z naszych rąk, potoknął wodą i podszedł z nimi do wiszącego w rogu jurty skórzanego wora, przypominającego kaukaskie bukłaki. Z worka tego natoczył jakiegoś białego, mętnego płynu i podał nam go, zachęcając do picia.

— Co to takiego? — zapytaliśmy.

— *Buzá* — brzmiała odpowiedź.

Powąchaliśmy. Wcale przyjemny zapach młodego wina. Skosztowaliśmy — niezłe.

Był to, jak się okazało później, dość odurzający napój, przygotowywany z prosa. Poprostu alkohol, pędzony na prosie. Napoju tego mahometanie nie uważają jednak ani za wódkę ani za wino i dla tego piją „buzę“ z czystem sumieniem i upijają się nią w sposób godny.

Tymczasem gospodyni dorzuciła już „tálnika“ (chróstu) do ogniska i zawiesiła nad niem okopcony metalowy czajnik, tak nisko, że płomienie lizały

go bezpośrednio. Nim wypiliśmy naszą „buzę“, woda zakipiała. Naparzano herbatę i za chwilę rozkoszowaliśmy się już tym orzeźwiającym płynem, którego nic w upalne dni nie zastąpi.

A upał na dworze był nie do zniesienia. W jurcie natomiast było wcale przewiewnie. Zaczęliśmy się po niej rozglądać. Stało tam kilka okutych, niewielkich skrzynek drewnianych, prawdopodobnie z przyodziewkiem, leżało pod ścianą kilka kulbak i pęk splątanych uździenic — i ponad to nic prawie innego. Prostota najzupełniejsza. Ale za to swobody, ile chcesz. Hulaj dusza!

Wydało nam się też, że wcale niezłą rzeczą na tym Bożym świecie jest być koczownikami.

Kiedy gdziekolwiek ludzie zamęczają się pracą na to, aby zdobyć naprzód żer, potem jaskinię, wreszcie zapłacić podatki — koczownicy mieszkają pod błękitnym namiotem nieba, żywią się kobyłem mlekiem i mięsem własnych baranów a nadewszystko przenoszą się z miejsca na miejsce, idąc za odwiecznym, wrodzonym sobie instynktem. Legenda mówi o poszukiwaniu „lepszyc pastwisk“, czyli o wędrowaniu za trawą. Rzeczywistość stwierdza jednak, że wcale tak nie jest, że Kirgiz jest poprostu „brodiagą“ stepowym, gdyż porzuca nieraz bardzo dobre pastwiska na rzecz gorszych, byle tylko zmienić miejsce postoju. Wędrowanie to rozpoczyna się wiosną, kończy późną jesienią. Odbyna się ono zgodnie z tradycją rodzinną. Praprawnuki koczują

podobno temi samymi szlakami, którymi koczowali ich prapradziadowie. Zatrzymują się u tych samych krynic, przebywają te same przestrzenie, to znaczy gdzieś aż do granic chińskich i z powrotem, wracają wreszcie na zimę do tych samych „zimówek“ z powiększonym znacznie dobytkiem, bo po drodze ożrebiły im się kłacze i okociły owce.

Swoboda Kirgizów kajsackich była jeszcze wówczas zupełna — żadnych nie płacili podatków i w wojsku nie służyli. Byli naprawdę tylko pod władzę Pana Boga. Nie roznosiła ich ta wolność ale dawała im jakieś upojenie, jakieś głęboko tkwiące w duszach poczucie niezależności. Ot, wolni ludzie! Wolni, pomimo, że urzędowym zwierzchnikiem ich, podobnie jak naszym, był gubernator orenburski. Nic sobie jednak z tego zwierzchnictwa nie robili, — bo szukaj wiatru w polu! Dziś tu, jutro tam. Trzebaby nie wiem jakiej organizacji, aby poddać kontroli tych z górą 200 tysięcy „kibitek“, koczujących na paru tysiącach kilometrów zielonego stepu. Każda „kibitka“ to rodzina, a każda rodzina składa się normalnie z 4 do 5-iu osób, w sumie więc horda turgajska Kirgizkajsaków liczyła z górą milion głów. Jakże boleć musiał rząd rosyjski, nie pobierając od tego miliona swoich poddanych ani grosza jakiegokolwiek podatku!

Pod względem religii Kirgizi orenburscy urzędowo liczyli się za wyznawców Proroka. Czy byli

jednak nimi istotnie — o tem należy wątpić, nie mieli bowiem wśród siebie „mułłów“ ani nie budowali żadnych, przenośnych nawet świątyń. Żyli więc najprawdopodobniej jakimiś własnymi pogańskimi tradycjami, wśród wierzeń i zabobonów, przechodzących drogą tradycji z pokolenia na pokolenie.

Moglibyśmy to byli wnosić stąd, że kiedy zapytaliśmy naszego gospodarza o imię córki, wymienił nam je i zarazem wytłumaczył, że imię to znaczy po rosyjsku siodło.

— Dla czego siodło? — rozpytywaliśmy się ciekawie.

— Dla tego, że zwyczaj nasz każe nazywać dziecko mianem tego przedmiotu, na którym po jego przyjsciu na świat zatrzyma się oko ojca. Ponieważ wówczas spojrzałem na siodło, przeto córka moja otrzymała to piękne imię.

Nie przeczyliśmy, że mogło ono być piękne, ale zwyczaj ten był w naszych oczach świadectwem zupełnej pierwotności kultury Kirgizów-kajsaków.

Zapewne mogliśmy się byli niejednego jeszcze dowiedzieć od naszego przyjaciela, gdyby można było łatwiej się z nim porozumiewać. Ponieważ jednak w miarę poruszania nieco tylko trudniejszych tematów napotykało to na przeszkody nie do przezwyciężenia, przeto niebawem po wypiciu herbaty postanowiliśmy wracać, tembardziej, że na powrót potrzebowaliśmy najmniej 4 godzin.

Wprawdzie pocziwy Kirgiz zatrzymywał nas jeszcze i proponował, abyśmy pojechali w step zobaczyć jego stadninę i barany, ale na to nie było już naprawdę czasu. Pożegnaliśmy więc najuroczyściej gościnnych gospodarzy i zabraliśmy się do zaprzęgnięcia naszego konia, który, dobrze posilony, zdradzał już nawet ochotę do ruchu.

Pojechaliśmy. I znów jechało nam się dobrze i wesoło.

Zmierzch już zapadał, kiedy dojeżdżaliśmy do brodu na rzece Or'.

Jakież było nasze zdziwienie, kiedy ujrzeliśmy na drugim brzegu harującego na koniu Mitrofana. Wkrótce wyjaśniły się te harce. Okazało się mianowicie, że w czasie naszej nieobecności sprawnik posyłał po nas. Mitrofan, nie zastawszy nas w domu, szukał nas po całym mieście, spodziewając się, że jesteśmy u kogoś w odwiedzinach. Nie natrafiwszy jednak nigdzie na nasze ślady, zaczął się rozpytywać przygodnych ludzi na ulicach, czy nas kto nie widział? W ten sposób ustalili, że wyjechaliśmy za miasto i złożył o tem raport sprawnikowi, który polecił mu jechać niezwłocznie w nasze tropy i sprowadzić do siebie. Zdarzyło się, że znalazł nas szybciej, niż się tego spodziewał.

Ponieważ byliśmy obowiązani do posłuszeństwa, więc zamiast do domu, zajechaliśmy, eskortowani przez Mitrofana, wprost pod mieszkanie sprawnika.

Pocziwy Biekczurin sfutrował nas za to, że bez jego wiedzy i zezwolenia wydaliśmy się poza granice miasta, czego nam czynić nie wolno, poczem kazał podać samowar i zatrzymał nas na herbacie, motywując to tem, że mamy do omówienia ważne sprawy.

Istotnie sprawy były ważne i dla nas radosne, Sprawnik otrzymał był bowiem tego dnia z Orenburga papiery, w których komunikowano nam zastosowane do nas rozmiary amnestji koronacyjnej. Śliwiński i ja mieliśmy na podstawie tej amnestji czas pobytu na wygnaniu skrócony o połowę, Uściński i Karoli o jedną trzecią. I w tym przypadku podzielono nas więc na kategorie.

Ten podział nas zasmucił, bo jakże to rozstaniemy się z sobą — frasowaliśmy się zawczasu. Jak my dwaj zdobędziemy się na to, aby pojechać z końcem sierpnia do kraju a zostawić tutaj na cały jeszcze rok Edzia i Olesia?

Radzi byliśmy jednak, że wiemy przynajmniej, czego się trzymać.

Obmyśliliśmy też sobie taki plan działania, że Edzio i Oleś podadzą prośby do ministra spraw wewnętrznych o przeniesienie ich do Permi, gdzie z pewnością dłużej posiedzą Kirkorowie za swoje „prawosławie“, my zaś wyślemy niezwłocznie prośby do Dieljanowa, ówczesnego ministra oświaty, o ponowne przyjęcie do któregośkolwiek z uniwersy-

tetów w państwie, aby zbadać w ten sposób, jak rzeczy w tym kierunku stoją.

Prośby takie wysłaliśmy istotnie w ciągu najbliższych dni.

Niebawem zaczęły dochodzić nas wiadomości od kolegów z innych gubernij, że wszyscy uczynili tak samo, że więc na skutek napływu tylu podań będzie musiało być powzięte przez ministra oświaty jakieś wspólne, dotyczące wszystkich postanowienie. Byli optymiści, którzy łudzili się nadzieją, że najprawdopodobniej znajdziemy się wszyscy znów w uniwersytecie warszawskim, bo dlaczego właściwie mianoby nam tego bronić? Były to jednak, jak się potem okazało, złudzenia.

Tymczasem czekaliśmy, uzbrojeni w cierpliwość, wykreślając z kalendarza każdy mijający dzień i licząc, ile ich jeszcze pozostało do końca wygnania.

L A T O

Po krótkiej wiośnie przyszło gorące, skwarne lato. Wprawdzie mieliśmy już o niem pojęcie z zeszłorocznej jesieni, ale nie wyobrażaliśmy sobie, żeby w czerwcu i w lipcu upały mogły dochodzić do takiego natężenia, do jakiego doszły w rzeczywistości.

Temperatura z małemi wahaniami trzymała się ciągle na wysokości $+36^{\circ}$ do 40° R. I tak dzień w dzień. Życie zupełnie ustawało. Niepodobna już było ani czytać, ani pisać, ani zająć się czemkolwiek. Siedzieliśmy w domu, w bieliźnie, przy zamkniętych okiennicach, ale i to nie wiele pomagało. Znieśliśmy więc stół i cztery krzesła do piwnicy i tam, popijając gorącą herbatę, aby dostarczyć organizmom naszym niezbędnej „wilgoci“, spędzaliśmy czas do wieczora. Wychodziliśmy dopiero po zachodzie słońca dla orzeźwienia się, wieczory bowiem były chłodne, nawet zimne. Spotykaliśmy wówczas cały niemal Orsk nad Uralem. Wszystko ciągnęło ku wodzie, nikt jednak kąpeli nie używał. Nawet podczas upałów przekładano gorącą łaźnię ponad kąpiel rzeczną. Postanowiliśmy tedy dać dobry przykład i rozpoczęliśmy w połowie czerwca sezon kąpielowy, chodząc codziennie wcze-

snym rankiem nad Ural. Wszyscy umieliśmy dobrze pływać, więc kąpiel pomimo dość wartkiego prądu rzeki, nie była dla nas niebezpieczna. Ural pod Orskiem nie jest zbyt szeroki. Szerokość jego w miejscu naszej kąpeli nie przenosiła 150 metrów, z całą więc swobodą przepływaliśmy z brzegu azjatyckiego na brzeg europejski i tam wylegiwaliśmy się na słońcu, aby po jakimś czasie znów powrócić do Azji. Świadomość tego, że igramy ciągle z dwoma kontynentami, drażniła nas a brzeg europejski wołał i wabił nas ku sobie coraz natarczywiej. Niestety, byliśmy na nim zawsze nadzy, a więc niezdolni do dalszej podróży na Zachód.

Kilkakrotnie towarzyszył nam w kąpeli Petrow, który z powodu spraw urzędowych bawił w tym czasie przez jakiś tydzień w Orsku. Matow za żadne skarby nie chciał wejść do „zimnej“ wody, która, mówiąc nawiasem, nawet w godzinach rannych była, jak nagrzana. A przecież wychowywał się nad Wołgą! Przypominało nam to marynarzy, którzy podobno także nigdy nie kąpią się w morzu i przeważnie pływać nie umieją dla tego właśnie, że ciągle z wodą przestają.

Po kąpeli odbywaliśmy zwykle przechadzkę po t. zw. „roszczy“ czyli zagajniku sokór, rosnących skąpo nad rzeką. Był to zagajnik gęsty, ale wcale nie utrzymany. Muł, naniesiony przez wylew wiosenny, stężał tam pod wpływem upałów w twardą grudę, po której trudno było chodzić. Całą przy-

jemność sprawiało więc tylko to, że mieliśmy trochę zielonych i szemrzących judaszowem wspomnieniem liści nad głową. Była to jedyna zieleń w Orsku. Istniał tam wprawdzie „ogród Perowskiego“, założony przez dawnego gubernatora orenburskiego, ojca słynnej Zofji Perowskiej, młodej terrorystki, biorącej udział w zamachu na cara Aleksandra II-go w roku 1881-ym, ale ogród ten był za miastem, nadto stale był zamknięty i nie posiadał nic ciekawego ponad kilkadziesiąt drzew owocowych, utrzymywanych przy życiu za pomocą sztucznego nawadniania przez studnie wiatrakowe, i plantacji melonów, która nie interesowała nas wcale, mieliśmy bowiem aż za dużo tych soczystych owoców na rynku.

Ranna przechadzka po „roszczy“ musiała nam wystarczyć na cały dzień, gdyż powtórnie wychodziliśmy z domu dopiero przy gwiazdach. Z konieczności życie nasze zmieniło się w tych warunkach na nocne. Późno chodziliśmy spać i spaliśmy krótko, zaledwie 4 do 5-iu godzin, ale wystarczało nam to zupełnie. W dzień nie sypialiśmy, mimo że upały wywoływały u nas specjalną senność. Broniliśmy się jednak przed nią herbatą, żeby nie ulec zbyt niemu rozleniwieniu, tak pospolitemu na wschodzie.

To rozleniwienie panowało w Orsku podczas letnich miesięcy niepodzielnie. Prostu nie widać było nigdzie człowieka, zajętego pracą. T. zw.

„martwy sezon“ był tutaj naprawdę martwy. Sklepy były zamknięte niemal przez cały dzień. Otwierano je dopiero po południu, dobrze pod zachód słońca. Ludzie bogatsi chłodzili się bądź wódką, trzymaną na lodzie, którą się łatwo upijali, bądź gorącą herbatą, która w każdym domu zawsze była na podorędziu. Baszkirzy i tatarzy z chwilą, gdy nadszedł sezon arbuzów i melonów, zjadali nie stworzone ilości tych tykw, gasząc ich sokiem pragnienie.

Zastanawialiśmy się nieraz, z czego właściwie żyje ludność miasteczka, nie pracując i nic nie wytwarzając? Oczywiście, spożywała ona w lecie zasoby, nagromadzone podczas pracy zimowej. Cała jednak tajemnica ich istnienia a raczej ich wegetacji polegała na tem, że wskutek upałów bardzo niewiele było potrzeba silnemu i dobrze rozwiniętemu organizmowi ludzkiemu (a charłaków nie było tam zupełnie) do podtrzymywania sił. Mięsa nikt nie jadał, bo zniknęło ono z rynku. Przestano bić barany, drobiu nie było wcale, więc i my musieliśmy przejść na kuchnię jarską, a ponieważ jarzyn nie było, więc biały pszenny chleb stanowił niemal jedyny nasz środek odżywczy. Nie cierpieliśmy jednak bynajmniej z tego powodu. Byliśmy najzupełniej zdrowi i czuliśmy się lekko. Twarze nasze ogorzały niemal na brązowo, mimo, że nie chodziliśmy po słońcu, i zewnętrznie upodabnialiśmy się coraz bardziej do krajowców. Miano też nas już w Orsku

„za swoich“. Wszyscy przyzwyczaili się do naszej obecności. Pozdrawiali nas ukłonami na ulicach nawet ludzie nieznajomi, z pośród baszkirów i tatarów. Znały nas także wszystkie dzieci w mieście, którym nieraz rozdawaliśmy dość hojnie „landryny“, kupione w sklepie Nazarowa.

Dalszych przechadzek, poza miasto, prawie że nie odbywaliśmy, nie było bowiem dokąd pójść. Step już był spalony. Pyszna kowyl-trawa legła na nim pokotem, żółta i wycieńczona od upałów. Nie chciały jej już skubać nawet barany. Za to lizały one z rozkoszą słoną ziemię i wysterkające z pod niej tu i ówdzie płyty soli kamiennej. Prawdopodobnie były tam bogate złoża tego cennego minerału, nikt się jednak tem nie zainteresował, a rząd nawet próbných badań geologicznych nigdy w tych okolicach nie przeprowadził. Dość miała Rosja soli nad Donem, aby się jeszcze zajmować tem, co było na tem odludziu. Zresztą przy zupełnym braku komunikacji, o żadnej racjonalnej eksploatacji mowy być nie mogło. Używały więc tego prawdziwego „daru Bożego“ tylko barany i owce. Czasem korzystały z tej soli także władze policyjne. Opowiadał nam Jerłykow, że kiedyś doniesiono mu, że w stepie znaleziono trupa. Pojechał tam razem z władzami sądowymi i rzeczywiście na wskazanem miejscu znaleziono ciało ludzkie, przysypane warstwą soli, aby je zabezpieczyć przed rozkładem. Spisano o tem prawidłowy protokół, rozpoczynający się od słów: ta-

kiego to a takiego dnia, tam i tam „najdnen trup w solianom widie“. Tak się to nazywało w terminologii „uradników“, którzy wogóle nie odznaczał się zbytnią inteligencją. Pewnego razu np. — jak nam znów opowiadał Jerłykow — wiosną, kiedy w jarach stepowych dużo jeszcze jest wody, w jednym z takich jarów utonął jakiś tatar, uganiający się za dzikiem ptactwem, które żeruje nad takimi jarami. Z chwilą, kiedy woda w jarze wyschła, spostrzegł topielca przejeżdżający tamtędy uradnik. Nie mógł jednak ustalić, jakiej płci był trup i zaznaczył to w spisany przez siebie protokóle.

— Przeczytałem protokół i, zdziwiony jego brzmieniem — opowiadał Jerłykow — pytam uradnika: jakto, nie było żadnej różnicy, po której można byłoby rozpoznać, czy to mężczyzna, czy kobieta?

— *Nikak niet, Wasze Wysokobłagorodie. Raznicu raki sjeli* — odpowiedział z tupetem zagadnięty.

Istotnie, było to możliwe, raki bowiem gnieźdzą się w tych rozpadlinach. Przynoszą je i osadzają tam wylewy wiosenne.

Zdarzało się, że widywaliśmy wodę w takich jarach, położonych zwłaszcza bliżej Uralu, jeszcze w połowie lipca, zanim nie wypilo jej słońce doszczętnie. Dzięki tej wodzie trzymała się tam roślinność, kiedy gdzieindziej już jej nie było.

Im dalej posuwało się naprzód suche i upalne lato, tem większa ogarniała nas tęsknota do zielo-

ności. Długo szukaliśmy jej napróżno, wreszcie znaleźliśmy ją o jakieś trzy kilometry za miastem, w postaci kilkudziesięciu kęp łoży nadrzecznej. Obraliśmy sobie to miejsce za punkt naszych wycieczek. Było to t. zw. „Sultanskoje uszczelje“. Ural przerzynał się tam wąskim łożyskiem pomiędzy spiętrzonemi po obu brzegach skałami, a przebywszy tę przeszkodę, rozlewał się dość szeroko. W miejscu tego rozlewu rosła właśnie łoża i trochę zielonej trawy. Tam lubiliśmy się kłaść i słuchać szmeru wody. Wracając, zbieraliśmy na skałach dość ciekawe rozchodniki górskie, które trzymaliśmy potem w domu na miseczkach glinianych z wodą i które rozrastały się w tych nowych warunkach wcale nieźle. Rozbudzało to w nas zamiłowania przyrodnicze, lecz, niestety, zaspokoić ich szerzej nie było można, wszelka bowiem roślinność ginęła w stepie z dnia na dzień.

Tak minął nam lipiec. W początkach sierpnia, Antoni Śliwiński i ja zaczęliśmy już myśleć o blizkim terminie naszego wyjazdu. Edzio i Oleś dzielili wprawdzie naszą z tego powodu radość, ale wyczuwaliśmy doskonale, że robią „dobre miny w złej grze“ i że w rzeczywistości nurtuje ich z tego powodu utajona melancholja. Cóż jednak było robić?

„Któż zdoła strumień wstrzymać w biegu?
Czyż jest na świecie taka dłoń?“

Śpiewaliśmy sobie na pociechę i zaczęliśmy się rozglądać za najtańszym sposobem dostania się z Orska do Orenburga. Niestety, żadnej nie było okazji, żaden kupiec nie wybierał się w tym czasie do „stolicy“. Obliczyliśmy sobie jednak, że na pocztę nas nie stać, postanowiliśmy więc nająć sobie tatarę, jechać końmi, i choćby to trwać miało trzy doby, popasając co kilka godzin, dojechać do Orenburga.

Wyszukaniem amatora na taką podróż miał się zająć Bażanow.

Tymczasem mieliśmy jeszcze dwa urozmaicenia. Przyjechał do Orska na sesję wyjazdową wydział karny orenburskiego sądu okręgowego. Mieliśmy więc kilka dni, wypełnionych rozprawami. Trzeba przyznać, że przewody sądowe odbywały się nie tylko bardzo prawidłowo lecz i z dużą powagą, którą umieli im nadać sędziowie w łańcuchach złotych na szyjach. Mowy prokuratora były doskonałe, utrzymane na wysokim poziomie. Tak samo mowy obrończe. Przekonało nas to, że dobra opinia o sądownictwie rosyjskiem była zupełnie uzasadniona, że wymiar sprawiedliwości nawet na tym krańcu świata odbywał się z zachowaniem wszelkich form jurydycznych i z całym dostojeństwem aparatu, co mogło ludności imponować.

Innego rodzaju urozmaiceniem było — zapowiedane przez Jerlykowa — przybycie do miasteczka popa z cudownym obrazem. Nie był to wprawdzie

obraz Matki Boskiej Kazańskiej, w każdym jednak razie obraz z Kazania. Pop biegał z nim od domu do domu. Towarzyszył mu tłum pobożnych. Nie chcąc drażnić uczuć religijnych tego ludu, idąc za radą Bażanowa, wpuszciliśmy popa z obrazem także do siebie. Djacek wykadził nam całe mieszkanie, pop odśpiewał jakieś błogosławieństwo dla całego obejścia, musieliśmy kupić i zapalić cztery świeczki, od każdego z nas po jednej, i — w epilogu dać popu 5 rb. „za fatygę“. Zdaje się, że na tym pięciorublowym podatku polegało wszystko.

Obroną ręką z tego wyszła tylko Awdotja, która, jako mołokanka, widząc zbliżający się obraz, zamknęła drzwi od kuchni i swego pokoju na kłódkę, zabrała dzieci i poszła z nimi do innej, już pobłogosławionej dzielnicy Orska.

Ceremonje te odbywały się przez jakiś tydzień. Wreszcie, kiedy już wszystkie domy prawosławne były obsłużone a wszystkie możliwe do wydobywania pięciorubłówki wydobyte, pop zniknął.

W miasteczku znów zapanowała cisza.

Jednego z takich cichych dni wpadł do nas Bażanow z wieścią, że ma już dla nas „izwoszczyka“. Był nim niejaki Achmedżjan Szumakow, tatar z nawiskiem rosyjskiem, ledwie jednak parę słów po rosyjsku rozumiejący. Nie podobna było rozmówić się z nim bez tłumacza. Poprosiliśmy więc Bażanowa, żeby nam drogmanował. Tatar okazał się dość przystępnym. Za 100 rb. zobowiązał się zawieźć

nas trójką koni i własnym tarantasem do Orenburga. Cena była umiarkowana, poczta bowiem kosztowałaby nas zgórą dwa razy tyle. Zgodziliśmy się więc bez targów, ustalając termin wyjazdu na 24 sierpnia o godz. 7-ej wiecz. Dnia tego w południe mijał rok od chwili naszego zameldowania się u sprawnika, w tym samym więc momencie odzyskiwaliśmy wolność. Do wieczora zaś odłożyliśmy wyjazd tylko ze względu na upał.

Ułożywszy się z Achmedżjanem, rozpoczęliśmy składanie wizyt pożegnalnych. Trzeba było odwiedzać wszystkich, kto okazał nam tutaj życzliwość, a że o brak tej życzliwości nie mogliśmy nikogo pomawiać, przeto łańcuch naszych wizyt składał się z bardzo wielu ogniów. „Odrobiliśmy“ to jednak w ciągu 10 dni, nie opuszczając nikogo.

Ostatnia nasza wizyta była u Biekczurina. Doręczył nam on papiery i wydane przez siebie świadectwo o dobrym sprawowaniu się, które w Orenburgu miało być zamienione na także świadectwo ze strony gubernatora, jako władzy naczelnej.

Pożegnanie nasze ze sprawnikiem nacechowane było dużą serdecznością z jego strony. Jeszcze więcej nieklamanej życzliwości okazał nam Jerłykow. Obaj ci przedstawiciele policji mieli niewątpliwie dusze ludzkie i dla tego zapewne służyli na tak dalekich kresach. Najlepsze ich życzenia towarzyszyły nam na drogę i nie mieliśmy żadnego powodu do powątpiewania o szczerości tych życzeń. Roz-

stawaliśmy się na zawsze z obustronną przyjaźnią. Byłoby z naszej strony wyrazem małej kultury, gdybyśmy nie ocenili właściwie więcej niż poprawnego do nas stosunku tych ludzi w czasie naszego pobytu pod ich „dozorem“. Był to „dozór“ łagodny, nieuciążliwy, pozostawiający nam *maximum* swobody, z jakiej mogli korzystać wygnańcy polityczni. Musieliśmy być za to wdzięczni, tembardziej, że widzieliśmy, iż stosunek tych samych władz do Matowa i Władimirowa był znacznie ostrzejszy i bezwzględniejszy. Wiedzieliśmy również, że i koledzy nasi, rozrzućeni po innych gubernjach i po innych miastach, nie wszędzie trafili na takich rozumnych i cywilizowanych sprawników, że ulegali niejednokrotnie szykanom z ich strony, że byli nawet traktowani przez nich, jak przestępcy. Być może, otrzymali za to ordery lub awansy. Biekczurin ani Jerłykow z pewnością nie liczyli ani na jedno ani na drugie. Byli w stosunku do nas ludźmi i to im wystarczało. Byli zaś ludźmi może dla tego, że pierwszy nie uważał się za rosjanina, lecz za tataro-mahometanina w służbie rosyjskiej, drugi zaś, chociaż był prawosławnym rosjaninem, musiał, jak o tem świadczyło jego nazwisko rodowe, Jerłykow, pochodzić z tatarów.

Jeżeli jednak tyle życzliwości doznaliśmy od naszej „władzy“, to wśród ludności cywilnej miasta wezbrał poprostu potok najmielszych uprzejmości, skierowanych w naszą stronę. Musieliśmy pod

wpływem tego nabrać przekonania, że spędziliśmy ten rok wśród ludzi naprawdę dobrych. niespodzianką dla nas było jednak przedewszystkiem zachowanie się tych, którzy stronili od nas w obawie o swoją karierę, jak dr. Hurwicz. I tu w ostatniej chwili lody prysły i nastąpił wybuch przyjaźni. Przez całe miasteczko płynął więc niezamącony niczem nurt przyjaźni dla nas. Nawet pop nie omieszkiał nam prawić czułości przy pożegnaniu.

Kiedy wizyty nasze były już zakończone, zabraliśmy się energicznie do pakowania naszych kufrów w daleką drogę. Aby sobie ulżyć, rozdaliśmy, co było mniej potrzebne, pomiędzy członków rodziny Awdotji, co wywołało wielką radość. Awdotę też uprosiłem, aby zaopiekowała się po moim wyjeździe „Baszkiem“.

Nadszedł wreszcie dzień 24 sierpnia. Spożyliśmy ostatni nasz wspólny obiad i przy samowarze oczekiwaliśmy na przyjazd Achmedżjana. O 6-ej po poł. zaszły konie i tatar zaczął nam starannie urządzać siedzenie w tarantasie.

W trakcie tej roboty zauważyliśmy, że zajeżdżają przed nasz dom tarantasy, wypełnione naszymi przyjaciółmi. Jeden, drugi, trzeci i t. d. Zajechało ich coś sześć.

Zapytaliśmy, co to za manifestacja?

— *Niczewo, budiem was prowożat* — brzmiała odpowiedź.

Pociągnęliśmy za język Bażanowa.

Okazało się, że to on był inicjatorem tej eskapady w step, zgodnej zresztą z miejscowym zwyczajem.

Przygotowane do tego było już wszystko.

Miasto posiadało namiot z czasów syberyjsko-japońskiej podróży Mikołaja II-go, którą odbywał jeszcze jako następca tronu. W namiocie tym urządzono dla niego w stepie przyjęcie, gdyż w samym mieście się nie zatrzymał, apartamenty bowiem dla niego były przygotowane w Zarządzie stadnin państwowych („Konnyj zawod“). Była to konieczność, w mieście bowiem nie było odpowiedniego mieszkania dla tak wysokiej figury. Otóż w tym namiocie witali Mikołaja miejscowi notable, pili szampana za jego zdrowie i zgodnym chórem krzyczeli „ura!“

Dość wyglądało humorystycznie to, że tego samego właśnie namiotu użyto teraz dla wyprawienia nam „pożegnania“. Po carewicz — przestępcy polityczni. Ale w Orsku uważano to widocznie za zupełnie logiczne następstwo faktów, miejski bowiem „gołowà“ chętnie użył „historycznego“ namiotu na ten cel.

Przed samym odjazdem Bażanow wygłosił do nas mowę pożegnalną, nie najświetniej skonstruowaną, lecz pełną przyjaznych uczuć i skropioną nawet łzami rzeczywistego wzruszenia. Potem myśmy coś mówili. Potem nas ściskano i całowano. Wreszcie zajęliśmy miejsca w tarantasie i — w drogę!

Przodem ruszyli odprowadzający, my jechaliśmy na końcu w takim oddaleniu, aby nam kurz nie przeszkadzał.

Po upływie pół godziny zajechaliśmy przed namiot, gdzie urządzono nam bardzo gorącą owację.

W namiocie oczekiwał nas obficie zastawiony butelkami i przekąskami stół, do którego podprowadzono nas w triumfie.

Zaczęło się „strzemienne“. Byliśmy bardzo wstrzemięźliwi przez cały czas naszego pobytu w Orsku, trudno jednak było odmówić tym ludziom pocziwym w ostatniej chwili wypicia z nimi „na rozstanie“. Ubolełoby to i uraziło ich z pewnością. Piliśmy więc, przechodząc z objęć w objęcia i słuchając coraz rzewniejszych pod naszym adresem wynurzeń.

Tymczasem słońce zaszło, zapadał szybko zmierzch, tu i ówdzie błyskały już na niebie pierwsze gwiazdy i robiło się chłodno. Czas było jechać, liczyliśmy bowiem głównie na noc. Dłuższe wypoczynki mieliśmy wyznaczone na dzień, a w ciągu dnia na godziny największego natężenia upału. Każda zaś noc przedstawiała dla nas wartość dobrych kilkudziesięciu (bo do 70) wiorst drogi.

Pożegnaliśmy więc odprowadzające nas towarzysztwo, uściskaliśmy się już bez słowa, ale z dojmującym smutkiem w duszach z Olesiem i Edziem i wśród wrzawy kilkudziesięciu głosów ruszyliśmy dobrym kłusem przed siebie, na Zachód.

Oglądając się za siebie, widzieliśmy jeszcze przez chwilę gromadkę, skupionych przed namiotem i wyciągających ku nam rękami naszych przyjaciół orskich, poczem jeden po drugim zaczęli oni znikać pod płótnem namiotu. Domyślaliśmy się, że teraz dopiero rozpocznie się tam prawdziwe pożegnanie, już nie z nami, lecz z równowagą nóg i głów. Musieli przecież dokończyć tego, co było zaczęte — to znaczy wypróżnić do dna wszystkie butelki i sprzątnąć wszystko jadło. Trwało to pewnie do północy, a może i dłużej.

Takie było nasze rozstanie się z Orskiem.

Jechaliśmy szparko. Wiatr chłodził nam rozpalone czoła i orzeźwiał nas rozkosznie. Stopniowo jednak stawało się chłodno, coraz chłodniej, tak, że musieliśmy przywdziać zimowe szynele.

Achmedżjan nie zawsze trzymał się traktu. Skracał sobie czasem odległości, jadąc przez step, na przełaj, po cięciwach łuków, w które wyginała się droga. Było pusto, cicho i gwiaździsto dokoło nas. Czuliśmy, jak toniemy w szerokiej, nieobjętej wzrokiem przestrzeni, jak się pogrążamy w nią coraz bardziej, jak nas ogarnia coraz większa samotność.

Zaczęliśmy rozmawiać z Achmedżjanem. Trudno jednak szło. Na razie tatar — człowiek już starszy, lat około 50-ku — odwracał tylko ku nam swoją twarz i uśmiechał się przyjaźnie. Powoli jednak wywiązało się pomiędzy nami jakieś porozumienie. I tak, gawędząc, jechaliśmy dalej.

P O W R Ó T

Achmedżjan okazał się nie tylko doskonałym woźnicą, lecz i doskonałym człowiekiem. Kiedy się z nami rozgawędził, kiedy dowiedział się od nas o Polsce i o przyczynach, dla których znaleźliśmy się w Orsku, zapalał ku nam niekłamana przyjaźnią. Ze swojej strony zaczął nam zwierzać się z rozmaitych bied tatarskich i ujawniać wcale gorącą nienawiść ku Rosji. Wyczuwając to, postanowiliśmy go zaagitować i utwierdzić w przekonaniu, że tylko walka czynna z uciskiem może doprowadzić kiedyś tak samo tatarów, jak nas, do wyzwolenia. Poszło to bardzo gładko i już na pierwszym popasie byliśmy w doskonałej z sobą komitywie. Cóż dopiero po trzech dobach nieustannego obcowania. Tatar poprostu rozmiłował się w Antosiu i przez cały czas podróży chodził koło nas, jak koło najdroższych sobie osób, dbał o nasze wygody, obsługiwał nas na popasach, zdobywał dla nas jak najlepsze mleko i jaja po stanicach kozackich, starał się o to, abyśmy się mogli wygodnie przespać, a gdy pewnego razu z izby, gdzie nas opadły pluskwy, musieliśmy wynieść się na dwór, umościł nam wspianiałe posłania, przykrył je dywanami, które

bez pytania zabrał z kozackiej chałupy, i czuwał, abyśmy mieli sen spokojny.

I to wszystko za kilka dobrych słów, za sympatię dla swego narodu, której szczerość i bezinteresowność widocznie wyczuł instynktem na poły dzikiego człowieka.

Sentyment jego ku nam wzrastał niemal z każdą wiorstą, był też niepomału zmartwiony, kiedy trzeciego dnia pod wieczór zaczęliśmy się zbliżać do Orenburga.

Zajechaliśmy tym razem już prosto do gospody Majewskiego, gdzie oczekiwali na nas od dwóch dni, wcześniej tu przybyli z pobliskiej Ileckiej za-szczyty, Janusz Borowski i Stanisław Ślewiński.

Achmedżjanowi trudno snąć było rozstawać się z nami odrazu, bo wyprosił sobie u Majewskiego, że mu pozwolił tarantas i konie postawić na podwórzu. Nam zaś tłumaczył, iż uczynił to dlatego, że zobowiązał się odstawić nas na kolej a nie do hotelu, musi więc zobowiązania swego dopełnić. Jakoż rzeczywiście nietylko odwiózł nam nazajutrz bagaż na dworzec kolejowy, ale wniósł nam, co było trzeba, do wagonu i nie oddalił się z peronu do chwili odejścia pociągu. A gdy pociąg ruszył, jeszcze wymachiwał ku nam rękami. Antoś Śliwiński twierdził, że widział łzy w jego oczach. Ja tego nie dostrzegłem, ale mogło tak być istotnie, tatarsko bowiem roztkliwiło się w ostatnich momentach nie na żarty. W każdym razie wrażenie roz-

stania było obustronnie silne, mimo bowiem lat 35-ju, które minęły od tej chwili, widzę doskonale Achmedżjana, pamiętam jego rysy, jego szpakowatą brodę i jego lgnący do nas wzrok, pełen ufności i przyjaźni. Mam to głębokie przekonanie, że t a k nie patrzył on nigdy na żadnego rosjanina.

Ale wracam do przerwane go toku. W Orenburgu zameldowaliśmy się przedewszystkiem gubernatorowi, Jerszowowi. Przyjął nas grzecznie i polecił natychmiast szefowi kancelarii, aby nam wydał na podstawie opinii sprawnika orskiego — „świadcstwa prawomyślności“. Jakoż po upływie pół godziny otrzymaliśmy takie świadectwa, pięknie wykalfigrafowane. Okazało się przy tem, że szef kancelarii był Polakiem, nazywał się Myszkowski, i służył tu już od lat 20. Tak rozsypiani byli wówczas Polacy po urzędach całej olbrzymiej Rosji, aż po Charbin i Władywostok.

Mając owe świadectwa w zanadrzu, poczuliśmy dopiero, że wszelkie nasze stosunki z władzą, która sprawowała nad nami nadzór w ciągu roku, są nareszcie skończone, że teraz jesteśmy już prawdziwie wolni.

Było to dziwnie przyjemne uczucie jakiejś lekkości i pogody ducha. Bodaj, że innym krokiem szliśmy już przez ulicę, wracając od gubernatora. Inaczej patrzyliśmy już na przechodniów a zwłaszcza na policjantów, coś niby ów pijany moskał, który, wiedząc, że policjant nie może go zaaresztować,

dopóki się nie przewróci, zataczał się przed nim i przestępując z nogi na nogę, wygłaszał uparcie swoje: „*Isz, nie wozmiesz!*” Oczywiście, z tą różnicą, że byliśmy podnieceni tylko poczuciem odzyskanej wolności i swobody ruchów, niczem więcej.

Zaczęliśmy natychmiast biegać po znajomych Polakach, pewni, że już nikogo i na nic odwiedzinami swojemi nie narazimy. Przyjmowano nas wszędzie radośnie ale i z nietajoną wcale zazdrością, że to my, a nie oni, jedziemy do kraju. Ten i ów prosił o odwiedzenie i pozdrowienie kogoś w Warszawie. Panie obarczały nas prośbami o załatwienie drobnych sprawunków i o wysłanie ich pocztą, za zaliczeniem, do Orenburga. Kapitan Błotnicki dopominał się o literaturę łowiecką, prosząc o wyszukanie mu i kupienie „*Kuropatw*” Wodzickiego, inni pragnęli mieć nowe powieści. Słowem, wyjeżdżaliśmy, jak komisjonerzy. Z radością jednak przyjmowaliśmy te zlecenia, wiedząc, że w ten sposób podtrzymujemy łączność tych ludzi z krajem.

Zatrzymywano nas tu i ówdzie, zapraszano to na obiad, to na kolację, nie mogliśmy już jednak żadnego z tych zaproszeń przyjąć, postanowiliśmy bowiem wyjechać tego samego jeszcze dnia wieczornym pociągiem, t. j. najbliższym, jaki był do naszego rozporządzenia.

Robiono nam z tego tytułu wyrzuty, ale bez

skutku. Zbyt bardzo bowiem tęskniliśmy już do kraju, do rodziców i do naszych stosunków warszawskich, aby zwlekać z wyjazdem.

W rezultacie skończyło się na tem, że w zamian za przyjęcia pożegnalne, kilkanaście osób a w tej liczbie wszyscy oficerowie-Polacy garnizonu orenburskiego odprowadzili nas na kolej, urządzając nam w chwili odejścia pociągu gorącą owację. Nastrój był taki, że gdyby który z nas, stojąc w otwartym oknie wagonu, zaśpiewał „Jeszcze Polska nie zginęła”, całe zgromadzone na dworcu towarzystwo byłoby podchwyciło tę melodię bez ochyby. Brała nas nawet pokusa na to, ale — nie chcieliśmy tych ludzi, a zwłaszcza oficerów, narażać, gdyż mogłaby z tego wyniknąć awantura. Równie jednak dobrze mogło to być ujęć, we wschodniej Rosji bowiem uchodziło dużo rzeczy takich, za jakie gdzieindziej szło się do kozy.

Koniec końców pociąg ruszył i — pojechaliśmy, wlokąc się leniwie w stronę Samary. Nazajutrz rano, w Samarze, miałem niespodziewaną przyjemność. Zobaczyłem na stacji spacerującego w urzędowej czapce, przyjaciela moich lat dziecięcych i młodych, Karola Kuczyńskiego, który, jako początkujący wówczas architekt, dozorował budowy jakiegoś gmachu rządowego w Samarze. Poczciwy Karol, poznawszy mnie, wskoczył natychmiast do wagonu i odprowadził nas do Syzrani po drugiej stronie Wołgi. Udzielił nam mnóstwa wiadomości,

niedawno bowiem przyjechał tu wprost z Warszawy. Byłem mu bardzo za to wdzięczny.

Dalsza podróż odbywała się monotonnie. Zmienialiśmy pociągi, przesiadaliśmy się na węzłowych stacjach, nudziliśmy się w sposób okropny, niecierpliwili jeszcze więcej i tak, żółtim krokiem, dobrnęliśmy po 7 dniach i 7-iu nocach spędzonych w wagonie, do Warszawy. W domu nie zastałem nikogo, wszyscy bowiem bawili jeszcze na wsi. Antoni doręczył mi tylko telegram ojca, polecający natychmiastowy przyjazd, oraz wezwanie od komisarza policji, abym stawiał się w cyrkule zaraz po przyjeździe.

Poszedłem. Warszawa wydała mi się dziwnie mała, wąska i brudna. Oczy moje, przyzwyczajone do szerokich przestrzeni stepu, tłukły się tu pomiędzy murami, jak ćma w pudełku. Po raz pierwszy przyszła mi do głowy zła myśl, czy warto było rzeczywiście tak bardzo tęsknić za tem miastem, które wcale na stolicę nie wygląda, po którego ulicach chodzą ludzie przygnębieni, smutni i trwożliwi, jak nigdzie indziej na świecie. Zrozumiałem jednak, że źródłem tego wrażenia ujemnego było odzwyczajenie się od warunków życia tutaj i że trzeba będzie na nowo się przyzwyczajać.

W cyrkule komisarz zwrócił mi przedewszystkiem uwagę na to, że nie powinienem chodzić w mundurze, bo jestem wydalony z uniwersytetu, i że należy, abym „najdalej w ciągu trzech dni“ spra-

wił sobie cywilne ubranie. Potem zaś doręczył mi nadesłaną przez ministra Dieljanowa drogą policyjną (!) odpowiedź na moje podanie. Odpowiedź ta była krótka i węzłowata. Brzmiała ona, jak następuje:

„Wasze chodatajstwo o priniatji wnow' w odin iz uniwersitetow Impierji nikoim obrazom udowletworeno byt' nie mozet.“

Zgryzłem się tem niepomału, ale cóż było robić. Pozostało jeszcze pojechać osobiście do Petersburga i prosić ministra o łaskę.

Co do tego jednak należało naradzić się z ojcem, który był przeciwnikiem wszelkich próśb w urzędach i wszelkich zginań karku.

Wyszedłszy więc z cyrkulu, udałem się prosto na ulicę Kotzebuego (dzisiaj Fredry) do centralnego biura telegrafu i zadeszowałem do domu o konie na pojutrze.

Miałem przed sobą jeszcze około 30 godzin wolnych. Użyłem ich więc na „doprowadzenie się do porządku“. Wykąpany, ostrzyżony i uczesany po europejsku, wróciłem do naszego mieszkania warszawskiego, spuściłem wszystkie rolety i położyłem się spać. Antoni proponował mi przyniesienie obiadu z restauracji, ale nie byłem głodny. Czułem za to znużenie i ogarniającą mnie senność. Była jakaś godzina 2-a po poł. kiedy zasnąłem. Spałem bez przebudzenia (sam temu dzisiaj wiary dać nie mogę) do godziny 5-ej po południu następnego dnia, t. j.

27 godzin! Oczywiście, odespałem całą długą i nużącą podróż z Orska do Warszawy.

Kiedy się obudziłem i po konferencji z Antonim ustaliłem długość spędzonego we śnie czasu, przekonałem się, że niewiele mi już zostało godzin do wyjazdu. Musiałem się nawet spieszyć.

Kazałem sobie przynieść coś do zjedzenia, na-stawić samowar, bo już bez herbaty obejść się nie mogłem, i, pokrzepiony należycie, pojechałem na dworzec nadwiślański.

Nazajutrz rano wyjechałem z Rożyszcza z Osy-pem i na południe byłem w domu. Zastałem wszystkich, oczekujących na mnie z obiadem. Radości było co niemiara. Po raz pierwszy w życiu odczułem w tym stopniu słodycz życia rodzinnego i błogosławioną, pełną spokoju i uciszenia dla „zblą-kanych synów“, atmosferę domu rodzicielskiego. Matka, siostra, ojciec, bracia — wszyscy zasypy-wali mnie pytaniami, na które musiałem odpowiadać jaknajdłużej. Były to odpowiedzi chaotyczne, ale zawierały wszystko, czem była przepełniona w tej radosnej chwili moja dusza.

Okazało się — według zgodnej opinii rodziny — że wyglądam nadspodziewanie dobrze. Matka zwłaszcza wyobrażała sobie, że będę wychudzony i wymizerowany, tymczasem było ode mnie kwit-nące zdrowie. Widocznie, klimat stepowy zrobił mi dobrze. Biekczurin miał słuszość, twierdząc,

że Orsk to sanatorium. Istotnie, wróciłem do domu, jak po kuracji, i czułem się doskonale.

Skoro pokazałem ojcu odpowiedź Dieljanowa, wzruszył ramionami.

— A więc pojedziesz do Lwowa tak, jak to było ułożone w zeszłym roku. Wówczas nie chcia-łeś, teraz nie masz innego wyjścia.

Próbowałem jeszcze poddawać, że jest wyjście, że pojadę do Petersburga osobiście i może uda mi się przekonać ministra, ale ojciec był tym razem nieprzejednany. Obstawiał za Lwowem.

Ponieważ był to już wyjazd legalny, za paszpor-tem, nie pozbawiający mnie prawa przyjazdu do kraju na wakacje a potem zupełnego powrotu, prze-to postanowiłem zastosować się do woli ojca.

Wykłady we Lwowie rozpoczynały się jednak dopiero w październiku, miałem więc przed sobą jeszcze z górą miesiąc zupełnie wolnego i swobod-nego czasu.

Spędziłem ten czas przeważnie w polu, z flintą i z psami, polując na kuropatwy. Razem z bratem Gustawem, bo brat mój młodszy, Bohdan, pojechał był już w pierwszych dniach września do Peters-burga zdawać egzamin konkursowy do Instytutu technologicznego.

Dopiero w początkach października wróciłem razem z matką i siostrą do Warszawy, a stamtąd wyruszyłem po kilku dniach do Lwowa.

Tak skończyła się moja eskapada orska.

PO LATACH TRZYDZIESTU PIĘCIU

Trzydzieści pięć lat minęło od owych czasów.

Przeglądając papiery w moim biurku literackim, natrafiłem na stary kalendarzyk, typu dawnych t. zw. kalendarzyków „oświatowych“. W kalendarzyku tym z roku 1894-go notowałem dzień po dniu wszystkie ważniejsze wydarzenia. Notatki te pozwoliły mi odtworzyć sobie dość już odległą przeszłość, na którą nawarstwiło się tyle daleko większych i ważniejszych faktów, zarówno z życia narodowego, jak i z moich przeżyć osobistych.

Przekonałem się przy tej sposobności, jak cudownym instrumentem jest pamięć ludzka, która przechowuje wszystkie wrażenia młodzieńcze w takiej świeżości, że dziesiątki lat nie wyrządzają im żadnej krzywdy.

Wspominając te czasy, widziałem przecież z całą dokładnością nie tylko twarze i postacie kolegów moich i przyjaciół ówczesnych, z których tyłu już śmierć zabrała, lecz w równej mierze i równie dobrze najprzelotniejszych także ludzi, którzy przeszli wtedy przez moje życie. Wszyscy, nie jak owe „chwiejne postacie“ Goethego, lecz w pełnym, żywym swoim kształcie stanęli znów przede mną, abym mógł z nimi obcować, jak dawniej, i odczu-

wać żywo ich przyjaźń i niezasłużoną często życzliwość dla mnie i dla towarzyszków mojego wygnania.

Los zdarzył, że to, co według zamiarów rządu rosyjskiego miało nam zwichnąć przyszłość, nie tylko jej nie zwichnęło, lecz, wręcz przeciwnie, uczyniło z nas młodzieńców dojrzałych i wytrwale dążących do celu. Z pomiędzy stu kilkudziesięciu zesłanych wówczas w głąb Rosji studentów, żaden się nie wykoleił. Z wyjątkiem dwóch czy trzech wszyscy ukończyli studia, bądź w państwie rosyjskiem, bądź zagranicą, i wszyscy zajęli mniej lub więcej wybitne stanowiska w społeczeństwie, jako lekarze, prawnicy, inżynierowie, nauczyciele i t. p.

Pobył tej gromady „zesłańców politycznych“ w Rosji miał też zupełnie odmienny skutek, niż ten, jakiego spodziewała się karząca nas za manifestację 17 kwietnia ręka. Nie zgłębił psychicznie nikogo, ale podniósł raczej i zahartował moralnie wszystkich. Nadto przyczynił się w niemałym stopniu do wzmożenia ducha polskiego wśród licznego wówczas dobrowolnego wychodźstwa polskiego w Rosji. Do mniej lub więcej licznych skupień polskich, wygnana młodzież akademicka wniosła powiew świeżych idei. Sprawilo to, że nieraz już słabe tylko nici, wiążące tych ludzi z krajem, wzmocniły się na nowo, że ludzie ci, oddani wyłącznie pracy zarobkowej, spostrzegli nagle, że to

jeszcze nie wszystko w życiu, że poza stosunkowo łatwym i obfitym chlebem powszednim, jest jeszcze coś więcej — jest ojczyzna, o której przyszłości trzeba myśleć i o której lepszą dolę trzeba walczyć.

Oczywiście, nie zaszczepiliśmy wszystkim naszych ówczesnych ideałów narodowo-rewolucyjnych, byli to bowiem przeważnie ludzie starsi, spokojni i o słabej zdolności reagowania na ucisk, którego bezpośrednio na sobie nie odczuwali, było im bowiem dobrze, nikt ich nie prześladował za ich „katolicyzm“ i nikt na ich prywatną, zamkniętą w czterech ścianach domu rodzinnego, polskość nie nastawał. Pomimo ich woli jednak ta polskość obudziła się w nich i wzmogła w zetknięciu z nami. Zainteresowanie ojczyzną i zachodzącymi w niej procesami społeczno-politycznej natury wzrosło wśród nich. Postępowym czasopismom warszawskim, jak „Prawda“, „Przegląd tygodniowy“ przybyło odbiorców. Także wznowiony później przez Zygmunta Wasilewskiego „Głos“ („Głos“ Bohusza Potockiego i J. L. Popławskiego był zamknięty po manifestacji, naczelnym bowiem jego redaktor, Józef Potocki, aresztowany razem z nami, osadzony był naprzód w areszcie na Chłodnej, potem w Cytadeli) zastał już dla siebie przygotowany grunt na wychodźstwie. Wzrosło także zapotrzebowanie na książki legalne a nawet nielegalne.

Z drugiej strony my sami zyskaliśmy na tem

niejedno. Otworzyły nam się oczy na wiele spraw. Zobaczyliśmy na własne oczy rozproszenie żywiołu polskiego. Przekonaliśmy się, że wyrazy „Rosja“ i „Sybir“, które budziły w nas taki lęk i taką grozę w dzieciństwie, kiedy słuchaliśmy u kolan matek opowiadania o zesłańcach 1863-go roku, nie budziły już obaw wśród idącej na Wschód „za chlebem“ rzeszy polskiej, złożonej przeważnie z inteligencji, rzadziej z rzemieślników i robotników wykwalifikowanych, których dopiero budowa kolei transsyberyjskiej pociągnęła w znaczniejszej liczbie. Nie mogliśmy także nie widzieć tego niebezpieczeństwa zagłady, jakie groziło w „morzu“ rosyjskiem słabszym i mniej odpornym jednostkom. Bejnar z Orska był tego wymownym przykładem. Nie stanowił on jednak wyjątku. Podobnych typów było więcej. Oczywiście, tam, gdzie był kościół, gdzie był ksiądz, gdzie było Polskie towarzystwo dobroczynności między Polakami wszystkich stopni inteligencji i zamożności istniała jakaś więź, spajająca ich w jedną całość narodową. Silniejsi powstrzymywali wówczas słabszych i duch polski nie zamierał. Bywały jednak „zachołustja“ choćby takie, jak Orsk, gdzie nie było się o kogo oprzeć, nie było z kim nawet pomówić. Doprowadzało to nawet do zapomnienia mowy ojczystej. Kto jeszcze miał stosunki rodzinne w Polsce, otrzymywał i pisywał sam listy, czytywał gazety i książki polskie, ten się jakoś trzymał. Ale kto tak, jak Bej-

nar, był, jak palec, a potrzeb intelektualnych nie miał żadnych, bo je w nim wódka zabiła, ten osuwał się na samo dno przepaści, gdzie zatracił swoją duszę polską.

Niebezpieczeństwem poważnem, acz nie najpoważniejszym były także dla Polaków, mieszkających w Rosji, małżeństwa mieszane. Zdarzały się one, lecz stosunkowo nie często, opinia bowiem polska potępiała to bardzo surowo. Według obowiązującego wówczas w państwie rosyjskiem prawa, dzieci, zrodzone z takich małżeństw, musiały być wyznania prawosławnego, prawosławie zaś było równoznaczne z rosyjskością tak, jak katolicyzm z polskością. Religja była tu więc puklerzem, broniącym narodowości. Obrona ta była silniejsza od tej, jaką mogła być dać Polakom odrębna ich kultura. Tylko wysoki jej poziom mógł rolę tę należycie spełnić. U ogromnej większości był to jednak poziom zaledwie średni, albo i zgoła nawet niski, a że ludzie muszą żyć z ludźmi, że środowisko wywiera zawsze swój wpływ na człowieka, że nadto, im dalej na Wschód, tem mniej w społeczeństwie rosyjskiem przywiązywano wagi do wskazówek i tendencji polityki rządowej, a co za tem idzie tem więcej okazywano sympatji Polakom, tem chętniej przyjmowano ich w swoich towarzystwach, tem większem darzono ich zaufaniem i przyjaźnią, bo rosjanie na ogół są ludzcy, dobrzy i przyjacielscy — przeto niejednen Polak po kilkunastu latach

pobytu w Rosji wrastał aż zbyt głęboko w grunt tamtejszy i zatracił wrażliwość na sprawy polskie. Przytłaczający ogrom, potęga i bogactwo państwa rosyjskiego wywierały tu także swój wpływ, co dawało ten wynik, że Polska w oczach wychodźstwa polskiego malała i traciła wszelkie szanse na odzyskanie niepodległości. Tacy ludzie protest i opór uważali za szaleństwo a nawet za szkodnictwo narodowe. Na szczęście, była to znikoma mniejszość, składająca się z wyższych urzędników. Ogół natomiast wychodźstwa polskiego w Rosji niewątpliwie sympatyzował z renesansowym ruchem polskim i sympatja ta z pewnością wzrosła wśród niego pod naszym wpływem.

Wzrosła jednak i w nas świadomość, że potrzeba tu oddziaływania, że potrzeba nieustannych ze strony Polski i społeczeństwa polskiego znaków życia, objawów wyraźnych niepodległości i rozgłosnej reklamy idei narodowej i wynikających z niej nieprzedawnionych praw narodu do samodzielnego bytu, co rozchodziłoby się szerokimi kręgami z kraju i docierało jak najdalej. Manifestacja 17 kwietnia 1894-go roku była jednym z takich faktów, o którym wiadomość rozeszła się bardzo szeroko, chociaż gazety nie mogły o tem pisać. Tu przyszedł nam jednak z pomocą rząd rosyjski, który, skazując nas na wygnanie, uczynił z nas jednocześnie kolporterów tej wieści na wschodnich rubieżach

państwa, dokąd inaczej może nie dostałyby się tak łatwo ścisłe relacje o charakterze i rozmiarach tej demonstracji na rzecz niepodległości.

Niezależnie od utwierdzania nas w słuszności naszych zapatrywań i dążeń, pobyt w Rosji wywarł na nas inny jeszcze wpływ korzystny.

Przedewszystkiem — o ile idzie o moje osobiste, wewnętrzne życie — była to pierwsza dla mnie sposobność skupienia się i „wejścia w siebie“. Jeżeli do owej pory żyłem tem nastawieniem, jakie wyniosłem z domu rodziców, przekonany, że wszystko i zawsze ułoży się i pójdzie gładko, bez przeszkód, to ta pierwsza napotkana przeszkoda zmusiła mnie do introspekcji i do zastanowienia się nad tem, co i dla czego mam właściwie w życiu robić. Pod wpływem tych zastanowień szybko dojrzałem w sobie i śmiało mogę powiedzieć, że ten rok rozmyślań w samotności dał mi więcej, niż ukończone potem studia uniwersyteckie. Nie kiedyindziej i nie gdzieindziej, ale wtedy właśnie, w Orsku, uformował się ostatecznie mój charakter, zrodziła się we mnie tęsknota i zamiłowanie do pracy, którą przedtem traktowałem lekko i powierzchownie, wykreśliły się przedemną jasno linje postępowania z ludźmi i obudziła chęć służenia społeczeństwu. Przestałem myśleć tylko o sobie, zacząłem myśleć o Polsce i o Polakach. Pierwsza bródza obywatelskiej troski przecięła wówczas moje młode czoło i pozost

stała już na niem na zawsze, jako znak męskiej dojrzałości umysłu.

Zapewne, dużo tu zawdzięczam moim drogim i niezapomnianym towarzyszom. Los wybrał mi ich tak, że mogę mu być tylko za to wdzięcznym. Stosunek pomiędzy nami był tak bliski, tak serdeczny i takim wzajemnem rozumieniem się i odczuwaniem nacechowany, że — muszę to wyznać — nigdy już potem w życiu nie miałem tak oddanych i dobrych przyjaciół. Mimo odrębnych indywidualności, żyliśmy, jak bracia, w niezamąconej nigdy zgodzie, w żywej zawsze chęci służenia jeden drugiemu i opiekowania się sobą nawzajem. W chwilach ciężkich nieśliśmy sobie otuchę i pocieszenie, w chwilach radośniejszych cieszyliśmy się nie każdy swoją radością, lecz radością pozostałych. Dzieliiliśmy pomiędzy sobą wszystko, żyjąc w zupełnej komunie materialnej i duchowej.

Życie nas potem rozdzieliło, rozstawiając na różnych placówkach. Oleś Karoli i Edzio Uściński zostali lekarzami, Antoś Śliwiński, jako prawnik, po ukończeniu uniwersytetu w Kijowie, poświęcił się adwokaturze, a potem już w Polsce niepodległej sądownictwu, w którym zajmuje dzisiaj stanowisko wice-prezesa sądu apelacyjnego w Warszawie. Ja wziąłem się do pióra.

Zdaleka od siebie, ale z nieustanną myślą i pamięcią o sobie, przeżyliśmy nasz wiek męski, ciesząc się z każdego spotkania, z każdej, choćby krót-

kiej możności wspólnego wspomnienia młodych lat i wspólnej w owych latach „doli-niedoli“.

Tak jest do dzisiaj, chociaż zostało nas już tylko trzech.

Nieubłagany w swoich wyrokach los zabrał z pośród nas ś. p. Dra Aleksandra Karoli'ego, jednego z najlepszych, najczystszych i najpiękniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałem.

Oleś, po wyjeździe naszym z Orska, przeniósł się do Permi a stamtąd do Talicy, gdzie otrzymał stanowisko nauczyciela domowego w rodzinie Kozieł-Poklewskich. Tak dotrwał do końca swojego wygnania, poczem udało mu się razem z Edziem wstąpić do uniwersytetu w Dorpacie. Po skończeniu medycyny, osiadł w Warszawie, poświęcił się chorobom serca i przez długie lata był lekarzem miejscowym w szpitalu św. Ducha. Tam mieszkał w dwóch małych, schludnych pokoikach, otoczony książkami, które starannie dobierał do swojej biblioteki, prowadząc życie samotne i niemal odludne. Cały oddał się na usługi chorym i cierpiącym. Wolne zaś chwile obracał na nieustanne kształcenie się i rozwijanie swojego i tak już bogatego umysłu. Zwiedziwszy Włochy, rozmiłował się w kulturze humanistycznej i wiedzę swoją w tym kierunku pogłębiał doborową lekturą.

Na zawsze pozostaną mi w pamięci długie z nim rozmowy, prowadzone w tem jego mieszkaniu, peł-

nem książek, reprodukcji artystycznych i drobnych przedmiotów sztuki.

Odwiedzaliśmy się wzajemnie nie często, bo na to zajęcia nasze zawodowe nie pozwalały, ale skorośmy się zeszli, to już na dobrych kilka godzin, zarywając nieraz nocy i snu.

Umarł Oleś na serce, wskutek przedwcześnie rozwiniętej miażdżycy tętnic.

Na kilka tygodni przed śmiercią, czując zbliżający się kres, napisał do mnie, abym przyszedł go odwiedzić, ponieważ „wybiera się w podróż, z której się nie wraca“.

Odwiedzałem go odtąd niemal codziennie. Pewnego dnia zasiedziałem się u niego dłużej, niż zwykle. Wyszedłem późno w nocy, nie podejrzewając nic złego. Nazajutrz dr. Korzonówna, dobra przyjaciółka i opiekunka jego ostatnich chwil, dała mi znać przez telefon, że Karoli nie żyje.

Nie umiem do dzisiaj wypowiedzieć żalu po tej stracie. Antosia nie było w Warszawie, bawił gdzieś na urlopie, bo to był sierpień, Edzio nie mógł ruszyć się z Guzowa, gdzie jest od lat fabrycznym lekarzem, ja więc tylko sam wziąłem udział w pogrzebie naszego drogiego przyjaciela.

Był to pogrzeb wzruszający. Trumnie, wynoszonej z dziedzińcyka szpitala św. Ducha, który to dziedzińczyk robił wrażenie jakby jakiegoś zakątka włoskiego, towarzyszyły tłumy biedoty. Wszystko to byli pacjenci Olesia, ludzie, którzy doznali od

niego pomocy i ulgi i którzy ocenili jego szlachetne serce.

Zgromadziła się także spora gromadka „kilińczyków“.

Odprowadziliśmy orszak żałobny na Powązki i tam — w imieniu kolegów — pożegnałem Olesia krótkim przemówieniem.

A potem życie popłynęło dalej.

Ile razy jednak spotkamy się we trzech, tyle razy mówimy o Karolim i odczuwamy, że duch jego jest z nami i bierze udział w przyjacielskich naszych rozmowach.

Będziemy to czynili z pewnością, dopóki nas stanie na ziemi, a gdy się znów wszyscy znajdziemy kiedyś razem, to, jeśli wyroki Boskie na to pozwolą, rozpoczniemy wspólną wędrówkę po błękitnej drodze, w nieskończoność, jak niegdyś przez step, do Orska, bliźcy sobie i związani na wieczność silniejszą nad śmierć przyjaźnią naszych młodych lat.

Edziu! Antosiu! Jestem głęboko pewny, że czujecie i myślicie tak samo...

KONIEC.



SPIS ROZDZIAŁÓW

	Str.
17 kwietnia 1894 roku	7
„Czemu tęsknisz za kratą?“	13
W domu	38
Wyjazd	51
Wilno	62
Moskwa	73
Niżnij. Kazań. Samara	90
Orenburg	111
Przez step	128
Nowe życie	147
Wesele tatarskie. Przysięga.	196
Ku przełomowi	210
Wiosna	218
Lato	230
Powrót	245
Po latach trzydziestu pięciu	254

510483

kol. z biblioteki
W. i R. Śliwonkich

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0518556